

~~2179~~
~~ZWIĄZEK EMERYTOW
PAŃSTWOWYCH SAMORZĄDOWYCH
INSTYTUCJI PRAWA PUBLICZNEGO
W KRAKOWIE~~

ŻOŁNIERKA.

BIBLIOTEKA
Zbiór. Zw. Emeryt. Zbiór. I Inw.
w Krakowie

707

2179
ZYGMUNT KISIELEWSKI

ZWIĄZEK EMERYTOW
PAŃSTWOWYCH, PRACZADOWYCH
I INSTYTUCJI PRAWY PUBLICZNEJ
W KRAKOWIE

ŻOŁNIERKA

TEGOŻ AUTORA :

Świty. Powieść. Warszawa, 1911. Cena Rb. 1'20.

Wędrowiec. Nowele. Warszawa, 1912. Cena Rb. 1'20.

BIBLIOTEKA
Zjedn. Zw. Emeryt. i Inw.
w Krakowie

704

SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“, KRAKÓW.
SKŁADY GŁÓWNE: H. ALTENBERG, G. SEYFARTH,
E. WENDE i S-KA, LWÓW; E. WENDE i S-KA (T. HIŻ
i A. TURKUŁ), WARSZAWA; LUDWIK FISZER, ŁÓDŹ;
THE POLISH BOOK IMPORTING CO, NEW-YORK.

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i prze-
róbek zastrzeżone.

Prawa autorskie co do tłumaczeń i t. d. w Rosji
zarezerwowane na zasadzie ustawy z 3 kwietnia 1911 r.

Copyright by Zygmunt Kisielewski, nineteen hun-
dred thirteen.

310



68454

OKŁADKA RYSUNKU WŁODZIMIERZA KONIECZNEGO.
CZCIONKAMI DUKARNI „SZTUKA“ W KRAKOWIE.

10—13.

K-249/76/74808

~~2179~~

~~ZWIAZEK EMERYTOW
PAŃSTWOWYCH, AMORZADOWYCH
I INSTYTUCJI PRAWA PUBLICZNEGO
W KRAKOWIE~~

POŻEGNANIE.

2179.

ZWIĄZEK EMERYTÓW
PAŃSTWOWYCH, PRACOWNIKÓW
I INSTYTUCJI PRAWA PUBLICZNEGO
W KRAKOWIE

Było to zielono-złote wnętrze leśne. Wyście-
lały je pachnąca runia szerokie, pocziwe
liście łopianu, wysmukłe żdźbła szczawiu,
rumieniącego się koralami nasienia, żółte
mlecze, białe stokrotki i trawa. Od całego świata
odgradzały tę skrytkę leśną chrósty, cierniste krzaki
ożyny, o czerwieniącym się już owocu, brązowe
gałęzie leszczyny i głóg. Brzęczały tu pszczoły
i osy, buczały włochate bąki, a w głębi, pełnej
wnęk i gniazd, wyplatanych z liścia i gałązek, ha-
sało ptactwo krzykliwe i radośnie, piszcząc i swa-
wołąc. Życie bez zastanowienia, radujące się swym
istnieniem, zewsząd zbiegało się w tej kaplicy, niby
krew do serca. Opodal szemrały rozłożyste klony
i lipy, niedosłyszalnie prawie zawodziły jodły.

A nad tym schroniskiem miłości gorzało słońce,
ogromne dziś i okazałe, niby najjaśniejszy majestat.

Zanurzywszy głowę w burzy traw, a liściem zie-
lonym przysłaniając sobie oczy, drugą dłoń wy-
grzewałem na słońcu.

I modliłem się cicho:

— O słońce! Nie mam Boga innego nad ciebie,
ani miłuję kogo namiętniej, niż ciebie. Rozterki moje

koisz i ładziś, grzechy moje wytrawiasz pożarem promieni. Tobie się spowiadam, a ty mi wybaczasz, płomienny spowiedniku, i znowu jestem bez zmy, jak dziecię...

Rozkoszowałem się pieszczotą słoneczną, niby kwiat, rozchylający zrana jasne płatki swej korony. Uśmiechałem się, jak gwiazda, która mruga i drży w noc letnią.

Grymas ponurej złości zasiadł w zmarszczkach na czole siedzącej obok kobiety. Podwinawszy pod siebie mocne nogi i odchyliwszy się wtył, podobna była do skrzywanej w ogonie, a kołyszącej się tułowiem żmii, która, wypuściwszy rozszczepiony na dwoje język, nieznacznie wysunęła jadowite zęby i patrzy dwoma szmaragdami obojętnych i niemilosiernych, jak natura, oczu.

Podniosła rękę i rozkwitniętą główką koniczyny uderzyła mnie w same źrenice.

— O czym myślisz? — zaśmiała się fałszywie.

Dźwignąłem się z ziemi i przecierałem oczy, otrząsając się i spoglądając nieprzytomnie. Płomienie strugi płynęły naokoło, lśniąc białą rozżarzonemi, oślepiającemi falami. Blask ich nieznosny wniósł rozdrażnienie w duszę, a zbudzone źrenice cierpiały od brutalnego uderzenia.

— Z pewnością marzyłeś o jakiejś kobiecie?

— Właśnie — odparłem.

W tejsamej chwili doznałem widzenia. Znalazłem się na pustyni. Nieobjęte, ociężałe równiny piasku złocą się i krwawią, ginąc na krańcach w granatowej mgle. Niebo jest błękitne i niepokaj-

lane, a słońce praży, wylewając ze swych niewyczerpanych, wiecznie kipiących kraterów kłęby ognia, jasności i spieki. Leżę na pagórku, pod chłodem kępy palm i zaglądam w kryształowe źródło, ciche, rzeźwiące i głębokie, jak niebo. Nagle zmusiło mnie coś, abym się odwrócił. Kilkanaście kroków za mną przyczała się do skoku hijena, zdążając snąć do tegosamego źródła. Oczami, rojącymi się obrzydłym, zgniłym światłem, pożerała mnie. Jej łeb trójgraniasty, podobny do czaszki kościotrupa, przeszył mnie dreszczem wstrętu i przerażenia...

Widzenie trwało jedno mgnienie oka, a było tak wyraźne i całkowite, jakby zdarzyło się na jawie.

Spojrzałem na swoją towarzyszkę. Przeniknęła mnie ziać wrogości i niechęci. Zaćmiły się łuny ogniste, a skrytka leśna wrzała irytującym gwarem. Nuda, jak natrętny jęk komara, białoszarym, dręczącym światłem napoiła zmysły.

— Niech ona odejdzie! — niech sobie idzie precz ta kobieta! — narzucały się świadomości wyrazy, niby twarde stukanie kującego dziecięcia.

Spojrzałem z ukosa na swą towarzyszkę i zacząłem mówić:

— Pewnej nocy, bardzo już późno, wracałem do domu. Ulice były puste i czyste, jakby odświętnie przybrane. Bez przyczyny czułem się głęboko szczęśliwy i pogodny. Wtedy z pod żelaznej kraty, przykrywającej korzenie ulicznego drzewa, zabłyszczały ku mnie dwa punkciki, niby iskrzące się oczy kota. Stałem. Z pod żelaznych prętów wy-

winał się długi, prześliczny grzechotnik i wpatrywał się we mnie. Stałem zaczarowany, rozważając, skąd wziął się tutaj na asfaltowych brukach nowożytnego miasta, w kręgu światła lamp elektrycznych? Ale, że byłem szczęśliwy, zbliżyłem się do samotnego płaza i wziąłem go na ramiona, mówiąc: „Pójdź! Powędrujemy wspólnie do twojej ojczyzny, razem będziemy się wylegiwali na żółtych piaskach i wygrzewali na słońcu“. — Miłośnię owinął się grzechotnik koło mej szyi, a jego skręty cierpką słodyczą poły me nerwy. Udaliśmy się na pustynie złociste, kędy rozedrgane powietrze maluje czasem fata morgana. I żyliśmy w przyjaźni, rozkoszy i miłości, modląc się do słońca. Pewnego jednak ranka, z nieznanego powodu, nasrożył się na mnie ukochany mój wąż i zasyczał... Zesztywniałem ze strachu i bóleści. Oczy jego zielone stały się duże i jasne, otchłanne. Siłą musiałem oderwać się z pod uroku tych trujących przepaści, przeczuwając, że jeśli mnie pochłona, zgine. Odwróciłem się i odszedłem, gorzko płacząc. Następnej nocy, gdy grzechotnik usnął, wziąłem go na ręce i odniosłem do miasta i położyłem na kracie żelaznej, pod miejskim drzewem. Świtało. Czasem poranek ma ów koloryt nudny i tępy, jak zabrukana blacha. Tak było wówczas. Kiedy, złożwszy mego węża, miałem odejść, spostrzegłem wówczas rzecz straszną!

— Cóż takiego?

— Nie był to grzechotnik prawdziwy, ale nazyjnik, sfabrykowany z jakiejś zielonej masy, świecidełko nikczemne, naśladowujące truciciela pustyń,

a używane dla kokieteryj przez chytne kobiety nowoczesnych miast. Trąciłem nogą mego grzechotnika, jak przedmiot wewnątrz próżny.

Kobieta wstała i, wyglądziwszy spódniczki, opuściła leśną kryjówkę, uśmiechając się wzgardliwie.

— O słońce — o wolności! — westchnąłem, wyprężając ramiona i pławiąc się w zatopach światła.

NOC KARNAWAŁOWA.

Słońce zachodziło, kryjąc się za ogromną, ponurą Monte Solare.

Stałem na białym tarasie pensjonatu, zbudowanego na pochyłości wzniesienia, skąd rozciągał się widok na domy miasteczka Capri, na szeroką, u szczytu płasko ściętą górę, zwaną Telegrafo od stacji telegrafu podmorskiego, i na amfiteatralnie falujące wzwyż garby S. Michele.

W tę stronę spoglądałem głodnym okiem. Tu bowiem słońce, znikając, pieszczotą najczulszych kolorów usypiało ziemię na tę noc karnawałową. Cały krajobraz otulało śniado-złociste powietrze, którego barwa, zdało się, nie pochodzi od słońca, lecz promieniuje z ziemi, niby wonny zapach astralnego ciała kobiecej piękności. Z przyczyny tej mgły, przenikającej całą wysepkę, zatarła się chropowatość rzeczy doświadczalnych. Rzeczywistość jawiła się oku nakształt snu, ale snu równie żywego, jak czuwanie. Gromady szarych oliwek wylaniały się, jak stada baranków matowo-srebrzystych, pasących się na gęstych łąkach, koloru przytłumionego bronzu.

Tu i owdzie, zarzucony cyprys odział się w granaty; różowe i niebieskie były ściany domów. Po-

śród tych wyraźnych, gorących blasków błąkały się lśnienia smug nieokreślonego tonu, drżących i mieniających się nieustannie, migocących i skrzących wszelkimi barwami i niepoliczonymi tych barw przymgleniami i odcieniami. Zaledwie oko pochwyciło jedną, a już kładła się na nią nowa. Widok ten tworzył rajska całość o własnej logice, ale zawiłej i nieuchwytniej, jak życie duszy. Obłok, który wędrował po niebie, niby płatek róży, koloru lila, w mgnieniu oka napuszczał się szkarłatem, aby za chwilę pokrył go zimny seledyn. Siwo-różowe szczyby dwu potwornych kłów morskich, dwu skał nadbrzeżnych, zwanych Faraglioni, gdzie mają gniazda gołębie Kapryjczyków: żałośnie skrzeczące mewy, nagle zaczęły sypać skrami, jakby w nie zaziemski latarnik powbijał nieoszlifowane kamienie drogocenne. Wkrótce jednak wykradał je jakiś morski rozbójnik i wyłobienia skał zionęły przez chwilę przerażającą ciemnią.

Wkońcu jednak mrok siny zawładnął wyuzdaną anarchją światła, wprowadzając jednostajny ład na niebie i w obłokach, wśród oliwek i winnic, nad kamiennymi lepiankami chłopów i wielopiętrowymi hotelami — na morzu i na całej ziemi.

Słońce zaszło.

Z tęsknotą spojrzałem na stację telegrafu.

— Może stamtąd, po tym miedzianym nerwie słuchu, jaki sobie sprawił człowiek, żeby wszystko słyszeć, mknie teraz na cały świat depesza, jako zachód dnia dzisiejszego był na Capri równie cudny, jak wczoraj?...

— Leć, iskro, i roznoś na cały świat wieść, pełną brzasku, że był cudny, lecz za nią w ślady pomykaj dnem morskim, iskro druga, i zanieś, komu potrzeba, że tęsknota i żalność zajęły w tej chwili serce moje i że płaczę niewiedomo czego, po czym i do kogo?

Tęsknoto!...

Nie chcę cię, nie hoduje, nie pragnę — odejdz ode mnie! Nienawidzę cię i pogardzam tobą — złodziejkę, chytrze wykradającą życie!

Tyle dni, miesięcy, lat tyle żywiłaś mnie swym sokiem, niepostrzeżenie odbarwiającym krew — i teraz dopiero wiem, żeś jest zabójczą żywicielką.

Odejdz!

Wysilałem się, jak człowiek, który pięścią bije w okute drzwi celi, — lecz prędko osłabłem.

Rzuciła się na mnie, niby kochanka niezaspokojona, która się łąsi, całuje i kąsa.

Oplotła mnie ramionami, cienkimi, jak nóżki pajaka, i ssała.

Precz!

Zadzwoń i kazałem podać wina. Spróbowałem, lecz odstawiłem szklankę. Ubrałem się i wyszedłem.

Wsunąłem się w uliczkę, kręconą w ostre zygaki, jak ścieżka górską, wyłożoną niewygładzonymi kamieniami. Mijałem wążkie, dwumetrowe przesmyki, wijące się między wysokimi ścianami domów, aż wybrnąwszy z tej matni filigranowych uliczek, dostałem się na placyk, skąd już aż do morza prowadziła szeroka, osłonięta gałęziami roz-

kwitniętych migdałów, przykryta obciążonemi owocem ramionami cytryn i pomarańcz, strzeżona przez kolczaste krążki figi indyjskiej, cienista, teraz mroczna, via Tragara.

Stąd po kilku już minutach znalazłem się nad rodzajem naturalnego balkonu, zwisającego nad morzem w odległości kilkunastu metrów od Farglioni. Ich zręby zimne, niby dwie kamienne dzidy gigantów, drzewcem wkopane w dno, a ostrzami wystające nad powierzchnię, złowroźnie majaczyły teraz w pomroce. Morze pod nimi seplenіło mruklіwie. Lecz tylko tutaj. Mleczno-szare roztozce wód leżały bowiem nieruchomo, jak pola księżycowe.

Widok ten spłoszył tęsknotę.

Surowa, nieznająca wzruszeń powaga żywiołu wtoczyła się na mózg, niby głaz nagrobka. Z ustałych otchłani podnosił się tylko od czasu do czasu jęk ogromny, niby cierpienie świata całego, wchłaniając w swą przepaść serce i myśl. Ból bezkształtny zespolił duszę z nieskończonym, bezbrzeżnym obszarem.

Usiadłem na ławce. Wrosłem w nią.

Z dna morskiego wysunęły się niewidzialne, silne jak ramiona ośmiornicy ręce, i niby powrozami spoіły mnie ze skałami, z morzem, z całą tą wysępką kamienną, strąconą, niby aerolit olbrzymi, w nierozplątany, bezcelowy chaos żywiołu.

Nie myślałem, jak nie myśli góra, ani woda, ni ryba.

Istniałem.

Czucie takiego istnienia nie było sprawą złą,

ani dobrą, radosną, ani straszną. Było sprawą konieczną. Prawdą. Nic tu nie może niepokoić, bo nic się nie może zmienić. Cokolwiekby nastąpiło, pozostanie zawsze w istocie swej to samo. Ani huragan morski, ani wybuch wulkanu, ani padanie słońc na siebie i rozbijanie się ich w mgławice, nie zapłodni bytu na nowo. Poczucie tej prawdy stawało się w łonie ducha i dawało znać o sobie, nie naruszając równowagi.

Tak przebyłem długi czas, wglądając w oblicze tej prawdy, aż nareszcie wstałem i jałem wracać krokiem równym, w spokoju niezamąconym.

Idąc, odłamałem czasem gałązkę, która się otarła o ramię, i kruszyłem ją, albo bezmyślnie podrzucałem końcem trzewika kamyczki, zawadzające mi na drodze.

Wstąpiłem do miasteczka.

Mimo późnego wieczoru, panował tu niezwykle gwar. Noc bowiem była karnawałowa.

Na małym rynku, pod kościołem i w uliczkach, podobnych do korytarzy labiryntu, snuły się w milczeniu maski, grupami, albo w pojedynkę.

Kroczył więc rycerz samotny w czerni, w przyłbicy zapuszczonej, sztylet mając zatknięty za pasem. Niby cień posępny wchodził między ludzi i znikał, jak tajemnica. Może to widmo Cezara Borgii?

Owdzie cichym krokiem wionęła w błękitnej szacie niewieścia postać, której oczy zakryte musiały chyba jaśnieć, niby dwie promieniste gwiazdy. Towarzyszył jej młodzieniec jasny, jak złocień,

przesmutnym, acz miłosnym spojrzeniem obejmując niekiedy kochankę. Paolo-ż to i Francesca?

Tam znowu zgrzybiały kuternoga, utykając, ciężką głową obracał naokoło, szukając — kogo? — może niewiernej żony?

Z pod sklepienia arkady wyrosła nagle potężna figura, w srebrzyste blachy zamknięta, w mosiężnych nagolennikach, w masywnym hełmie z zuchwałym pióropuszem. Czyż to nie ów zaciekły „wróg Boga i miłosierdzia“, rabuś średniowieczny?

Naraz z boku, z otworu zaułka, ryjącego się popod domami, wyłonił się orszak książęcy. Na czele szereg giermków i paziów w szatach kolorowych, jak wiosenna łąka, za nimi książę i księżna, w otoczeniu panów, wojowników, dworzan, arlekinów, karłów i liliputów. Ledwie oko ten pochód ogarnęło, przeciągający w grobowym milczeniu, gdy nagle, jak z pod ziemi, wytrysnęła czereda djablików, skoczna, zwinna, jak sfera czarnych szczeniąt.

Tak zmieniały się, mijały, zjawiały, jakby występując ze starych fresków, albo wstając z cmentarzy, istoty niedzisiejsze, rozmaite mary różnych czasów. Płatały się w tłumie widzów, stłoczonym na rynku, i, ponuro milcząc, bezszelestnie stąpając, nie tchnąc, zda się, nie żyjąc, ni to ożywione koszmary, włóczyły się między żywymi.

Szczególny karnawał — pomyślałem, zapadając w głębszą coraz pośepność.

Oto błędą pośród żywych — trupy. Jakiś zwyczaj odwieczny każe co roku udawać żywym, że

są martwi. Przywdziewają stroje umarłe i, zasłaniając oczy, żeby nie zdradziły życia, w milczeniu chodzą po nocy.

Szczególny karnawał! — tak, że niewiadomo, kto tu żywy, kto trup? Maski to jeno, czy żywe oblicza? Może to rodzaj objaty dziękczynnej dla przodków, którzy im dali życie? Albo w tym żałobnym obrządku ukrywa się prawda straszliwa? — że nie jesteśmy tym, czym jesteśmy, ale tym, czym nas uczyniła przeszłość? Więc te maski są rzeczywiście, my zaś jesteśmy pozornie?

Doznałem wrażenia, że moje ruchy i uczucia są — nie moje. Cóż to jest „ja“? Od ameby, przez cały ciąg dziejów istnienia, aż do człowieka, a od człowieka dzikiego aż po dzień dzisiejszy... wszystko to „ja“. Wszystko, co było, jest we mnie. Więc ja jestem tym, co — było?... przeto mnie niema?...

Ale ja wiem, że jestem. Bo jestem. Cóż stąd, że nie ja stworzyłem, co jest mną. Niemniej jestem. Ja kocham, ja cierpię, ja jestem — pierwszy i ostatni raz jestem.

Że zaś zostałem utkany przez innych, że urodziłem się z niezgruntowanych przepaści istnień, mąk i trudów, to mam tylko wiedzieć i z tego wynika odpowiedzialność. Odpowiedzialność za życie własne — wobec siebie.

Ale czymże ty jesteś, kruszyno? Jestem, czym jestem — to już sprawa nie moja! Przyjmuję siebie, jaki jestem, a odpowiedzialność za to spada już nie na mnie...

Zwolna rozwidniała się moja istota.

Poczwarny nacisk, jakiemu podlegał mój mózg ze strony morza i skał, ustępował. Znikał upiorny sposób widzenia karnawałowych masek. Jakies, ledwie wyczuwalne, szmery fizyczne, jakies ledwie widzialne błyski, przesączały się niby blask słoneczny, poprzez zbite pokłady chmur. Skierki radosne i wesołe, jak kwiaty, ożywcze i świeże, jak rosa, jęły drgać, świecić, przyskać.

Gdy tak wnikałem w sprawę stawania się we mnie wesołości, tknęły mych uszu głuche, tępe, a jednak dźwięczne dźwięki... tyń — tyń — tyń — tyń...

Kilkadziesiąt kroków od rynku, po którym od paru godzin krążyłem, patrząc i rozmyślając, znajdował się obszerny, płytami wyłożony taras nadmorski, skąd widać było Neapol, — teraz spowity w lunę mgieł, — oraz całą zatokę neapolitańską.

Z tej strony dolatywało cicho, tępe i głuche: tyń, tyń...

Poszedłem tam.

Na środku tarasu, otoczone pierścieniem widzów tańczyły maski. W samym środku koła stał arlekin w białych, bufiastych majtkach, w obszernej, również białej kurtce i stożkowatej, czerwonej czapce. W rękę trzymał tamburino, poobwieszane dzwoneczkami, i, uderzając w nie ręką, wydobywał ów dźwięk: tyń — tyń. Czyniąc to, kiwał się ku przodowi i podreptywał nogami, dając takt. Oczy miał przymrużone, usta śmiały się satyrycznie.

Pary masek, objawszy się jednym ramieniem wpół, kręciły się naokoło arlekina, którego postać barczysta i wysoka górowała nad powikłanym wian-

kiem płasających, gipsowo-białą sylwetką rysując się w półmroku nocy.

...Tyń — tyń!...

Wpatrywałem się w widowisko i w naprężeniu chłonałem muzykę, jakby urzeczony. Tak musi czarować wzrok grzechotnika, tak wabi głąb otchłani w górach... w ten sposób śni się mus stoczenia w topiel... Dźwięk ów przypomina zabarwienie tajemniczych fraz muzycznych, pogrążających w nurty metafizycznej zadumy, albo chrapliwy, a rozkoszny, altowy głos kapłanki hinduskiej, modlącej się do węża, którą gdzieś, niegdyś widziałem...

... Tyń — tyń!...

Przytupywał błazen, a pary płasały.

Tak — tak! natężałem słuch.

Jak zielono-różowy obłok przemknęło w pierśiach szczęśliwe czucie, że igraszką jest życie, a łagodną przemianą jeno śmierć wobec tego znaku z odmetów wieczności.

...Tyń — tyń!...

Dźwięczał satyrycznie uśmiechnięty arlekin, wiankiem obracały się pary masek.

Wtedy uderzyła mnie zagnała twarz młodego dziewczęcia, wciśniętego w koło widzów. Spotykałem ją już na skałach, przy morzu, na via Tragara. Była to Amerykanka, może czternastoletnia. Twarz miała drobną, nieco wydłużoną, różową a świeżą, jak sok winogrona, oczy zaś niebieskie, pełne światła i radości — niby migdałowa gałązka w słońcu.

Patrzyła we mnie. Ciepłe fale, czyste i odżywcze

plynęły z tych oczu, wlewając się w moje usta wyschłe i pragnące.

Przyciągany tym spojrzeniem, jak magnesem, bezwolnie zbliżyłem się do niej, podałem jej rękę, a prawym ramieniem otoczywszy w stanie, jak to robiły maski, zacząłem z nią tańczyć.

W milczeniu, jak i maski, z namaszczeniem, w słodkim zapomnieniu, wirowałem z uległą mej rękę dziewczyną. Co pewien czas jednak przystawałem, wypuszczając ją z objęć i pozwalając odbiegać od siebie w połyskliwej pianie podskoków, pólóbrotów i przegięć. Czułem się z nią tak zespolony, jak dwa kwiaty jednego krzaku. Uśmiechem całowałem jej kształty wiotkie, gibkie, jak sprężyna, a tak harmonijne w ruchu, jak jej ciało. Toneliśmy wśród masek, jak dwie jaskółki w modrych przestrzeniach nieba, improwizując taniec, jak piosnkę, wyśpiewaną w natchnieniu przez szczęśliwego albo cierpiącego człowieka.

...Tyń — tyń!...

Radość zupełna, bez skazy, iskrzyła się we mnie, jak brylant. Słyszało mi się to dziwne brzęczenie zewsząd. Niby ogniste motyle, sfruwały dźwięki z gwiazdzistego nieba, zlatywały się z morza, spadały z góry, wykwiwały z twarzy i wzroku ludzi.

Maski znuzone już stanęły, myśmy jeszcze płasali.

Taniec stawał się tylko gorętszy, ruchy porywiste, spojrzenia, jak uściski.

Doznawałem już tylko tego jednego uczucia, że jestem gorący, gnący się i niebezpieczny, jak płomień. Nie ciążyło mi ciało. Podbijałem się na sto-

pach, jak świstak, przemawiałem i śpiewałem wyrzutami rąk i nóg, paliłem się i tańczyłem, tańczyłem...

Amerykanka wirowała naokoło mnie, jak ćma około płomienia. Podniecała mnie, jak tchnienie prerji, biegła w aureoli rozpuszczonych włosów, jak rusałka rwących strumieni, wybuchała w górę, jak wodotrysk giejzeru. Zdawało mi się, że tańczy bez sukien, że naga gorzeje w objęciach nieznanego mężczyzny.

Arlekin brząkał wciąż, napróżno już uśmiechając się satyrycznie, i przytupywał:

...Tyń — tyń!...

Nagle, jak mewa, która, ważąc się w powietrzu, rozpostrze odrazu skrzydła i znieacka ciśnie się z wysokości dziobem w morze, podobnie Amerykanka, podniósłszy się na wysokich nogach, wpadła w moje ramiona, wtulając się w usta wargami, drżącemi jak struny.

— Porwać ją i skoczyć w morze! — zapaliła się wtedy w moim mózgu myśl, lecz zanim to zdołałem uczynić, tancerka oderwała się ode mnie i, jak róża uniesiona przez wichę, uciekła.

Długotrwałe oklaski widzów wzburzyły powietrze.

Wyszedłem z koła i krętymi drózkami biegłem nad morze, w to miejsce, gdzie często bywałem sam na sam ze skałami, morzem i słońcem. Zdyszany padłem na kamień i chłodziłem się w kąpieli księżycowej.

Grało we mnie życie, jak w motylu, który co dopiero przerwał skorupę poczwarki.

W BARCE.



Wypłynęliśmy na morze, ja i mój barcatore, Arcucci.

Niebo od strony południowo-zachodniej było nieco zamazane. Leciuchny wietrzyk podejmował fale nieduże, jak się wydawało z brzegu, ale gdy spojrzałem z barki, były one zupełnie wielkie, dość nawet wielkie, by łódź zatopić. Ich garby przelewały się gładko, nie nacierając na barkę, lecz potracając ją miękko, jakby pieszczotliwie. Istotnie, miałem wrażenie, że fioletowe, ruchome morze jest żywym, potężnym stworzeniem, które jednak właśnie raczy figlować z barką, niby krokodyl z wróblem, fruwającym mu około paszczy. Migotliwe przeguby kłębiły się około nas ze wszystkich stron, pluszcząc, szemrzając i kolebiąc, tuląc i obejmując. Fale spuszczały się w dół, podnosiły w górę, niosąc nas, popychając i spychając ruchem miarowym, ciągłym, jak oddech śpiącego snem spokojnym.

Arcucci od czasu do czasu rzucił z ukosa spojrzenie na falę i byстрым ruchem wiosła zagarniał wodę.

Głową oparty o dziób barki, leżąc w milczeniu,

rozkoszowałem się tą wzniosłą i do zadumy skłaniającą zabawą.

Półsenne moje zamyślenie przerwał śpiew Arcucci'ego. Usiadłem zdziwiony. Barcatore odwrócił twarz nalewo, oczyma z uwagą rozpatrując to wierzchołki pasma gór nad Amalfi, to spokojną powierzchnię morza. I śpiewał.

— Co takiego? — spytałem.

— Nic, signore — rzekł, uśmiechając się.

Nie podobał mi się ten uśmiech. Znajdowaliśmy się w odległości bez mała jednego kilometra od Capri.

— Poco to śpiewanie?

— A tak, dla rozrywki... — rzekł, patrząc nie na mnie, a na wodę, i dalej ciągnął piosenkę o Neapolu, który jest „krajem przedziwnym“, lecz rajskie słowa wychodziły z gardła chrapliwie i sztucznie.

Naraz jego oczy czarne nabiegły krwią.

— Signore! — idzie sirocco — wracamy! Niech pan siądzie na środku ławki i trzyma się mocno!

Wyprężył owłosioną pierś, zgiął kark i całą siłą zarył wiosła w wodę.

W sekundę potem podskoczyliśmy na wysokość piętra. Barka została pchnięta od spodu tak gwałtownie, że utraciłem równowagę i omal nie zleciałem w morze, przyczym głowa zerwała się raptownie wtył, a kapelusz mój wpadł do wody. Raz jeszcze podbiła nas fala w górę — jeszcze raz runęliśmy w dół — — i cisza.

Drżałem.

— Signore — odwagi!

A morze znowu przez kilka minut szumiało senliwie, pieszczotliwie tuląc barkę do swego łona. Tylko serpentyny piany różowymi szarpkami przystroili jego granatową powierzchnię.

Barcatore znowu próbował sławić czary Neapolu.

Poprosiłem go, żeby przestał. Arcucci przenikliwie popatrzył wtedy na mnie i powiedział:

— Grozi nam śmierć, morze to dzikie zwierzę!

Słowa jego ześlizgnęły się zrazu po wierzchu mej świadomości, niby krople wody po skorupie żółwia. Zaraz potem jednak zaroilo się we mnie od krzyżujących się, rozpierzchłych czuć, chcień, myśli i zamiarów. Przesuwały się błyskawicznie twarze znajome, drogie, lub znenawidzone. Utkwił w pamięci obłok, niby kłębek żółto-popielaty. Otworło się wnętrze morza: zielone, pełne ryb ślizkich, płaskich, jak tłuste pęcherze, opatrzone oczami szklanej, okropnej jasności. Pośród tych gadów opadam na dno, wywijając nogami i rękami. Jakiś stwór kłami ostremi, jak zęby piły, wbija się w moją twarz...

Śmierć? — więc cóż? Nie! nie!

Strach, jak cień, wymknął się i przeleciał, tłumiąc po drodze ożywiające światła. Zaszło na duszę omdlenie i zdrętwiałość.

Uciekać? — ratować się? — jak? Zachciało ci się dumać na lazurowych roztoczach...

Ratunku! — ratunku!

Na chwilę wymarło życie psychiczne: ostała się cikliwa, słodka nudność, obmierzła bezsila: niech się co chce dzieje...

Zostałem oddany na pastwę takich obrazów, chcień, wzdrygnięć — ale duch mój stał nieporuszony, niby słup ognia nie gasnący nigdy, i czuwał. Zaiste! Ja wilem się w kurczach strachu — ale on stał i czuwał. To, co odbywało się w mej świadomości, działo się poza mną. Mój duch bowiem, jako jedyny nieruchomy punkt we wszechświecie — stał nieporuszony i czuwał.

I jęły się myśleć myśli wyraźne, proste, niewątpliwe. Nie jako wynik rozumowania, lecz jako słowa, odrazu skądś wyłonione w najściślejszej formie. Nie wiem, jak nazwać sprawę psychiczną, co się we mnie odgrywała — był to jednak z pewnością głos ducha, który nakazuje...

Głos ten zaś wyraził treść martwą teraz dla mnie, a wówczas jedynie prawdziwą:

Człowiek może śmierć przywołać i może ją pokonać. Strach jest pokusą. Musisz żyć!

Tak brzmiała jego mowa, w ubogie, człowiecze szaty ubrana.

Wiara we mnie wstąpiła.

— Barcatore — krzyknąłem — nie zginiemy!

Musiał Arcucci dosłyszeć w moich słowach coś bezwzględnie przekonywującego, gdyż spojrzał na mnie z wdzięcznością.

Na ludzką miarę, nie minęło między słowami przewoźnika „śmierć grozi“ a moją odpowiedzią więcej czasu, niż między zwykłym zapytaniem a odpowiedzią. Stało się to wszystko „w jednej chwili“.

W barce znajdowało się jeszcze jedno wiosło. Idąc za radą przewoźnika, przesiadłem się na tył

barki, aby, wiosłując, naśladować jego umiejętnę ruchy.

Pośpiesznie zdjęwszy surdut i obuwie, oparłem stopy o poprzeczną listwę na dnie łódki i wziąłem się do pracy.

O jakieś sześćset metrów przed nami różowiły się wnęki i pieczary posępnej Monte Solare. Arcucci skierował w tę stronę łódkę, jako do celu najbliższego.

Za moimi plecami zahuczało morze...

Ale już mię nie przejęła trwogą jego groźba. Wyzywający śmiech zadzwiał w głębi mej istoty: hej-że, pohulały!

Natychmiast jednak zostałem ukarany za chępliwą zuchwałość. W jednej sekundzie barka, rzuciona przez fale, stanęła niemal prostopadle. Wpiłem się palcami w brzeg łódki, żeby nie spaść na głowę przewoźnika, siedzącego teraz pode mną.

Zważyłem. Pomyślałem, że moja pewność była tylko złudzeniem, — niema już ratunku. Zważyłem, ale tylko na chwilę. Czuciem pojąłem znaczenie złowrogiej wskazówki:

„Niechaj cię pycha nie ludzi, nie swojemi to siłami zwyciężysz“.

Od czasu tej wiadomości, cała niesłychana praca, jakiej „ja“ dokonałem, została dokonana poza moją, znaną mi dotąd świadomością.

„Ja“ — przestało istnieć.

Zlałem się w jedno z jestestwem równie potężnym i niezwalczonym, jak żywioł. Lecz morze było dzikim zwierzęciem, ja zaś przenikałem je nawskroś,

znałem jego obyczaje, jak ryba, wiedziałem o każdym jego podstępie, jak stary wilk morski, przeliczyłem wszystkie zdradne tajemnice głębiny.

W ciągu dwu godzin miotało nami morze, jak wichur, co w swych wirach powietrznych pograżył dwie muszki. Bywało, iż opierając się na pajęczym rusztowaniu naszej łódki, unosiliśmy się pod niebo w migocącej chmurze piany, niby dwie rybitwy, aby zaraz, wściekłym ciosem ugodzeni, spaść w rozwartą, jak nieuchronny grób, przepaść wodną. Ale czy chwialiśmy się na grzebieniu ryczącej fali, czy lecieliśmy w otchłań, zawsze przeczułem, jakie miejsce stanowi ów punkt równowagi, na którym, utwierdziwszy się, mogłem łódkę zatrzymać w pozycji bezpiecznej. Za każdym razem wiosło zanurzałem po tej stronie, po której trzeba je było zanurzyć, aby się nastawić wpoprzek nacierającego bałwana. Pamiętam, że czasem wypadało odkładać wiosło i siadać w kucki, wbijając łokcie w wewnętrzne żebra łódki. Przypominam sobie, że raz znaleźliśmy się obaj na spodzie, wyciągnęci jak dwie mumje. Leżeliśmy tak przez jakiś czas, całym ciałem chyląc się miarowo, regularnie, to nalewo, to naprawo. Inny ruch byłby nas zgubił. Ja zaś każdej chwili odczuwałem, jak należy działać, a barcatore, niby mój sobowtór, czynił bez rozkazu to samo, co ja.

Trafiały się jednak przerwy kilkuminutowe w tych zapasach. Wówczas, niby dwie żywe pompy, chłonięliśmy wodę, która się dostała do łódki. Czerpa-

liśmy wodę dłońmi, wysysaliśmy ustami, wylewaliśmy jedynym butem, jaki nam został.

W czasie jednej takiej przerwy dane było nam odetchnąć. Wyprostowałem się wówczas i rozciągnąłem ramiona. Wyglądzone morze spoczywało niewinnie, jak niezabudka. Na jedną miarę czasu odzyskałem wówczas ludzką świadomość — i przebrałem się samego siebie. Poczułem się mocą, która śmiertelnym pociskiem może dosięgnąć, kogo zechce. Spojrzałem na Włocha i zgroza spaliła moją myśl, jak pożoga żdźbło słomy: Arcucci klęczał przede mną i, żegnając się trzęsącymi rękami, szeptał coś. Z oczu ciekły mu łzy. Czułem, że zwarjuje, jeśli dłużej będzie trwała świadomość...

Na szczęście, morze rozpoczęło swój tan.

Rzuciliśmy się do pracy.

Zdarzyło się pewne położenie, iż zaguba wydawała się konieczna.

Wicher, wpełchnąwszy nas na szczyt ruchomego wału, chlusnął syczącą falą w prawy bok łódki, jednocześnie zaś zaczęliśmy się staczać w padół. Barka, płynąc na ukos, nachyliła się lewym bokiem do poziomowi wody; jeszcze jedno uderzenie, a zostałaaby wywrócona dnem do góry. Arcucci jęknął. Skoczyłem obu stopami na kant prawego boku i, zginając nogi w kolanach, przymuszałem barkę do utrzymania równowagi.

Dookoła dudniło morze, buchało olbrzymimi kwiatami piany, rżało, świszczowało, stękało, tworząc chaos straszliwy i piękny. Stałem na łódce, jak morski półbóg, zbratany z żywiołem, chociaż boryka-

jący się z nim, jego twór i wróg, pośród tego zamętu i wrzawy pełen niewymiernej siły i szczęścia.

Dopływaliśmy do brzegu.

Na dwadzieścia kroków przed nami złożył się szmat zmoczonego, kwiatkami piany obsianego żwiru, a za nim, przez otwór między dwiema skałami, przeświecała nieduża łączka, tchnąca wilgotną zielenią. Ujrzałem jeden dzwonek, wysmukły, niebieski i kępkę fijołków.

Naraz zapieniło się morze, wciągnęło w siebie, zda się, ziewnęło. Zawrzały fale. Taki ryk podniósł się ode dna, jakby tam ustawiona bateria grzmiała nieustającym ogniem. Żywiół oszalał, zmącił się, wściekł. Barka, porwana w ten chaos, leciała, tańcząc i kołysząc się na grzbiecie potwora, niby skrawek kory. Wicher biczował, sypał w twarz gradem kropli, rwał za włosy.

Płynęliśmy wprost na skałę, która rozsiadła się w odległości dwu metrów od owego żwiru.

Zamajaczyła mi przed oczyma pasiasta, żółto-czerwona tarcza głazu, nabijana gruzłami kamiennymi wielkości kowadła. Szarpnąłem się w bok i padłem na żwir plecami. Usłyszałem chrzęst barki, roztrzaskanej o skałę.

Zerwawszy się, przemknąłem bramą między dwiema skałami, przez którą świeciła błoga zielen.

Gdy po jakimś czasie otworzyłem oczy ze snu, czy z omdlenia, zobaczyłem mego barcatore; kłęczał o parę kroków przede mną, splakany, i, jak w obłędzie, całował szkaplerz. Uśmiechnąłem się bezsilnie i znowu przymknąłem oczy.

Gdy się po raz drugi ocknąłem, doznałem wrażenia, że ktoś błądzi pieszczotliwie po mej twarzy dłonią wonną a niematerjalną i wiotką, jak oddech. Podniosłem powieki. Zajrzał mi w oczy trójlistny, wychylający się z pod kopuły liścia, pomarszczony fijołek. Przytuliłem go do warg.

GODZINA MOCHNACKIEGO.

Chłopicki zdradza rewolucję — zawołał Maurycy Mochnacki, blady, oczami niby dwoma płomienistemi biczami podżegając zgromadzenie, składające się z cywilnych, żołnierzy, akademików, posłów na sejm, oficerów i mias-
towej gawiedzi.

Zakotłowało się na te słowa na sali, zawrzał motłoch i naparł na mównicę. Nad pomostem głów ukazały się kije sękate, błysnęły szpady oficerskie, zamigotały stalowe igły bagnetów. Jak wiatr, który zleci na łąn żyta spokojny, przygnie go najpierw ku ziemi, zwichrzy potem i zacznie targać na wsze strony, podobnie na zebrany tłum oddziałała znie-
waga, wyrządzona przez zuchwałe słowa młodego mówcy ulubionemu generałowi Warszawy.

Zerwał się ryk straszliwy.

- Precz z nim!
- Sameś zdrajca!
- Oszczyrca!
- Za talary pruskie kupiony!
- Hultaj!
- Cenzor!
- Skryba Szaniawskiego!

- Precz ze stołu!
- Zatkać mu ołowiem plugawą gębę!
- Sprzedawczyk!
- Famulus Lubeckiego!
- Wróg ojczyzny!

Burza wstrząsnęła zgromadzeniem i, zdało się, wnet zajmie przód sali, zabierze mównicę i zmiażdży beczelnego oratora.

Lecz Mochnacki nie schodził ze stołu. Bolesny i szyderczy zarazem uśmiech roznamiętnił jego twarz. Z otwartych ust bieliły się wysunięte zęby: zda się, wraz zetną się szczęki, a z warg padnie wyzwisko obelżywe, jak plwocina. Prawą rękę od czasu do czasu wyciągał ku ciżbie, a lewą z wściekłością dusił lufę karabinu.

— Asan chcesz koniecznie klusek na kolację, ano prosimy — ryknął jakiś obywatel w ogromnej, futrzanej czapie, mierząc z długiego pistoletu w pierś Mochnackiego.

Wówczas osiągnęło kilka rąk z dołu, złapało mówcę za nogi i gwałtem ściągnęło na dół. Natychmiast otoczono go, przemocą wzięto pod ramiona i ukrytymi drzwiami wyprowadzono na dziedziniec.

Mochnacki wyrывał się.

— Puście, panowie! na Boga czy na szatana wzywam — zwolnijcie! Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Wróć i wyłuszczyć tej obalamuconej hałastrze, że tu, w tej sali dźwigniona będzie z martwych Polska, jeśli mnie posłuchają.

— Pomiaruj się, Maurycy! Zali nie spostrzegłeś, jak celował w ciebie ów hreczkosiej!

— Duchem kulę jego obłakam! odbije się o moją pierś, jak o pancierz! Serce moje wiedzące dziś jest i nietykalne! Oko moje widzi przyszłość jakoby boginię zwycięską, w laury przystrojoną — jeśli mnie posłuchają! Biada, jeśli oślepną i nie wezmą drogi, którą ja wśród nocy rozeznaję — mówił w ekstazie, szarpiąc się i wydzierając.

— Nie puszczę, choćbym ci miał rękę wykręcić, nie puszczę — powtarzał, borykając się z nim, Adam Gurowski. — Radzę, abyśmy się stąd jak najprędzej oddalili. Wylegną z sali i zagarną nas spiskowcy.

— Spiskowcy?! podchorążowie?! — zapytał, ochłonawszy, Mochnacki.

— Inni spiskowcy, zręczniejsi, niż ty, niedoszły Robespjerze! — chichotał Gurowski.

— Któż na Boga! Nie osłaniaj się tajemnicą.

— Najemnicy Lubeckiego...

— Lubeckiego —?!

— He! he! Długie ma ręce księżę pan. Z banku sięgają aż po sam Petersburg.

Mochnacki zakipiał. Czoło wzburzyło mu się sznurami zmarszczek, usta zacięły w zawziętości, oczy strzeliły nienawistnie.

— Ja go ukróczę, tego dusigrosza przebiegłego — zaświszcział.

— Skrócisz go, powiadasz — szepnął podstępnie przyjaciel.

— O głowę... — rzekł mu Mochnacki do ucha.

— Albo on ciebie — cynicznie zauważył Gurowski.

— Albo on mnie! — tak — przysięgam! Ja go

zmiotę, albo on mnie — przysięgam! — zgrzytał Mochnacki.

— Zanim jednak przedsięweźmiesz działania równie wielkie, jak te słowa, bierzmy nogi za pas, Maurycy. Chodź do mnie, ukartujemy plan gazety.

— O inkauście zamyślasz, bracie, i o gęsim piórku — teraz! — zadrwił Mochnacki.

— A ty śnisz o skrzydłach orlich i o krwi ministerjalnej.

— Bądź zdrow... literacie!

— Do zobaczenia... Dantonie! Do zobaczenia... w redakcji!

— Albo w komitecie rewolucyjnym, albo w piekle! Adamie, tchórzysz?

— Runęliśmy, bracie, od jednego zamachu jego książęcej mości.

— Zapominasz, że jeden sposób zawsze nam pozostaje — — bagnety!

— Albo szubienica!

— Tchórz! —

— Literacie!

Starły się ich spojrzenia ze sobą, jak klingi dwu szabel. Mochnacki założył ramiona na piersiach i bił wzrokiem, jak żagwią. Gurowski pierwszy ugiął się i cofnął.

Mochnacki pośpiesznym krokiem udał się do domu.

Aczkolwiek było już późno, chociaż trzecią już noc czuwał, mimo to usnąć nie mógł.

Ognistemi kłębamii goniły w mózgu myśli ważne, jak sprawa, szalone, jak te zdarzenia, które od trzech

dni przewalały się po ulicach Warszawy, wśród świstu kul, wrzawy tłumów, dudnienia armat i tupotu przemaszerowujących pułków.

Obłęd swobody otumaniał głowy i zniewiesił serca. Uniesienie chwili, do której tęskniło miasto, jęczące pod żołnierskim obcasem Konstantego, pozabawiło rozumu insurekcję. Nierząd swawolny, lek-komyślny zasiadł na wieżach stolicy, niby gołąb, niosący różaną gałązkę pokoju.

Trzeba, żeby jastrzęb o krwawych szponach, oku zimnym i zaborczym, jak haki, o pazurach ostrych, jak nóż gilotyny, rozdarł trzpiotowate serce turlikającego arlekina i rozpostarł nad Warszawą swe skrzydła żelazne.

Mochnacki usiadł na posłaniu.

Trzeba pchnąć wojsko w pogoń za Konstantym, ogień zapuścić w prowincje zabrane, skrzyknąć lud, dać mu siłę, jeśli jej z siebie wykrzesać nie mogą głowy sędziwe i sterane przez ból, czy rutynę. Niechaj żelazny ptak rewolucji pomknie od morza do morza, wzburzy lasy, ziemie i wody, pożar niech zajmie strzechy, zaścianki i pałace, wolność obwieści całej Polsce, pobudzi ten naród potężny, lecz płochy, ale bitny, jak żaden, wyjąwszy Francuzów.

— Któż to uczyni?

Mochnacki kroczył po komnacie, załamując ręce.

Któż zagłębi ramię, prawdy chciwe, w serce miłujące ojczyznę i wydrze zeń moc, za wolą nieba czy piekła?!

Ledwie zaświeciła nad miastem jutrenka swobody, a już gad nikczemny, płaz, samolub w żół-

wiej skorupie, chytry ów minister wyjrzał i przenikliwym dowcipem tłumi pożary święte.

— Ty mu zetrzesz łeb — myślał o sobie Mochnacki. — Ty jeden, gdy ujmiesz ster, poprowadzisz nawę rewolucji na wzburzonych falach serc do zwycięstwa!

Tak! on to dzisiaj urągał mi przez usta gminu, on mnie pierwszy wyzwał. Opętać mię nie zdołał, jak tego żołnierza o zatwardziałym mózgu, jak owego dyplomatę o słabym sercu i bojaźliwej myśli, jak owego poetę niedołęznego a pocziwego.

Och wy! — wy mężowie aż do podłości cnotliwi, wy głowy narodu bezmyślności, wy mądre serca bez krwi, ręce bez żył, bez piorunu!

Nie widzicież, jako ginie ojczyzna, jako wy własnymi rękami zakuwacie kajdany, które młodość jednym ciosem kolby potrzaskała?

Cóż cię omamiło, narodzie polski, że ku wolności wyciągasz ramiona, a gdy ją pojmiesz, sam ją mordujesz?

Za czyją sprawą jesteś jako dąb od wewnątrz butwiejący? — przybliżał się myślą do labiryntu dziejów... i zadrżał.

Cóż to za jęk?

Jakiż to puszczyk zaświstał?

Czyżże to śmiech ozwał się w najtajniejszej komorze serca?

Zgrozą i strachem przejęty stanął, jakby wyciekając na odpowiedź.

— Zdrada u Karmelitów! — szepnęło sumienie.

Drzenie chorobliwe zachwiało czuciem, co jak

strzała prostym i nieomylnym szlakiem szybowało, jasne i widzące, niby promień słoneczny.

O dolo! — dolo!

Struchlała dusza rozpięła się na wyostrzonych gwoździach męki, pastwiącej się nad zmartwiałym duchem.

Mochnacki upadł na łóżko wyczerpany.

Skoro się ocknął, świtało już. Wzniósł poźółtkę z bólu oblicze i mętym wzrokiem zawisnął na portrecie Dąbrowskiego. Ukląkł i wyciągnął rękę ku niemu:

— Matko, z grobu wychodząca! Za ów grzech podły cały się Tobie ofiaruję aż do skonu. Tak mi Panie Boże dopomóż i Ty, cieniu wielki a szlachetny!

— — — — —

Od samego rana pędził Mochnacki na koniu po ulicach miasta. Z jego twarzy skupionej i bladej jaśniało natchnienie. Nie było to już właściwie myślenie, to, co się w nim odbywało, gdy jak duch insurekcji mknął po mieście, lecz jakby obcowanie z gienjuszem narodu, który na chwilę obrał sobie siedzibę w sercu szalejącego młodzieńca. Wszelka idea wytryskała z mózgu, jak z pączka wytryska poranku wiosennego kwiat świetny i odrazu pełny. Ani przez moment nie mąciła głowy myśl spreczna, nieufna, podejrzliwa. Wszystko stanowiło jawną, dotykalmą niemal prawdę. Ten stan ducha objawiał się fizycznie w zgodności i ładzie ruchów całego ciała. Koń nawet zdał się należeć organicznie do osoby jeźdźcy, który, owinięty czarnym, obszernym

plaszczem, pędził przez gwarne ulice miasta, jak płomień.

Takim był, gdy, zdarszy konia tuż przy gromadzie rzemieślników dysputujących przed zamkiem, przemówił:

— Czegóż to stoicie tu bezradnie, obywatele, wiodąc mizerne swary? Zali rąk waszych nie gryzie broń, łaknąca krwi nieprzyjaciela? Konstanty umyka bezkarnie, wojsko nasze mitręży czas drogocenny, jak wolność, z winy wodzów — a w izbach rządu zdrada, jak podły Judasz, usypia oczarowane głowy pocziwych, ale tchórzliwych senatorów i jenerałów. Obywatele! Upadnie Polska, gdy wy nie obnażycie oręża przesławnego z czasów Kilińskiego; w głuchy bruk wsiąknie nadaremno czcigodna krew podchorążych. Rozsypujcie się po ulicach, placach, zaułkach i domach, wołając: zdrada! zdrada! Niechaj za waszym przyczynieniem się zahuczy miasto jednym hasłem: Śmierć Moskwie i jej służalom!

Jak pękająca bomba prysnął okrzyk jeźdźca. Mochnacki spał konia i zapuścił się w Stare Miasto, a jeszcze o mury zapleśniałe tłukło się echo groźnej odpowiedzi sejmujących obywateli.

Kiedy przedzierał się jedną z wązkich uliczek Starego Miasta, usłyszał z piętra pewnego domu ciche wołanie:

— Panie Mochnacki!

— Kto woła? — zapytał.

— Przyjacieli...

— Przyjacieli? Nie mam przyjaciół! Ale słucham, mów pan prędko, czas nagli!

Odemknęło się szerokie okno, a z niego wychyliła się siwa głowa:

— Strzeż się Lubeckiego! Po mieście rozprzestrzeniają paszkwile. Pismo ministerskie plwa na cię, spotwarza cię jako terorystę i denuncjanta. Głoszą, że wdarłeś się do Chłopickiego i nazwałeś go zdrajcą, co jenerała tak rozjątrzyło, że go krew zalała i teraz dogorywa. Jakies ciemne osoby szczują lud przeciwko tobie. Miej się na baczności!

— Dzięki ci, obywatelu, ale obawy twoje płonne są. Obróci się gniew ludu przeciwko jego sprawcy.

— Bóg cię strzeż, śmiałku!

— Polska mnie chroni — nie zginę!

Popędził dalej.

Nasunął tylko kapelusz na czoło, ażeby trudniej było poznać twarz, i z tym większą gorącością burzył, rozgrzewał i judził. Spotykając drobną grupę ludzi, wołał jeno: zdrada! — i przemykał obok, a natknąwszy się na kupy znaczniejsze, osadzał konia i przemawiał. Napotykając wojska, stawał, tłumacząc, przekładając i zaklinając, a jego słowo niby wicher, rozganiający mgły w górach, pokazywało słuchającym zgubę przepaści, w którą niecni lub słabi ludzie chcą strącić naród. Złowrogo szczekała broń w garści prostego żołnierza, zadumywali się oficerowie.

Mochnacki pędził dalej.

Zabłąkawszy się w tej zapamiętałej goniowie gdzieś na krańce miasta, zoczył na wałach ludzi, kopiących dół i obciosujących belki.

Poskoczył ku nim:

— Co tu obrabiacie, obywatele?

— Huśtawkę strugamy, panie — odparli.

— Któż to będzie się kołysał na tej wysokiej huśtawce, obywatele?

— Zdrajca, panie, i zabójca wodza.

— Jakież jego nazwisko?

— Podobno Mochnacki.

— Łlesz, głupcze! — strasznym głosem trzasnął w niego Mochnacki. — Zdrajca, dla którego stawiacie szubienicę, zowie się Ksawery książę Lubbecki, najszkodliwszy robak, jaki kiedykolwiek toczył wnętrzności waszej ojczyzny.

Odbiegszy kilkanaście kroków od ogłuszonych cieśłów, zatrzymał konia i, spuściwszy głowę, rozważał:

— Teraz losy zawyrokują... Do podchorążych! — zapadła szybka decyzja.

Cwałem puścił się, mijając rozgorączkowanych przechodniów, nie zważając już na uliczne, zgiełkowe sejmiki, w milczeniu galopując wzdłuż przeciągających oddziałów wojska. Wpadł na dziedziniec koszar przy ulicy Orlej, zsiadł z konia i wypalił z pistoletu w powietrze. Jak na alarm jęli się wysypywać podchorążowie, biegnąc z karabinami w rękę, jak do ataku.

— Gdzie Wysocki? — zapytał z namiętną ciekawością gromadzących się naokoło niego młodzieńców.

— Poszedł na miasto.

— Nie mamy czasu do stracenia. Obywatele-żołnierze! Znaie mnie! Jestem Maurycy Mochnacki,

tensam, którego nędzny minister rozgłosił dzisiaj po stolicy jako człowieka, dybiącego na zdrowie generała Chłopickiego, jako terrorystę, klubistę, zapaleńca, gotowego Warszawę skąpać w strumieniach krwi. Mam-że wyklądać wam, iż wszystko to jest wierutne łągarstwo, wybieg, godzący w to, ażeby w samym poczęciu wniwecz obrócić chlubne dzieło wasze, noc 29-go listopada? Tenże minister opętał Chłopickiego, Czartoryskiego, Niemcewicza, Lelewela, on to dał wycofać się Konstantemu, on paraliżuje rozwinięcie się rewolucji aż po Bałtyk i Czarne morze, on to jest złowieszczym duchem, który ojczyźnie naszej gotuje śmierć haniebną. Tej poczwary łeb trzeba urwać bezzwłocznie, a ktoby cios ten zadać się wzdragał, spadnie na niego odpowiedzialność za losy ojczyzny. Żołnierze! Na ramię broń! Idziemy do banku! Wahacie się, podchorążowie?

— Na bank, na bank! — zagrzmiał chór.

Wnet uszykowali się i żwawym krokiem poszli za Mochnackim, który z karabinem w rękę, posępny, jak paszcza armaty, wiódł tę młodzież zapalną na dokonanie krwawego zamysłu.

Na rogu, gdy już oddział, sunący niby wrząca lawa, zakręcał na Leszno, rozległa się komenda: — stój!

Zatrzymywał ich Piotr Wysocki, który właśnie powracał z miasta.

— Dokąd, podchorążowie? — na czyj rozkaz?

— Na bank, poruczniku! Mochnacki prowadzi — gwarnie odpowiadali, potrząsając karabinami.

Wysocki zwrócił łagodne, ufne, lecz zapalczywe oczy na przywódcę.

— Na wroga twojego i mojego, na wroga ojczyzny! — rzucił weń Mochnacki słowem, jak pochodnią.

— O kim-że to mówisz? — zapytał z cicha Wysocki, niby nie rozumiejąc.

— Niepodobna, abys nie przeczuwał!...

— Lubecki — ?

— Czasami naród karci sposobem nagłym, jak strzał. Bywa nieraz, iż naród dla swego ocalenia żąda krwi i błogosławione jest wtedy ramię karzące. Jeśli żyje dzisiaj Polak, którego serce nie uderza jednym uczuciem z tą oto młodzieżą, ojczyzna domaga się, ażeby taki Polak zginął. Biermy naukę od Francuzów!

— Nigdy Polak nie splamił swego honoru mordem na zimno wyrachowanym! — krótkim głosem replikował Wysocki.

— Otóż ja zdruzgocę tę tchórzliwą tradycję jako spróchniałą kolumnę niewoli! — zawołał Mochnacki głosem, wzbierającym już od gniewu, i stuknął kolbą w bruk.

— Ale ja na to nie pozwalam! — zakrzyknął porucznik, wyzywająco wcierając się wzrokiem w Mochnackiego.

Wówczas Mochnacki pohamował się w sobie. Dźwięk jego głosu złagodził i jakby napęczał powściągliwym żalem:

— Zbyt wielu sideł, które nam los zadzierzgnął na drodze, nie przejrzałeś, Piotrze... Zali i teraz

nie chcesz rozmotać jednym cięciem niecných kno-
wań dyplomatyki bankierskiej?

— Wiem ci ja, że sprawy źle idą... — odrzekł Wysocki, a jego twarz pokryła się chmurą bezradnego smutku.

Wtedy Mochnacki natarł na niego całym impetem:

— Przeto dobądź siłę z twej piersi! Górnym orłem zleć na lichego płaza, roztargaj go! Waż w czułym sercu nie życie lub śmierć jednego człowieka, ale niech twym sumieniem poruszy groza zatracenia wszystkiej ojczyzny. A nie masz dość wielkiej ofiary, której Polak nie powinien położyć na szalę, gdy go Polska wzywa. Słuchaj, Piotrze! Ten człowiek, to szatan, chcący przytłuc głazem kalkulacji anioła wolności, zbudzonego w grobie za waszą sprawą — rycerska młodzi polska!

— Nad siły moje wymagasz — odezwał się Wysocki. — A jeśli mylisz się? Jeśli tylko ambicja podżega cię do tej zbrodni, Maurycy?!

Na te słowa przeobraziła się twarz Mochnackiego. Jakby ktoś z boku zaciął go gałęzią ostu. Usta zwinęły się w szyderczy, a zuchwały i dumny uśmiech, czoło zasepiło gniewem, niby grzywa szumiącej fali morskiej.

— Ha! — ha! tak jest! To jednakowoż wiedz, Piotrze, że dziś mówi przeze mnie ojczyzna! Ja chcę i wezmę rząd w swoje ręce, jeśli nie masz zdatniejszych. Na Boga! — dość tej bękarciej polityki, dość rozlazłego kunktatorstwa! Idziesz z nami... czy nie?! — rzucił ze wzgardą, pożerając go oczami.

— Nie! — hardo odbił Wysocki.

— Za mną, podchorążowie — naprzód! — zakomenderował wówczas Mochnacki, stając piersią do żołnierzy i potrząsając karabinem, jak sztandarem.

— Stój! — huknął Wysocki. — Wtył zwrot — do koszar!

Stanął przed szeregiem i wyciągniętym pałaszem zagroził im drogę:

— Chyba po trupie moim!

Zamęt wszczął się wśród żołnierzy. Zaszemrały szeregi i zaczęły pękać.

Mochnacki skoczył na czoło kolumny. Zdało się, jakby skry sypnęły z jego rozgorzałej twarzy.

— Za mną, podchorążowie, zbawiciele ojczyzny! — wezwał głosem grzmiącym.

— Stój! — Wtył zwrot! — marsz do koszar! — huknął porucznik, podnosząc do góry pałasz.

— Bohaterowie z Belwederu! — podchorążowie białego orła! — podburzał Mochnacki.

— Żołnierze! — twardym, nieugiętym głosem wgniatał Wysocki dusze pod stalowe jarzmo dyscypliny.

Rozkaz przesilił słowo.

Ucichło w szeregach młodzieży wybladłej, stropionej, lecz już posłusznej. Byli już pod Wysockim jako nabój armatni, czekający na iskrę lontu.

— Do koszar! — pchnął ich jeszcze.

Niby członki stugłowego smoka, zwinęli się, zawrócili i, lśniąc złowrogo sierścią bagnetów, ruszyli nazad.

— Gorze nam! — gorze mnie! — jęknął Mochnacki, z rozpaczą stwierdzając, że mu wysunął

się z rąk ostatni, niechybny pocisk. Zginałem! Któż mię posłucha, jeśli najlepsi zdradzili?!

Zmaconym wzrokiem toczył naokoło. Ostatnim wysiłkiem wbił się na szczyt poznania i, niby latarnią w ciemnym lesie, szukał.

Pracę tę przerwała mu jakaś postać ludzka.

Wzrok jego zachwycił figurę człowieka, stojącego o kilka kroków z boku. Człowiek ten, o twarzy brzydkiej i ponurej, nieśmiało oczami, ale natrętnie obmacywał jego osobę. Płomień hańby i wstydu objął Mochnackiego od stóp do głowy.

Był to bowiem stróż z więzienia Karmelitów.

Mochnacki porwał za karabin i zmierzył, lecz zanim zdołał pociągnąć za kurek, ów człowiek zgął się i zwinnym susem, uchylwszy się z pola strzału, uciekł. Mochnacki chwycił oburącz za lufę karabinu, zawinął nim w powietrzu i grzmotnął kolbą o bruk. Karabin złamał się na dwoje.

Pot perlił się kroplami na twarzy Mochnackiego, piersi gwałtownie łapały powietrze. Jakby znagła obudzony jął się rozglądać.

Zaczynał pojmować...

Teraz dopiero ogarnęło go śmiertelne wyczerpanie. Nikłym krokiem, pochyliwszy głowę, szedł wprost przed siebie, snując dumania bez pojęć i wyrazów, ciekące same z siebie, jak lepki namuł. Zboczył w jakąś ulicę, mijał jakichś ludzi, na nic nie pamiętny, ślepy na rzeczywistość, zmartwiały.

Nagle dosłyszał swoje nazwisko, hałaśliwie wykrzykiwane przez wielu ludzi.

-- Mochnacki! — Mochnacki!

- Poznajesz go?
- Widziałem go przecie wczoraj, jak zmykał z sali, aż się za nim kurzyło.
- Mamy ptaszka! Ha! Ha!
- Trzymaj! — łapaj!
- Goń!
- Małżonka ubrana do ślubu — ino wzdycha...
- Że aż trzeszczy.
- Obcałuje cię, uhołubi.
- Przytuli gorąco!
- Na wieki!
- Huż — ha!
- Dziś nam nie zwiejesz!

Ostatnie okrzyki rozbiły się już niemal o plecy Mochnackiego.

Jeszcze chwila, a byłby się dostał w ręce pospółstwa. Bo zrazu słyszały mu się te głosy daleko i obojętnie, jakby wycie motłochu nie dotyczyło jego samego. Zatraciło się w nim poczucie realnego istnienia, a do tej sfery, w której przebywał, przesiąknęły głosy motłochu, niby wątle echa życia, dochodzące zapewne człowieka pogrążonego w letargu. W pierwszym czasie nie wywabiły instynktu na poziom świadomości, lecz następnie zatliło się od nich w podziemiach jestestwa czucie ożywcze i żarliwe, niby jedno westchnienie, jedno wytryśnięcie ducha wieczystego, nakazujące trwać.

Pogoń już, już dosięgała celu.

Wtedy uniósł się w sobie i poczał biec. Kilku pierwszemi skokami odrazu wyszarpnął się z tłoku. Przeleciał obok kilku domów, ale były zamknięte.

Dalej rozciągała się przestrzeń, zarośnięta drzewami, a za nią wznosił się budynek bankowy. Postanowił uciekać w stronę banku, spodziewając się znaleźć tam jakąś pomoc. Ale przed bankiem krążyły gromadki ludu, którego czujność obudziło szczucie ścigających.

— Mochnacki!

— Nie puszczać!

Już czyjeś ręce ścisnęły zbiega w plecach.

— Mochnacki! Mochnacki! — rozlegały się wrzaski i gwizdania.

— Dawać go!

— Na szubienicę!

Wówczas za szybą gmachu ukazała się nieco obrzękła, blada twarz. Ujrzał ją jeniec. Na ten widok z jego oczu wysmignęły dwie błyskawice, jak dwa węże, i z nienawiścią wpiły się w spokojne, szare źrenice ministra. Mochnacki zgarbił się, jak kot, ściągnął muskuły i, rozprężwszy je potym w karku, plecach i ramionach — prysnął wprzód, jak fontanna. Wywrócili się odepchnięci tym nieoczekiwanym wybuchem siły ludzie, krępujący więźnia. Roztrącił jeszcze kilku, próbujących go obezwładnić, wpadł na szerokie, kamienne stopnie, otworzył bramę — i odetchnął dopiero w korytarzu.

Z bocznych drzwi właśnie wychodził na jego spotkanie Lubecki. Uderzył w Mochnackiego spojrzeniem, jak prętem, i, uśmiechając się bezdźwięcznie, rzekł po chwili:

— Niebezpiecznie jest tak wysoko latać, panie Mochnacki!

Poczym skinął głową i, uczyniwszy ruch zapraszający, głosem uniżenie grzecznym dodał:

— Gościa tak nieoczekiwanego witam. Na honor, że chyba dymisja od Najjaśniejszego Monarchy mniejby mnie zdolna była skonsternować. Gość w dom, Bóg w dom.

Mochnacki, milcząc, pierwszy przestąpił próg komnaty. Za nim wszedł gospodarz i dokładnie zamknął drzwi.

— Przejdźmy jednakowoż do gabinetu. Będzie nam ciszej. Te prawdziwie za głośnie tumulty z ulicy czyniłyby trudnemi spokojne rozprawy. Znieść nie mogę demosu.

Weszli do zacisznego pokoju z oknami na ogród. Mochnacki, usiadłszy, zuchwale wczepił się oczami w ministra.

— Odpowiesz mi za to przed narodem, mości książę! — wyrzucił z siebie, jeszcze dysząc i sapiąc.

— Bah...! — rzekł książę, pyknął i wypuścił z fajki kłęb dymu.

— Przed trybunałem ojczyzny staniesz, książę!

Lubecki zakaszlał, lecz zaraz przytłumił chusteczką ten nieprzystojny hałas.

— Szczerze radbym wiedzieć, gdzie to ów trybunał sądy swoje odprawia?

— W piersiach wulkanu, którego nazwanie jest — lud!

— Zaczynam się dorozumiewać. Niemniej okoliczności wyznać każą, że ów właśnie trybunał użył mi szczęścia goszczenia pana pod moim dachem.

— Loika sofistyczna, mości książę!

— Tak dobitna, jak wyraźne jest oblicze Najmiłościwszego Króla na polskim dukacie.

— Tak — ! Książę stanąłeś na zawadzie ruchowi, który rozerwał ministerskie pałace z kart jednym atakiem swej woli.

— Czy rozerwał? — ośmielił się okazać powątpiewanie uprzejmie poważny gospodarz.

— Na czerepy połamał książęce systema!

— Żywię nadzieję, że nasze systema powiedzie nam się zdrutować, a że to nie jest czcze omamienie, o tym jasnie przekonywa ostatnie nasze zwycięstwo.

— Zwycięstwo?

— Przytomność najdzielniejszego herolda emeuty ulicznej w banku.

— Drugi raz już świeci mi książę w oczy tym argumentem. Prawdziwie przeczuciem ostrzeżony, rozsnułeś naokoło mej osoby kabałę, wiedząc, że jeżeli kto, to ja mogę wniwecz obrócić wasze zdradliwe machinacje. Ale gra jeszcze nie skończona, co dopiero kości rzucone...

— Przedwczoraj rzucone, a dzisiaj wygraną trzymam oto w ręku.

— Zawodna bywa łaska fortuny — sarkastycznie odparł Mochnacki.

— Nie fortuna dała mi przewagę, lecz rachunek.

— Jest granica, poza którą rachmistrzowstwo prowadzi jeno do porażek...

— Partacz zawsze przegrywa, albo niedoświadczona a fantastyczna głowa, panie Mochnacki.

— Zatym zważ, mości książę, żeby jakowyś błąd nie wkradł się w twą arytmetykę. Teraz pora rachować

pierwiastki, nie mające ceny: krew i natchnienie narodu! — Za krzywy rachunek można drogo zapłacić!

— Czymże to?

— Głową...

— Unosisz się, młodzieńcze — surowo ostrzegł Lubecki.

— Możesz zostać podniesionym, mości książę! — krzyknął Mochnacki.

— Któż to mi grozi? — zapytał Lubecki zimno.

— Ja!

Teraz dopiero Lubecki wypuścił zaczajony gniew.

— Ty? Któż to jesteś asan? — rzekł, śmiejąc się ironicznie, i, odchyliwszy się na fotelu, z wysoka oglądał swego gościa, jakby go w tej chwili zobaczył. — Zdolny literat, który nie potrafił w więzieniu trzymać języka za zębami.

— Haniebną jest rzeczą walczyć takimi argumentami, mości książę — drgającym głosem zawołał Mochnacki.

— Nie, panie! Haniebną rzeczą było i jest denuncjować — przytłoczył go Lubecki. — Kim-że to jeszcze jesteś asan? Gaduła, demagogiem, którego bawią słowa, z prawdziwą swadą wygłaszane po klubach i kawiarniach? Jakóbin, któremu marzy się tryumf francuski? Ależ ja was wszystkich w tydzień pozbieram do kojca, jak hałasujące koguty. Zainicjowaliście ruchawkę, napsociliście, jak żaki, obraziliście wielkiego księcia, wypłoszyliście episjerów z pod ciepłych pierzyn — a teraz sami nie wiecie, jak wypić to piwo, któreście nawarzyli. Wypadło nam dopiero z pomocą mężów rozsądnych

i cieszących się zaufaniem narodu wziąć kierunek spraw we własne ręce, aby wprowadzić ład a rozuchwalonym młokosom pokazać bizun! — Od jakiej-że to potencji posłujesz tu, zbiegu, ścigany przez własnych partyzantów? W imieniu czyim perorujesz asan? Któż jesteś, że mi grozisz, mnie! — ministrowi Najjaśniejszego króla! Jakóbiny! — co proszą swych wrogów o przytułek — przed tym uwielbionym ludem!

Mochnacki porwał się z fotelu z podniesioną ręką:

— Milcz, płatny urzędniku!

Lubecki odstał kilka kroków i klasnął w dłonie.

— Trzeba was zdusić własnym postronkiem! — szepnął mściwie i rzekł do lokajów: — Wyprowadzić na ulicę tego człowieka. — Oddaję cię ludowi — ha! ha! Mierz siły na zamiary — panie romantyku! Ha! — ha!

Na te słowa cikliwa, fizyczna nudność napłynęła z gardła do ust Mochnackiego, ciemne tumany osaczyły go zewsząd. Z ust wyrwał się przykry jęk. Zgiął się w ramionach podtrzymujących go lokajów i stracił przytomność.

Służący spojrzeli na księcia.

Lubecki z dziwną ciekawością oglądał zsiniałą i wychudłą twarz wroga, podobnego teraz do podstrzelonego orła.

— Il faut sauver ce jeune homme! — mruknął do siebie. — Zanieść do małego gabinetu, ocucić i pilnować u wejścia — kazał służbie.

Kiedy Mochnacki podniósł powieki, pierwszy ruch świadomości odsłonił mu bolesną ranę: „po-

konany". Zamknął oczy, próbując usnąć. Mózg jego płonął, szumiał i pryskał, jak dach pożerany przez ogień. „Haniebnie pokonany“ — zobaczył znowu, ściskając dłońmi czaszkę.

„Gdzie tkwi pomyłka, w jakiej szparze ukrył się robak klęski?“ Skupiał się, zwierzał w sobie czucie i wyćwiczoną władzę myślenia przechadzał po królestwie swej wiedzy, badając, jak zegarmistrz, rozkładający werk zegarka. Na polach wyraźnie wiedzącej myśli przekradł się cień stróża od Karmelitów. Ból, jak po otrzymaniu policzka, przerwał świadomość bezlitosnym nożem.

Znowu starał się przytłumić świadomość i usnąć. Nagle wspiął się w nim płomień buntu. „Wszakci widzę, wiem, znam, że sprawa ginie — Boże miłosierny! Jeśli tak, przecz nie mogę otworzyć oczu braci, zagrożonych w ciemności?“

Rozpacz niemocy przejęła go cierpieniem nie-dającej się opisać katuszy. Zgroza pieściła go drapieżnymi pazurami. Z gorejącego serca wołał głos Matki do syna: „ratuj“!

Szlochał.

„Czemuż to moje słowo nie wpada w ich uszy, jak nasienie w otwarte łono ziemi? Dla czegoż, gdy wskazuję, nie szukając dla siebie niczego, nie idą za mną?“

W śmiertelnej męce zarył się w głąb ducha, pragnąc dobrać się do samych wnętrzości bytu, które są jako centr ziemi ogniste, a przykryte wiekowymi warstwami stwardniałej skorupy. Z tego środka, gdy pracował krwawo, kopiąc za prawdą, zajaśniał promyk światła przeraźliwej treści: „Zatraciłeś czystość

serca czyniących sprawę dobre. Przeto odebrana ci jest moc, która, gdy błysnie, zabija“.

Skurczył się i w odrętwieniu cichym długo zaglądał w szczelinę, przez którą danym mu było widzieć sprawiedliwy sens rzeczy...

Przerwało mu tę mękę wejście Lubeckiego.

— Ha! — ha! — klubista medytuje! A tu właśnie przysłano mi wiadomość, zapewne nie obojętną dla pana; generał Chłopicki powziął zamiar ogłoszenia się dyktatorem dla tym skuteczniejszego sposobu prowadzenia negocjacji z Najjaśniejszym królem. Dalejże, młodzieńcze! — ironicznie mignął nani okiem księżę — zawołaj: vivat dyktator!

Mochnacki, wykrzywiwszy twarz uśmiechem szyderczym i bolesnym, zawołał:

— Vivat dyktator, pereat patria!

— Rozsądna kalkulacja i jedyna racja stanu, panie Mochnacki — rzekł na to, potrząsając ramionami, minister.

— Strach, zgrzybiałość myśli i oświecona pustka w sercu, mości księżę — odparł Mochnacki, a przepalone gorączką oczy rozpaczały, jak u straconego szatana.

CHŁOPCY.

Franek wisiał na wierzchołku sosny i, jak wiewiórka, kręcił głową, rozglądając się naokoło. Od czasu do czasu przeginał się w dół z gałęzi, na której siedział okramkiem, półgłosem wołał: „nie widać“ i znowu wyciągał szyję długą, jak u charta, wyężając słuch i wzrok. Nagle targnął się, aż drzewo zaskrzypiało, wsunął do ust dwa palce i gwizdnął. Potym zsiadł z gałęzi i jął się spuszczać na dół z szybkością kota. Zesmykiwał się, zahaczając ubraniem o sęki, ale nie czuł nawet zadraśnięć, gdy otarł ręką o chropowate łuski spękanej kory. W mig stanął na ziemi. Oczy świeciły mu wesoło, rumieńce krasily młodzieńczą twarz. Znalazszy się pośród gromadki kolegów, odsapnął i mówił:

— Za tym zagajnikiem, który widzicie, rozciągają się nalewo wzgórze piaszczyste. Ale tu, naprawo, las rośnie wzdłuż szosy, a dalej podnosi się w górę. Przeciwnik ukazał się na piaskach — zobaczyłem czapkę. Trzeba ich złapać w zasadzkę. Tutaj zostanie trzech; macie zrobić taki hałas, aby oni myśleli, że obozujemy tu wszyscy. Reszta udaje się za mną, zajdziemy ich z tyłu i zaatakujemy.

Rozdzieliwszy gromadkę, zakomenderował:

— Baczność! — cicho — biegiem!

Pochylili głowy i, zgłąwszy się wpół, pognali. Pędzili na palcach, bezszelestnie, owionięci krzykami trzech pozostałych, którzy według komendy rozpoczęli strasznie hałasować, żeby zwrócić na siebie uwagę nieprzyjaciela.

Plan Franka udał się doskonale.

— Faflaki, fajtlapy — kpili zwycięzcy.

— A bo chcieliśmy się rozejrzeć w okolicy i wysłaliśmy Kamila na te wściekle piachy...

— No, wiesz, pokazywać się nieprzyjacielowi na gołym pagórku — w biały dzień! To tak, jakbyś poszedł do Buraka i zameldował: Proszę pana, ja dzisiaj ani w ząb! — a on ci zaraz pałę! Gamajdę to już z was, jak Boga kocham! — chełpił się najdzielniejszy biegacz.

Słońce zachodziło — należało wracać do Warszawy. Oddziały podzieliły się znowu. Jedni mieli jechać na „gapę“ pociągiem osobowym, inni pociągiem towarowym, który wnet potym odchodził. Podróżowanie na „gapę“ stanowiło także ćwiczenia. Nawet kiedy mieli na bilet, wracali jednak z wypraw zadarmo, co groziło nieraz poważnym niebezpieczeństwem. Wypadało wysiąść z pociągu w pełnym biegu, aby uniknąć kompromitacji.

Dzisiaj tylko obaj naczelnicy, Franek i zwyciężony Nasiecki, postanowili wziąć bilety. Po bitwie, gdy oddziały swawoliły na biwaku, wodzowie odeszli na bok, prowadząc żywą rozmowę. Nasiecki, mocny, wrzący energią chłopak, o brawurowej od-

wadze, sławny w szkole awanturnik i zawzięty mówca, był zrazu wściekły z powodu doznanej porażki, ponosowy z gniewu i obrażony. Ale gdy mu Franek wykazał jak na dłoni, że w takich okolicznościach poniosłby klęskę sam Napoleon, Nasiecki, zastanowiwszy się przez chwilę, gorąco potrząsnął dłonią Franka.

— No! — sprawię ja wam łaźnię innym razem.

— Czytałeś? — Czarnogórcy oblegają już Skutari! — zwinnie zmienił tok rozmowy Franek.

— Wojna?! — Szkoda, że nie możemy przyjść im z pomocą.

— Ciągnie cię na wojnę, Stachu?

— Pytasz?! — zapalczywie odparł Nasiecki.

— Wojna, wojna... — westchnął Franek, wzdychając do nieba. — Tobie to dobrze...

— A co? — Znowu cię stary prześladuje? Wiesz co, Franek, jabym już raz skończył, do cholery ciężkiej!...

— Tobie to łatwo...

— A ja to mało niby musiałem się nawierzgać? Teraz już stryjenka nie zaczepi mnie, choćbym wrócił nad ranem, ale ile na to trza było pracować! Mówię ci, Franek, jesteś chłop, masz lat szesnaście! Przy najbliższej awanturze grzmotnij pięścią w stół i powiedz: albo dacie mi żyć — albo pies z wami tańcował!

Franek podskoczył z ziemi, jak foot-ball.

— Rękę, bracie! Tak im powiem, jak cię kocham, Stachu. Ja ich nienawidzę — tych sknerów, pasi-brzuchów, i to wszystko, co oni mówią i czego chcą ode mnie. Powiem: albo mi dacie spokój, albo...

— Pies z wami tańczył — przybił Nasiecki.

— I suka i czternaście szczeniaków! — parsknął Franek.

— I ksiądz prefekt i pan dyrektor z panią dyrektorem — sypnął Nasiecki.

— Ha! ha! ha! — ha! ha! ha!

Zakipiało w nich życie, nogi same jeły podrzucić się i tańczyć. Pobiegli do kolegów, fikając i koziołkując. Nasiecki zatrzymał się w środku gromady w takiej postawie, jakgdyby miał zamiar przemówić. Uciszyło się. Lecz mówca zrazu sam nie wiedział, co ma powiedzieć. Nagle zadarł głowę do góry i huknął:

— Niech żyją Czarnogórcy! — Koledzy! — vivant Czarnogórcy!

— Niech żyją! — odpowiedzieli, gotując się do wymarszu na kolej.

W pociągu Franek ocknął się z zamyślenia.

— Stachu, a gdyby tak na co trzeba było, to skąd wziąć — — monety?

— Głupstwo!

— Tobie to dobrze...

— Djabli mnie biorą, kiedy mówisz wiecznie „tobie to dobrze“. Ściągniesz albo wykręcisz, jak i ja.

— Ojcu?

— Ojcu, matce, ciotce, wujowi, babce, wnukowi — komukolwiek. Oni i tak tracą pieniądze na świństwa, na brzany, aktorki.

— Ale mój nie taki bogaty...

— Sto fajgli zawsze znajdziesz. Wyrzutów sumienia chyba nie będziesz miał, zresztą na wojnie są też księża, to się wypowiadasz.

Pociąg zajeżdżał na stację.

— Pamiętaj, Stachu! — przyparł go rozmiłowany spojrzaniem Franek.

— Nie wierzysz? No, to ci przyrzekam, że tak jak w tej chwili strącę tej fujarzy cylinder z jego głupiej czaszki, gwizdnij tylko, a pójde z tobą do piekła.

Ze schodów podjazdu dreptał ostrożnie, jak kocięta, elegant w złotych binoklach, w cudnie wyprasowanych ineksprymablach, zalotnie i wzgardliwie uśmiechnięty. Opierał się na cieniutkiej laseczce i dawał do poznania, iż wie, że wszyscy nań patrzą z szacunkiem. Nasiecki podbiegł do niego i przytknął raz w cylinder, zaszedł mu od przodu, przytknął drugi raz w nos. Cylinder i binokle stoczyły się po kamieniach. Zaczepiony nie mógł w pierwszej chwili pojąć, co się dzieje...

— Żebyś się tak więcej nie wydymał, podły burzuju — chlapnął mu śmiechem w oczy Nasiecki, uklonił się, chwycił Franka pod rękę i wpadł z nim w dwukonną dorożkę.

— Tego — a to smarkacz! — piskliwie krzyczał poturbowany, zbierając swą własność prywatną.

— Widziałeś, jaką miał głupią minę? — ryczał Nasiecki. — Wał, bracie — zawołał na dorożkarza — żeby nas tamten cymbał nie dogonił. — Mówiłeś — rzekł do Franka — że nienawidzisz swoich starych, a ja dla moich mam pogardę. Tchórze, sobki, albo tacy, jak ten, któremu dałem przytknąć w nos. Myślisz, Franek, że mało znoszę od nich wyrzutów? A zaco? — nawet nie przypuszczasz! że się za-

dają z hołotą — rozumiesz? — ty i koledzy, to ich zdaniem hołota źle wychowana, o chamskich nawykniach. Woleliby, żeby się włóczył z szan-sonistkami, niż z wami. Ach, Franek! Nieraz marzę, żeby zaprowadzić tłumy do ich mieszkań...

Nasiecki przerwał, mocno przyciskając ramię przyjaciela.

— Chcę ci coś powiedzieć, Stachu...

— Mów, Franiu.

— Widziałem raz u ciebie...

— U mnie? — kogo?

— Jedną panienkę...

— I zakochałeś się — mów szczerze!

— Była w białej sukience i miała jasne włosy.

Przechodząc — zajrzała w otwarte drzwi twojego pokoju i tak jakoś wpadła swymi oczami w moje. Czułem się szczęśliwy tego dnia — wyznawał Franek, rumieniąc się.

— Kiedy to było?

— O! — dawno, bardzo dawno... Potym wróciła jeszcze raz i powiedziała do kogoś — słyszałem — „ciociu“...

— Mam! Taka z pyrkatym noskiem?

— Zgrabna i lekka, jak obłok... — rzekł Franek, z wyrzutem zerknąwszy na przyjaciela.

— Mała?

— Duże, niebieskie oczy... śliczne!...

— Jest! — Lena, z pewnością Lena, moja kuzynka.

— Lena...

— Lena jest ładna i dobra.

— Dobra...

— Chcesz ją poznać?

— Chciałbym; marzę o tym od tego czasu...

— Franek! — uścisnął go Nasiecki. — Ja to urządzę.

— Ale boję się...

— Czego?

— Nie wiem, ale boję się na myśl, że mógłbym się znaleźć wprost niej i spojrzeć w jej twarz... Leny...

— Dziwak jesteś. Najpierw opowiem jej o tobie, że jesteś moim przyjacielem, że cię kocham za twoją mądrość i szczerłość. Bo wiesz, Franek, jak długo żyję, to jeszcze tak pięknego człowieka, jak ty, nie spotkałem.

— Wszyscy są tacy, tylko ty tego nie widzisz. A ty sam jesteś niby gorszy?

— Ja! — ho! ho! — bratku — już dzisiaj smażyłbym się w smole po uszy.

— Co ty mówisz?!

— Wiesz, zaco cię tak kocham? Od chwili, jak się zaprzyjaźniłem z tobą, przestałem robić świństwa.

— Naprawdę?

— Słowo honoru!

Umilkli. Podniecenie, w jakim spędzili kilka godzin, rozplywało się w tkliwą radość. Gorące, ogniste barwy ubrały im świat w czarujące, bohaterские obrazy. Franek śnił o panience, a Nasiecki, zda się, czyhał na każde jego pragnienie, żeby je wypełnić. Wyobrażnia ich przedła przyszłość niby wnętrza płomieniejące, po których oni przechadzają się, jak dwa półbogi, wśród uniesień i podziwu tłumów.

— A potym śmierć — szepnął niemal Franek.

— Nie wiesz ty, Franek, dla czego ludzie boją się śmierci?

— Właśnie, że nie wiem. Zawsze mi się wydaje, że będę umierał szczęśliwy.

— Bo ja mógłbym w tej chwili skoczyć pod automobil.

— Ja tylko jednego chciałbym przed śmiercią — być z nią...

— Z Leną?

— Z Leną.

Dojeżdżali już.

— Musimy się pożegnać — rzekł Nasiecki. — Ja to urządzę, wiesz... Gdy Lena przyjedzie do stryjenki, dam ci znać. A potym tak już zrobię, żeby wam nikt nie przeszkadzał — dobrze?

Franek skinął głową.

Było już dobrze po dziesiątej. Przyjaciele ucałowali się w milczeniu i wysiedli z dorożki. Franek śpieszył do domu, obawiając się ostrych wymówek. Na szczęście rodzice jeszcze nie wrócili. Odetchnął.

Rozbierał się machinalnie.

Był zupełnie odurzony. Lena... Lena... marzył. Mignęła mu twarz Stacha. On, Franek, siedzi na drzewie, a tamten wyjrzał z lasu i uśmiecha się. Naraz tupot walczących. Franek goni na czele, woła, boksuje, tego potrąci kolaniem, tamtego trzaśnie pięścią — las szumi, gędzi... A z boku przystanęła Lena, w białej sukience, rozpromieniona, jak świt. Klęka u jej nóg, kładzie głowę na jej kolanach — łyzy upojenia płyną mu z oczu. Szczęście! Och, jakie

krótkie... cierpki lęk kurczy serce: twarz ojca — czerwona, pyskata, zła... precz!... precz!... Znowu krzyk kolegów — przemyka kędyś żółte wzgórze piaskowe, na nim jedna tylko sosna, prościutka, odarta z konarów, jeno u wierzchołka porusza gałęźmi, jak piórami...

Sadzą konie, a serce skacze... Snują się jakieś majaki, sennie, niebieskawe, myśli, czucia i doznania gwałtowne i łagodne. Naraz płomień jeden, drugi, białawe kłęby dymu! Na górę wdzierają się ludzie z karabinami w rękach, w żółtych kozuchach, a z czerwonych murów wychylają się jaskrawe zawoje. Wojna! Entuzjazm bucha z twarzy, ceglaste łuny świecą naokół... pada jeden, drugi — ale to nic — Franek wie: ja wdrapię się na ten czerwony mur. Zdaje mu się, że z drabiny ktoś zlatuje, niby Stach. Franek pędzi, podpira go...

Sfera widzenia zawleka się mętnym oparem, ciemnieje, zapada w głąb... Jeszcze tylko jakby technicznie trwogi musnęło duszę.

Już usnął Franek.

Kilka dni potym otrzymał list: „Najdroższy Franiu! Czekam na ciebie, przychodź jak najprędzej! Będziemy sami i L... Śmieje się, bo jest głupia, ale pragnie cię poznać. Franek! Bulgarzy, Grecy, Serbowie biją się! Vivat bellum! St.“

Dreszcz lęku przeniknął Franka. Odsunąć tę straszną chwilę jak najdalej! Skłamię przed Stachem, odpisze, że jest chory. Trzęsło nim febryczne drżenie. „Śmiała się...“ Dla czego? — Prawda! — jak on mógł nawet w marzeniu sięgnąć do niej — mu-

siało ją to obrazić! Śmie, on śmie myśleć o niej, o ślicznej, która ma jasne włosy i oczy, jak dwa kwiaty.

Zjawiła się przed nim — śmigła, giętka, powiewna jak dusza...

Jestem nędzny, podły, brudny! Marzyłem, że opieram głowę o jej kolana, że ona nachyla swe usteczka... Za chwilę ona go ujrzy, przeczuje wszystko — i przepadło. — Nie — nie pójdzie!

A jeśli nie pójdzie — także przepadło. Obrazi się, na śmierć się obrazi! Ten Stach, który sobie wyobraża, że ja jestem mądry i piękny, nawet się nie domyśla, ile podłości kryje się we mnie...!

Drżącymi rękami zapinał kołnierzyk i już brał za czapkę, gdy we drzwiach wejściowych stanął ojciec.

Tęgi, o grubej, impetycznej twarzy, dyrektor towarzystwa pożyczkowego.

— Dokąd idziesz?

— Mam interes...

— Przed obiadem niema żadnych interesów. Zostaniesz w domu.

— Nie mogę, muszę, proszę ojca.

— Zostaniesz w domu, powiadam — i koniec!

Franek był przez chwilę niezdecydowany. Nagle pochwyciła go tak silna rozpacz, że nie ujrzy Leny, iż osłabł w nogach.

— Zostać?! — za nic w świecie!

W jednym mgnieniu oka przemknęły obrazy wszystkich następstw, gdyby nie poszedł, a dalsze życie przedstawiło mu się niby posępny loch tor-

tur i nieszczęścia. Porwał czapkę i, zwróciwszy się do ojca, oznajmił:

— Muszę iść...

— Nie pójdziesz — bałwanie jeden!

Otwarł drzwi i biegiem puścił się po schodach.

— Franek! — usłyszał za sobą wściekły głos ojca.

Wpadł do tramwaju. Był jak w gorączce. Pierwszy raz w życiu poczuł samotność. Wszelkie zjawisko istniało dla siebie, bez łącznika z jakąkolwiek całością. Idą, jadą, pędzą ludzie — jak obłąkani. Słońce świeci, ale jak upiór. Jakieś poczwarne westchnienia unoszą się w powietrzu — ktoś tam jęczy i płacze, jak w dzień Sądu.

Poczucie prawdy, druzgocące dla młodych, podniecające dla dojrzałych i śmiałych natur, że życie jest nieporządnym chaosem, wirem oszalałych istot i złowrogo bezmyślnych zdarzeń, które trzeba ująć w karby — poczucie tej prawdy przerwało we Franku świadomość związku i łączności z własną przeszłością. Dusza jego szamotała się, jak las w chwili dzikiej swawoli wichru.

Smolna! wysiadł z tramwaju. Pobiegł kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się — i znów pobiegł. Nie pamiętał, kiedy się to stało, że się znalazł przed drzwiami Nasieckiego, zadzwonił, że mu drzwi otworzyła Lena, wprowadziła do pokoju, kazała siąść. Później nawet nie pamiętał, czy się przedstawił.

— Właśnie Stach — zaczął...

— Kuzynek prosił, żebym pana przyjęła, zaraz przyjdzie.

— Stach jest bardzo dobry, ale niech mu pani nie wierzy!

— Nie? — zaśmiała się.

— Ja jestem zły, głupi, podły...

Lena spojrzała zdziwiona.

— Co też pan mówi...

— Pani jest śliczna i dobra — prawda?

— Jestem śliczna?

Franek przemilczał.

— Okropnie jest na świecie...

Spojrzała załęczniona.

— Zdziwiło mię, że tramwaju nikt nie ciągnie, ani nie pcha, a tramwaj i tak jedzie.

Zatrzęsła się od śmiechu.

— Czego się pani śmieje? — zapytał ze złością.

— Damy nie wypada dopytywać o powód śmiechu, ale mówi się: ma pani ząbki jak perły.

Lena kokietująco założyła nogę na nogę. Ten ruch zirytował Franka.

— Niech mi pani nie pokazuje nóg, bo ja panią kocham.

Nagła fala szczęścia wezbrała w duszy Franka. Uczucie rozkoszy zapanowało nad zmierzwioną, rozbłą świadomością.

— Jak narcyz i jak dobra matka jest pani. Tak mi słabo i szczęśliwie. Niech pani zbliży się do mnie, bo ja nie śmiem, i bawmy się jak dzieci.

Spojrzała ze współczuciem.

— Panno Leno...

Podeszła do niego.

— Światło bije od pani...

Gładziła go rękami po włosach i policzkach, zwolna, nieświadoma jeszcze a ciekawa, uśmiechając się wstydliwie. Naraz Franek chwycił ją za ramiona, posadził na kolana i jął całować, wdzierając się rękami do ciała, przyciskać do siebie w nieprzytomnym szale i smagać pocałunkami, jak uderzeniami rzemienia. Lena, usiłując wyrwać się, pieszcząca. Chłonąc jego usta, gryzła je zarazem. Wijąc się w objęciach i poddając ciałem, odpychała precz od siebie. Wkońcu uderzeniem dłoni w nos oswobodziła się i, raz jeszcze ucałowawszy, zerwała z kolan Franka.

— Wstrętny! — ordynarny! — cham! — zgrzytała, płacząc i drżąc.

Franek włókł się za nią zrozpaczonemi oczyma. Pragnąłby wyciągnąć po nią ręce, lecz martwota ścięła jego członki. Rozwiązłe szaleństwo rozkoszy przeleciało gwałtownie, prędko i dawno... Słysząc tylko w oddali jego nieokreślone pomruki, jeszcze świecą z odległości czerwone kwiaty pożaru, który buchnął i zgasł.

A teraz tam stoi Lena, tęsknota jego duszy — i oto roztworzyła się pomiędzy nimi przepaść, której nie można przestąpić.

— Panno Leno!

— Nie pozwalam panu nazywać mnie po imieniu!

Zaczęła iść do niego zła, jak kotka, cicho i chytrze. Zamarł w oczekiwaniu, przymknął oczy. Widział ją pod powiekami — nagą. Bezwiednie sięgnął ręką. Ścisnęła go za dwa palce i wykręciła, aż zaciął szczęki, żeby nie syknąć.

— Podły! — śliczna jestem, ale ty mnie już nigdy nie ujrzysz!

Gdy podniósł powieki, w pokoju znalazł już tylko pustkę. Lena znikła.

Czuł się zupełnie zniszczony. Oparł głowę o fotel i znieruchomiał w apatii całkowitej, chłopięcej.

— Powinienbym teraz umrzeć — pomyślał.

Po jakimś czasie usłyszał głos Nasieckiego.

— Gdzie Lena?

Milczał.

— Cóż u diabła siedzisz, jak idjota — rozżłościł się Nasiecki. — Spodziewałem się, że cię zobaczę szczęśliwym, wesołym... Powiedz-że coś, samojedzie!

— Lena odeszła!

— To widzę, bez twojego gadania.

— I już nigdy nie wróci... — ledwie wyszeptał.

— Z jakiego powodu?

Franek skinął głową przecząco.

— Słuchaj, Franek, żebym cię nie potrafił!

— Obraziła się...

— Zaco? — o co?

— Możesz mnie wygonić od siebie — wszystko mi jedno. Całowałem ją...

— Dobrześ zrobił, Franek! Nie kapuję, czego się martwisz — i zacząłbym cię wyganiać? Kochasz ją...

— Ale ona poszła...

— To już biorę na siebie.

Frankowi kapąły łzy z oczu.

— Franek, głupi, nie płacz! Ja z nią pomówię przysięgam ci! Jeśli cię nie pokocha, to znać nie chce tej indyjskiej perfumowanej.

— Nie wyrażaj się tak o niej, Lena ma słuszość.

— Słuchaj-no, Franek, żebym cię nie głasnął!

— Stachu, Stachu...

— Co ci jest, Franus? — do cholery!

— Ja sam nic nie rozumiem...

— Zgłupiał, klę się na Buraka, zgłupiał w jedną godzinę! — pieniał się Nasiecki, bezradnie miotając się po pokoju.

Po chwili odezwał się Franek:

— Czekaj mnie w domu awantura.

— Zaco?

— No mówię...

— Co wtedy?

Franek rzekł cicho, zawzięcie:

— Jeżeli stary tknie mię tylko palcem, słyszysz, niech mię tylko trąci!

— Wal do mnie i koniec!

— Widzisz, Stachu, mnie tu już nic nie trzyma, wszystko przepadło — i Lena nie wróci. Wiesz, ja całe nieraz godziny siedzę i myślę tylko o zemście, i tylko nienawidzę. Nienawidzę domu i szkoły i wszystkiego tu naokoło — i szarpię się i nie wiem, jak to zmienić. Chyba zwaruję, jeśli tak dłużej potrwa. Wypowiedzieć trudno, tak dusi coś, — żyć tak nie warto, Stachu! Ja cię kocham, ale jeślibyś i ty mnie zdradził, to i ciebie znienawidzę!

Nasiecki sięgnął do kieszeni i wyjął z portfelu dwa banknoty.

— Na co?

— Zapomniałeś, cośmy mówili, że gdyby trzeba

było na co — przyciszonym głosem powiedział Nasiecki.

— Na wojnę?

— Tak, na wojnę, Franku! — wybuchnął.

Franek zapłonął, rozgorzały mu oczy. Podał rękę przyjacielowi.

— Na życie i śmierć!

— Na życie i śmierć! — powtórzył Nasiecki uroczyście.

— Jutro będziesz miał ode mnie wiadomość.

Franek, powróciwszy do domu, oczekiwał... Był spokojny i obojętny. Przeczuiwał jeno, że w momencie, o którym wiedział, może dzisiaj zdarzyć się wszystko, najmniej prawdopodobne nawet.

Niecierpliwiło go, że ojciec zwleka, chciał, żeby się stało co prędzej. Czytał coś, ale nie pojmował. Duszą był w pokoju, w którym siedział ojciec. Wyobrażał sobie jego twarz tłustą, krwistą i pofałdowane czoło. Chwilami cofał się przed tym obrazem, szukając ucieczki w dziedzinę czaru i szczęścia, lecz zamiast ukojenia znajdował bezdenny odmet boleści: Leny już niema!... „Jak mogłem się poważać, kto mnie pchnął do tego...?”

— Franek! — zawołał z drugiego pokoju ojciec.

— Słucham — odpowiedział, wchodząc i nie patrząc w oczy.

— Nie pozwoliłem ci wyjść...

— Miałem ważny interes.

— Milczeć!

— Chcę się wytłumaczyć...

— Milczeć, bydlę!

— Proszę tak do mnie nie mówić — szepnął Franek.

— Zamknij gębę, powtarzam — krzyknął ojciec.

— Kto ma zamknąć gębę? — wejrzał w ojca wyzywająco, z nienawiścią.

Ojciec poczerwieniał.

— Kto?! — a to się dowiesz zaraz — i grubemi palcami trzasnął w bladą, drgającą twarz Franka. — Teraz już wiesz kto? — huknął go w kark. — Teraz już wiesz? — walił, za każdym uderzeniem powtarzając: — a wiesz! — a wiesz!

— Nie bij, oprawco! — trzęsącemi się wargami krzyknął Franek, zasłaniając się rękami.

— A ty szczeniaku! — warczał ojciec. — Ja oprawca?! — twój ojciec! — takiś to syn!

Franek utracił przytomność. Przestał się osłaniać, lecz na każde uderzenie odpowiadał uderzeniem. Kopał, tłukł, gryzł. W mieszkaniu rozlegał się głuchy łomot pięści, stuk wywracanych sprzętów i krwawe stękanie bijących się.

Wśród tych posępnych odgłosów zaświszczał histeryczny wrzask:

— Chryste, zmiłuj się!

Z sypialni wypadła kobieta w bieliznie, wątku, drobna, o cichych, teraz oszalałych oczach — matka Franka.

Słabemi rękami złapała męża za kołnierz marynarki:

— Władek, bój się Boga, zabijesz go!

— Zabiję, zaślachtuję — on będzie na ojca podnosił rękę! Ty skrzacie, ty wyrodku, ty psie!

Przeciwnik był jednak słabszy. Franek leżał już na ziemi, z nosa ciekła mu krew.

Ojciec odgarnął go jeszcze kopnięciem nogi:

— Ja cię nauczę! Weźmiemy teraz panicza krótko! Ze szkoły natychmiast do domu — krokiem ruszyć poza dom niewo!no — słyszał? Przez tydzień na chleb i wodę — sapał, łypiąc zaczerwienionymi powiekami na kobietę.

— O Jezu! — zawodziła znekana.

— Do siebie! — wrzasnął ojciec na Franka, który też zaraz zebrał się, wstał i wrócił do swego pokoju.

Gorzał w gorączce. Bólu nie doznawał wcale. Zajrzał w lusterko i skrzywił się szyderczo; jego szczupła twarz była teraz czerwona, opuchnięta. Na prawym policzku krwawiła pręga od głębokiego zadraśnięcia, z nosa płynęła krew. Oczy żarzące wpadły głęboko.

Wyciągnąwszy się na łóżku, leżał z otwartymi oczami.

— Jeżeli człowiek nie ma broni, to go lekceważą — pomyślała mu się chłopięca myśl.

Kiedyś, dawno, odbyła się ohydna bójka z ojcem i sprawa z Leną zdarzyła się dawno. Jedno i drugie już go nie obchodzi. Teraz istnieją na świecie tylko dwie rzeczy godne uwagi: jak zdobyć pieniądze i jak uciec? Wprawdzie chwilami wstrząsa ciałem kurcz i szloch tęsknoty za czymś nieznanym rozdziera wnętrzności — lecz już nad temi stanami czuwa wola skupiona i władna. Lśniące omglenia, które niedawno jeszcze osnuwały życie

ułudnemi tumanami, rozwiały się i przepadły. Wszystko ninie dokładne jest, jasne i celowe. Postanowienie ucieczki niewzruszone. Na to zaś trzeba być mocnym, a często podstępny i chytrym.

Był tak poobijany, że nie poszedł do szkoły. Skoro tylko dyrektor udał się do biura, matka i służąca leczyły chłopca maściami, okładami i mlekiem. Franek pozwolił się leczyć, lecz potem zażądał, żeby się kobiety wyniosły. W samotności obmyślał plan działania i z zaciekłością rozważał zagadnienie: czy warto żyć i w jakich warunkach? Dopracował się do tezy, że tylko wówczas warto żyć, gdy się posiada przewagę nad innymi. Podłość wyrasta z tchórzostwa, więc należy tchórzostwo w sobie wypalić, jak wrzód. Dla tego skradnie ojcu pieniądze, ucieknie na wojnę i stanie się bohaterem, lub zginie. Tak, jak dotąd żyć nie chce — zagryzłaby go wzdarda dla siebie samego.

Na trzeci dzień miał się fizycznie lepiej. Był spokojny, oschły i przewidujący. Postanowił sobie, że gdyby ojciec tknął go jeszcze raz jeden — będzie się bronił nożem, który przechowywał pod poduszką.

Czwartego dnia kuracji, po południu odwiedził go ojciec.

— Jutro pójdziesz do szkoły. O drugiej masz być w domu — inaczej będzie lanie.

Franek milczał.

— Słyszałeś?

— Słyszałem.

Franek odwrócił głowę i, udając wzruszenie, szepnął:

— Ojczulku!

— Cóż takiego?

— Ja serdecznie ojca przepraszam. Zachowałem się nieposłusznie i doskonale gniew ojca rozumiem.

— Powinieneś być mi wdzięczny.

— Tak, ojczulku. Zepsuło mnie towarzystwo kolegów. Jutro pójde do spowiedzi — niech mi ojciec przebaczy!

— Bardzo dobrze, chłopcze, że przychodzisz nareszcie do rozumu.

— Chcę tylko, ojczulka o coś poprosić...

— No powiedz, powiedz...

— Kiedy bo wstydzę się...

— Raz kozie śmierć — zakpił ojciec — byłeś u kotki? he? — urwiszu jeden!

— Mam dług honorowy — za karty...

— Ho! ho! ho! — drwił dyrektor. — Dużo?

— Dziesięć rubli. Przrzekam, że się to już nigdy nie powtórzy.

— Spodziewam się. Tym razem jeszcze płacę, bo widzę, że pragniesz poprawy szczerze. Masz! Jesteś młody i nie powinieneś się wdawać w sądzenie starszych, chociażby ci się ich postępowanie nie podobało — nawet bardzo! — rozumiesz? — he?

Ojciec wyjął spłowiały banknot i wręczył go Frankowi.

— Pójdiesz do spowiedzi?

— Tak.

— I przestaniesz łobuzować?

— Tak.

— No to i wszystko w porządku. Będziemy żyli

zgodnie, jak u Pana Boga za piecem. Marta, pani-czowi befsztyk! — krzyknął do kuchni, opuszczając pokój syna.

— Mam go — pomyślał Franek, z odrazą obserwując sylwetkę ojca.

Chwycił banknot dwoma paznokciami za koniuszek i przytknął zapalną. Uważnie przyglądał się, jak płomyk chłonał papier, pełznąc coraz wyżej i ognistymi zygzakami zjadając zapocony świstek. Oczy Franka iskrzyły się, patrząc, jak ten symbol brudu i zbrodni ludzkiej ulatnia się w gaz, płomieni i rozsypuje. Z rozkoszą dmuchnął w spopieliałe resztki, rozpędzając je, póki ostatni pyłek szczył w powietrzu.

Potym przejrzał się w lusterku, ze zdumieniem stwierdzając zmiany, jakie w ciągu tych kilku dni dokonały się na jego twarzy. Stał się nazawsze obłok chłopięcej czystości, tchnący do niedawna z policzków. W oczach spłonął wyraz naiwnej ufności, wierzącej sobie i ludziom, a na gładkim dotąd czole wyryła się zmarszczka pionowa, znak męki i woli.

— Co się z tobą działo — do pioruna! — zawołał Nasiecki, gdy nazajutrz wsunął się do jego pokoju przyjaciel.

— Nic — zbył Franek.

Nasiecki wparł się w niego swym napastniczym wzrokiem. Franek, wytrzymawszy atak, odezwał się po chwili:

— Stachu, ja uciekam na wojnę.

Nasieckiemu twarz nabrzmiała z oburzenia.

— Jak to ty! Razem jedziemy, taka była umowa, czy nie? Kolega zapomniał?

— Przedewszystkim nie krzycz. Jeśli się nie cofasz?

Nasiecki nachmurzył się.

— Tobie wybaczam, kto inny pożałowałby już tych słów! Lecz głupie żarty zachowaj lepiej dla kogo innego — rozumiesz?!

— Więc dobrze. Mój plan jest następujący. Trzeba jechać jak najspieszniej, lecz ja nie będę mógł tego uczynić wcześniej, niż za dwa tygodnie. Nie chcąc wystrychnąć się na dudka, muszę każdy krok porządnie obmyśleć i wyrachować. Będę miał 150, może 200 rb. W tymsamym dniu, w którym zdobędę pieniądze, muszę wyjechać. Nie wiem, czy zechcesz się do mnie zastosować. Teraz głównie idzie o to, skąd wziąć paszport?

Nasiecki słuchał z naprężeniem. Podobała mu się ścisłość i przezorność Franka. Imponowała mu.

— Naturalnie, zrobię, jak tobie będzie wygodnie. Mogę zniknąć z domu na dzień, dwa, nie zwracając uwagi. Pieniądze będę miał.

Stanęło na tym, że Nasiecki podjął się załatwić sprawę paszportów, w najgorszym razie półpasków. Aż do chwili ucieczki mieli się widywać jak najrazdziej, aby odwrócić uwagę otoczenia.

Franek miał w tym krótkim czasie odzyskać bezwzględne zaufanie ojca. Gra była obliczona na to, żeby dyrektor znowu zgodził się powierzać synowi sprawy kasy, przenoszenie pieniędzy i papierów, jak to bywało dawniej, zanim nastąpiło zaognienie

stosunków. Franek wracał ze szkoły natychmiast, udawał, że kuje, potakiwał ojcu, starał się przeczuć każde jego życzenie, zachowywał się posłusznie i zmyślnie, jak wierny pies. Wkrótce osiągnął cel. Podrobiwszy podpis kasjera, mógł zabrać 200—300 rubli. Teraz czyhał na dzień. Nareszcie po dwu tygodniach ojciec udał się do Łodzi na jakiś ekonomiczny zjazd.

Należało działać szybko, jak ogień.

Pobiegł do Nasieckiego. Nie mogąc zdusić wzruszenia, rzucił się przyjacielowi na szyję.

— Stachu, jutro, jutro o trzeciej!

— Gdzie się spotkamy?

— Przyjdę do ciebie o drugiej. Bądź gotowy! kwadrans przed trzecią siadamy w dryndę... Stachu! pojutrze zrana będziemy w Wiedniu.

— Prędej! Z Trzebini sypie ekspres! Za tydzień w szeregach! Hurra!

Franek płakał, jak dziecko.

— Wstydź się, żołnierzu! Za tydzień szrapnele będą gwizdały nad naszymi głowami.

— Żeby nas tylko przyjęli ci Serbowie!

— Nie bój się. W Wiedniu pójdziemy do konsulatu. Masz pieniądze?

— Trzysta rubli! Widzisz? patrz! — pokazał mu blankiet z podrobionym podpisem kasjera. — Jutro o pół do drugiej mam ten kwit złożyć w domowej kasie ojca, a matce zapowiem, że wrócę o północy.

Nazajutrz o drugiej zadzwonił do Nasieckiego. Drzwi otworzyła mu... Lena. Była zmieszana...

— Proszę — Staś zaraz nadejdzie.

Franek stał nieporuszony, wylękłemi oczami patrząc w panienkę.

— O! — niech się pan nie boi — zapraszała pieśzczotliwie.

Wciąż milcząc, wszedł do mieszkania, postępując za Leną, zahipnotyzowany jej warkoczami, które były długie, puszyste i wonne.

W pokoju Nasieckiego odwróciła się naraz tak, że stanęła twarzą w twarz Franka. Jej oddech dmuchnął w jego powieki. Jakby mu dwa słońca w twarz zaświeciły, tak oślepiły go jej czyste i jasne oczy. Nie mogąc wytrzymać ich blasku, zgiął się. Bez nakazu woli ukląkł, objął Lenę za kolana, czołem dotykając jej kolan. Płynął od jej ciała niewidzialny strumień, zbyt nieziemski, by go zdołała urobić w swych tłoczniach machina ludzkiej mowy. Wlewał się przez zmysły, a jednak ducha tylko tyczył. A był promienny, jak światło, i bez dna, jak niebo, a straszliwy w doskonałej pełni szczęścia, jak mistyczne widzenie. Przeto niema rzeczy okrutniejszej potym; niż powrót do świata widzialnego.

Z bolesnym jękiem zbudziły się ich dusze.

O kilka kroków za nimi stał Nasiecki. Gryzł sobie usta, gwałtem wstrzymując łzy; myślał bowiem, że płakać żołnierzowi nie przystoi.

— Zdradziłem naszą tajemnicę przed nią...

— Jeszcze bardziej pokochałem cię za tę zdradę — rzekł Franek.

Chwilę jeszcze dane było patrzeć w oczy i nawzajem przenikać w dusze tym trojgu młodym. Duży zegar tykaniem skazówek przerażał serca,

przejęte ekstazą, aż czarny sztylet na złotej tarczy szepnął: już!

— Bądź zdrowa — Lena!

— Franiu — bądź zdrow! — Żegnaj mi, Stachu! Niestrzymanym już potokiem sypały się łzy z oczu.

NAUCZYCIELKA.

I.

Ach, ona jest słodka — mówiła pani Anna Sielecka do swego męża, który w milczeniu, jak posępny brytan chorujący na wątrobę, spożywał obiad.

— Czyż panna Władzia nie jest naprawdę słodka? — zagadnęła powtórnie.

— Słodka, słodka — mruczał mąż. — Dwadzieścia pięć rubli kosztuje mnie ta czekoladka.

— Ale panna Władzia posiada wyższe wykształcenie! Zgodziła się nawet na tę cenę tylko dla tego, bo się jej spodobała Dziunia...

— Spodobała, spodobała...!

— Jest nią zachwycona. Mówiła mi, że tak rozwiniętego dziecka nie zna w całej Warszawie — to jej słowa. Jaka ona mądra i dobra! Pamiętasz tę Czyńską z przeszłego roku, jak ona krzyczała na Dziunię... Panna Władzia nigdy! — powie, jeszcze raz powtórzy i jeszcze raz, z anielską cierpliwością, nigdy głosu nie podnosi! A ty przecie wiesz, jaka Dziunia potrafi być, gdy jej coś dolega.

— Oj wiem, to — to wiem. Zgrzytałem zębami, gdy wczoraj zaczęła wyc.

— Fe, Heniu — wyć?! Biedactwo moje, nie mów tak o niej. Dziunia cierpiała wczoraj na migrenę — wstawiała się pani Anna. — Wiesz co, Heniu, zdaje mi się, że z Dziunią znowu gorzej. Możeby wezwać lekarza, jak myślisz, kochaneczku?

— Znowu?

— Nie tego Kowere, on mi się nie wydaje... popukał, wziął za puls i powiedział, że jej nic nie brakuje. A Dziunia tymczasem błada, jak opłatek, ciągle skarży się, to na głowę, to na piersi — mówiła strapiona pani Anna, fraszobliwie rozcierając czoło pomarszczone.

Małżeńską dysputę państwa Sieleckich przerwała młodsza córka, Julja, przez panią Annę ochrzczona na Ljanę. Pyszata, różowa, jak truskawka, dziewczynka leciała jak piłka i, bęcnąwszy na środku pokoju, uderzyła się w czoło. Nie zważając jednak na ból, porwała dużą lalkę, której podczas upadku starła porcelanowy nosek i, dysząc, potoczyła się do pokoju dziecinnego.

— Jezus Marja, dziecko! — szarpnęła się od stołu matka.

Lecz właśnie weszła Dziunia, dwunastoletnia dziewczynka, wysmukła, obyczajem dorastających dzieci niezmiernie poważna, błada, o posępnie iskrzących się oczach.

— Mamo, Ljana podsłuchuje. Ja tego nie znoszę. Panna Władzia przychodzi na lekcję do mnie, a nie do Ljany. Niech mama zakaże smarkuli zaglądać przez dziurkę od klucza.

Co powiedziawszy, odeszła z miną infantki hiszpańskiej.

— Widzisz, Heniu, jakie to dziecko rozstrojone!

Henio jednak nic już nie odpowiedział, wziął pod pachę gazetę, do ręki filiżankę czarnej kawy i wycofał się do siebie, odpowiedzialność za całą rodzinę zwalając na głowę żony.

Pani Anna zamyśliła się, jeżeli zamyśleniem godzi się nazwać wypływały kłębek myśli, codziennie nawijany i rozwijany znowu, ciągle z tą samą jałową jednostajnością snujący się i rozsnuwający naokoło osób dwu córek, które obcy człowiek wychowuje, ubiera i żywi; męża, któremu już coraz rzadziej jest się potrzebną jako żona; mieszkania, które sprząta służąca, jedzenia, które przygotowuje kucharka. Pani Anna nie miała właściwie nic do roboty na tym świecie, czyli w mieszkaniu sześciopokojowym, umeblowanym według gustu fabrykanta, wytwarzającego na eksport, oraz stosownie do smaku stolarza, tapicera i malarza. Z całego mieszkania jedyny sprzęt tylko stanowił przedmiot rzeczywistej troski i dbałości pani Anny: szafka, wąta wprawdzie, ale głęboka, jak kieszeń złodzieja. Mieścił się w niej zbiór pudełek, flaszeczek, szklaneczek, szprycek, nakłuwaczek, lejków, flakoników, mikstur, proszków i maści. Apteczka domowa pani Anny.

Gdy pani Anna zbudziła się z zamyślenia bez myśli, przeraziło ją przypuszczenie, że Ljana, upadając na podłogę, mogła sobie być nadwerekzyć czaszkę. Pełna troski i niepokoju rzuciła spojrze-

nie na szafkę i co prędzej pośpieszyła do pokoju dziecinnego. Ljana, schylona nad lalką zranioną, przemawiała do niej czule: biedna lala, lalunia — boli nosek? — i główka boli? Będziesz miała na wieczół mijenę, jak Dziunia. Nie płacz, lalu, mamusia da mi cytyjne, to ci przylepie na czójeczko i plocha ci dam na yżce.

— Drogie dzieciátko — napadła matka na Ljanę. — Uderzyłaś się w główkę? — bardzo boli? — pokazno! Trzeba ci będzie położyć zimny kompresik. Czółko gorące, jak węgiel, dostaniesz mi jeszcze zapalenia mózgu! Chodź prędziutko, maleństwo moje — mówiła gorączkowo, porywając w objęcia przestraszone dziecko.

Ljana dawno zapomniała o upadku, ale przydużona współczującymi uściskami matki, zarażona jej głosem rozegzaltowanym, jęła wzdychać i chlipać, wreszcie spojrzała matce w oczy i zapłakała na dobre.

Pani Anna, utwierdzona w swym podejrzeniu, chwyciła dziecko na ręce — — i zaczęło się...

Nadarzyła się sposobność stworzenia sytuacji, dającej poczucie życia...

Bezbarwne oczy pani Anny powiększyły się histerycznie, policzki płonęły. Cisnąc nieszczęsną dziewczynę do serca, pobiegła do zbawczej szafki, latającymi rękami odemknęła ją i wydostała ceratkę, watkę i słoiczek. Posadziła wrzeszczącą Ljanę na stole i z nerwowym pośpiechem przymierzała jej do czoła bandaż. Ale popatrzywszy na Ljanę, która wobec tych straszliwych przygotowań darła się już

ze strachu, zmiarkowała, że właściwie córeczka jeszcze ranna nie jest.

— Antosiu! — krzyknęła tedy przez korytarz do kuchni. — Wody, zimnej wody, czym prędzej!

Służąca, zobaczywszy pałającą twarz pani, pobiegła do kuchni, wywracając w drodze stołki. Kucharka, na widok rozczochranej miny „młodszej“, upuściła z rąk półmisek, co ją tak rozwściekliło, iż skoczyła ku Antosi z kulakami, ale odepchnięta, zatoczyła się na piec, przyczym, żeby nie stracić równowagi, zaczepiła ręką o wiszący, mosiężny kocioł. Kocioł rymnął na posadzkę z takim hukiem, brzękiem i dudnieniem, jakby do kuchni wtargnęła horda djabłów, wezwanych przez kucharkę. Antosia nalała wody do wazy i oszołomiona, wylewając i chlapiąc po drodze, pognęła do pani z szybkością sikawki pędzącej na pożar, zostawiając na pobojowisku pograżoną w stękanii i pomstowaniu kapłankę pieczenia rodzinnej.

Tymczasem w pokoju operacyjnym wołała wniebogłosy Ljana, wierzgając nóżkami. Pani Anna tuliła ją i niańczyła, całowała i oblepiała mokremi kompresami. Na pomoc nieszczęsnej wnuczce śpieszyła babcia o twarzy senatorskiej, raczyła nadejść wreszcie i Dziunia, nietyle przejęta współczuciem dla cierpiącej siostrzyczki, co zirytowana, że smarkata swym wrzaskiem poruszyła niebo i ziemię, tymśa mem przerywając i lekcję. Za uczennicą wsunęła się i panna Władzia, osóbką energiczna, spokojna i mała, tak mała, jak posążki tanagryjskie. Tylko ojciec nie opuścił swego gabinetu. Przyzwyczajony do fałszy-

wych alarmów, nie poruszyłby się może nawet, gdyby mu jego piękna połowa krzyknęła w ucho: „ratunku! — gore!“

Pani Anna maczała chusteczki w wazie i przykładła je do czoła Ljany, która na tę chłodną kąpiel oburzała się ze wszystkich sił gardła, rączek i nóżek.

— No lubciu, serce — nadaremno koiła babcia męki wnuczki.

Gdy pani Anna pobiegła do swego pokoju po świeże chusteczki, panna Władzia, zorjentowawszy się w położeniu, wzięła małą na kolana.

— Fe, nie becz! — lalka się rozchoruje — powiedziała do Ljany.

— Lala?

— No pewnie! Pęknie jej serce ze strachu.

— Sejce?

— Naturalnie.

— Matujalnie?

— Boli cię co?

— Lale boli...

— Zbiłaś ją?

— Zbiłam jej nosek.

— I tego beczysz?

— Lalunia ciepi — objaśniła dziewczynka z taką powagą, jak matka.

— No to weźmiemy lalkę na kurację, sprawimy jej nowy nos, a bekiem nic nie pomożesz.

— Nic?

— Nic — tylko jej serce pęknie.

— Ljana jest zdrowa, jak ołówek — powiedziała panna Władzia do wracającej matki.

— Boli cię? — dla stwierdzenia zadziwiającego faktu zapytała matka.

— Boli.

— Nie boli cię? — zapytała panna Władzia.

— Nie boli.

— Ach, ty cyganko! — zawołała nauczycielka. — Przynieś mi tu zaraz lalkę, musimy ją poddać oględzinom.

— Przynieś? — powtórzyła Ljana i potoczyła się do swego pokoiku.

Pani Anna patrzyła na nauczycielkę z podziwem.

— Jaka pani szlachetna! Gdzie pani, tam zaraz znika ból i nieszczęście, którego tyle jest na świecie.

— Nasz anioł pocieszyciel — dodała matrona o senatorskiej twarzy, patetycznie podnosząc rękę.

— Och, och — śmiał się anioł — w takim razie anielstwo jest łatwym zajęciem.

— Ej! — groziła babcia — nie żartować z rzeczy świętych, panno Władziu!

— A jak tam dzisiaj poszło z Dziunią?

— Stoi, jak stało, proszę pani. Lekcji się nie nauczyła, zadań nie zrobiła, ale zato udało nam się dokazać rzeczy ważniejszej. Przez dziesięć minut rozwiązywaliśmy zadanie arytmetyczne, nie patrząc w sufit, nie gryząc obsadki i nie zapytując, dla czego tak jest, że jedni ludzie są bogaci, a inni biedni...

— Kochane dziecko — powiedziała babcia — ona zawsze miała dobre serce.

— Dziunia tylko za dużo czyta, za wiele cho-

ruje, a za mało się bawi i używa powietrza. Gdybym miała taką córkę...

— Och, życzę pani dobrego, bardzo dobrego męża i...

— Męża? — taka figa, jak ja i bez posagu, a do tego z wielkimi wymaganiami? Nie zniosłabym ani lalusia, ani durnia, chama ani burżuja. Dobrego męża znaleźć, będąc biedną i wymagającą od ludzi piękna, to trudna łamigłówka.

— Oj tak, tak — westchnęła babcia.

— Pani jest bardzo dziwna — odezwała się pani Anna.

— Oto mój narzeczony — zażartowała panna Władzia, zwracając się do chłopaka, który właśnie ukazał się w przedpokoju. Był to bratanek pani Anny, Staś Robicki.

— Cóż, Stasiu, zgoda?

— Żeby tylko starzy się zgodzili. Zresztą ucieklibyśmy i koniec — zuchowato oświadczał się chłopak.

— Bój się Boga, Staś, jak ty się wyrażasz o swoich rodzicach! — załamała ręce ciocia.

— Jak wszyscy! — nie wiem, czemu się tu dziwić.

— Prawdę mówisz, uciekłbyś?

— Ojoj!

— I ja z tobą — zgłaszała się Dziunia.

— I ja, i ja — piszczła Ljana.

— Co za dzieci! — gorszyła się babcia, podnosząc ręce do nieba.

— Babci to dobrze, ale ja nudzę się po całych wieczorach, kiedy tatuś z mamusią bawią się po

kabaretach. A ja niech się tylko spóźnię ze szkoły na obiad, to zaraz: „ty, nicponiu, życie nam zatrzasz“ i tak dalej. Oj, życie jest ciężkie!

— Boże, mój Boże! Widzi pani, panno Władziu!

— Widzę i patrzę, słyszę i słucham — odpowiedziała zapytana, dowcipnie mrużąc oczami. — No, mój kawalerze, podaj mi palto — zwróciła się do Stasia.

— Ale co pani na to! — szeptem pytała pani Anna, wlepiając w nią szeroko otwarte oczy.

— Myślę, że z tych dzieci wyrosną wcale dzielni ludzie. Niech się pani nie zamartwia niepotrzebnie, bo to nic nie zmieni. Do widzenia państwu!

— Do widzenia kochanej pani! — do widzenia!

— Ale, ale, jakie jest pani zdanie co do zdrowia Dziuni?

— Zdrowiusienka, jak ołówek, tylko za dużo czyta i za mało wywraca koźłów.

— Bo, widzi pani, ja wszystko poświęciłam dla dzieci, moje marzenia młodości, ideały — zwierzała się.

— Może to źle właśnie — zagadkowo odpowiedziała nauczycielka, żegnając się.

— Ale gdyby i pani robiła mi piekło, to się rozwiemy — zawczasu obwarowywał się Staś.

Panna Władzia ze śmiechem wybiegła na schody.

II.

Niedziela po południu. Państwo Robiccy, wychodząc z domu, surowo nakazali Stasiowi, żeby się

obkuwał. Nudna jest niedziela, nudni rodzice ze swemi rozkazami, lecz najnudniejsze z tego wszystkiego są podręczniki szkolne. Stał przed lustrem, pogładził włosy, z giermańską elegancją rozdzielone na dwie części, i zachwycił się swą postacią, obciągniętą w obcisły mundur. Ziewnął. Rozparł się na stole i niedbale przeglądał gazetę.

Naraz z chciwą ciekawością jął pożerać oczyma ustęp, w którym opisywano walkę trzech bandytów z całym oddziałem policji, ich ucieczkę przez pola i lasy, oraz śmierć z własnej ręki, gdy ich policja doganiała. Staś, aczkolwiek syn przemysłowca, czuł sympatię dla dzielnych zbirów. Przypomniał sobie wyrażenia rodziców na temat bandytyzmu, wyrażenia przesiąknięte odrazą, pogardą i zgrozą, tymbardziej, przez przekorę dzieci, broniących się w ten sposób przeciwko despotyzmowi rodziców i wychowawców, umacniał się w uczuciach dla zagadkowych zbrodniarzy, ryzykujących życie za paręset rubli. Kilkakrotnie odczytał opis ucieczki bandytów przez bory łomżyńskie, szedł ich śladami przez gęste chaszczki, między drzewa, z bronią w rękę, gdy złowrogo, ze śmiertelną nienawiścią nasłuchiwali szmerów pogoni, niosącej im koniec nieuchronny.

Rozciągnął się na otomanie. Ze stołu zwisała okładka gramatyki języka francuskiego. Kopnął ją z taką pogardą, aż uczona książka spadła na podłogę, hałaśliwie szeleszcząc oburzonemi kartkami. Zerwał się i usiadł. Oczy mu błysnęły. Zdało mu się, że w ogromnym pokoju dzwoni śmiech panny Władzi, jakby radując się myśli, powstającej w gło-

wie chłopaka. Przez jakiś czas trwał w nieruchomości, rozważając, potym skoczył i wbiegł do kuchni, otworzył szafę i wyjął nóż długi, jak szpada, i świecący. Wywinął nim kilka razy, tupiąc z radości nogami. Ale trzeba się zmienić. Widział kto bandytę bez brody i wąsów? Lecz skąd je wziąć? — Jest! Chwycił szczotkę do zamiatania i z wściekłą energią naszarpał z niej czarnego włosa, poczym, wynalazszy jakiś klej, wziął się do roboty. Już oblepił policzki i brodę, ale sprawa wąsów nastroczała trudności nieoczekiwane. Włosie ani rusz nie dawało się zwinąć w zawieszisty wąs. Dopiero po chwili wpadł na pomysł, żeby wąsy zmajstrować z naskubanego sznurka, kąpiąc go następnie w czarnym atramencie.

Skończywszy, zarzął i zatańczył taniec radości, wymachując straszliwą bronią. Wyglądał istotnie jak „Czarny Felek“ albo „Krwawy Pazur“. Brwi groźną smugą wisiały nad oczami straszniemi, niby chmura złowieszczą, a różowa twarz w kłębach okrutnego zarostu budziła strach. Zbrodnia, zda się, czyhała w gęstwinie nastroszonych kłaków a krwiożercze błyskawice niemiłosiernego gniewu czały się w oczach, jak żmije jadowite. Natarszy policzki szkolną kredką, posinił twarz do najwyższych granic morderczości. Stara peleryna i wykoszlawiona panama dopełniły charakterystyki.

Wyszedł z mieszkania. Na jego szczęście Sieleccy mieszkali przy tejsamej ulicy, o kilka domów. Przekradłszy się przez ulicę, szybko jak mysz wpadł na schody i zadzwonił.

— Kto tam? — zapytała przez drzwi Antosia.

— Swój — odpowiedział jak najbardziej stasiowskim głosem.

— A, to panicz!

Spuściła łańcuch.

W tejże chwili wrzask dziewczyny wstrząsnął dusznym powietrzem mieszkania, wdzierając się aż do gabinetu ojca i do pokoju babci. Albowiem Staś, zaświeciwszy z pod peleryny kuchennym narzędziem, zawył jak najbardziej bandyckim basem: „Pieniądze albo śmierć — ha!” — Antosia zaś krzyknęła „ranyście — bandyty!” i, jak podpalona, wleciała do jadalnego pokoju.

Całe mieszkanie ożyło. Z pozamykanych pokoiów dobywały się krzyki, szlochy i wołania.

W pokoju jadalnym nie zastał już Staś nikogo oprócz filiżanek z kawą i poroztrącanych krzeseł.

— Pieniądze albo śmierć — ha! — zagrzemiał jeszcze bardziej po bandycku Staś.

— Plackiem! — usłyszał na to cienkim, jak nitka, głosem wydaną komendę przez głowę rodziny, a potem łomot ciał, walących się na podłogę. Z jednego kąta rozlegał się płacz pani Anny, z innej strony dziewczęcy falset kapłanki pieczeni rodzinnej intonował suplikacje.

Stasia rozsadzała dzika radość. Twardo tłukąc obcasami, chodził po pokoju i grzmocił oprawą noża w stół i ściany, usiłując przytym z samych wnętrzności wydostać jak najokrutniej groźne chrząkanie: hum brrrum — hum brrum...

— Gdzie pieniądze, pytam — bo będę strze-

łał! — łupnął trzonkiem noża w drzwi, za którymi pokładli się Sieleccy.

— Panie bandyto — zawołała Dziunia — tatuś trzyma picniądze w banku. Dam panu mój złoty zegarek, niech sobie pan tylko idzie, panie bandyto!

— Nie odejdę, aż mi wydacie wszystkie klejnoty i pieniądze — hum brrrum!

— Tatuś ma przy sobie dwadzieścia rubli, panie bandyto.

— Strzelam, hum brrrum...

— Jezusie Nazareński!...

— Ilu ich jest? — szeptem pytał pan.

— Trzech, panie, jak te trzy wilki — rzekła Antosia o potrójnym oku.

— Trzech... — ważył Sielecki — trzech...

— Leż cicho — błagała pani Anna, przygniatając głowę męża do podłogi.

— Na litość boską, Heniu, ani się waż! Zabijają cię — jęknęła matrona o senatorskiej twarzy, obejmując go za kolano.

— Dla czego on nie strzela? — dziwiła się Dziunia.

— Ryp, Kwiczku! — zakomenderował Staś, udając, że mówi do drugiej osoby.

— Plackiem!

— Hum brrrum!...

Zapanowała cisza.

Po niejakiem czasie pan przyczółgał się do Antosi i, przytuliwszy twarz do jej czerstwego policzka, szeptał: — Leć przez kuchnię do stróża, niech telefo-

nuje do cyrkułu po policję. Tylko cicho — rozumiesz!

— Niby, co bandyty...

— Trzech!

— O lo Boga i takie mają brodziska jak końskie ogony!

— Cicho — leć piorunem!

Antosia, nie licząc się w takim niebezpieczeństwie z przepisami *savoir vivre'u*, rozkraczywszy nogi, zaczęła na czworakach przesuwając się do pokoju babci; gdy Staś swoim zwyczajem huknął: „pieniądze albo śmierć — ha!” Antosia pod ciężarem tych słów rozpląszczyła się jak ciasto pod wałkiem. Skoro jednak bandyta i tym razem nie strzelił, popędził ją pan świszczącym szeptem: prędej!

— Hum brrrum — przypominał się Staś.

Ocalona Antosia galopem gnała po schodach.

Gdy w ciągu następnych paru minut bandyta nie strzelał, napadnięci z wolna podnosili głowy.

— Ofiaruję wam zawieszenie broni na dziesięć minut — ochryplym głosem odezwał się Staś. — Napiję się tymczasem kawy — a wy się namyślcie. Jeśli nie wydacie pieniędzy i klejnotów, to was pozabijam i koniec. I co wam z tego przyjdzie? Nie strzelałem dotąd, bo mi was żal, ale po dziesięciu minutach — no! — to zobaczycie! Hum brrrum...

— Dobry panie bandyto! — rzekła Dziunia — mój zegarek leży na stoliku w naszym pokoju.

— Dajesz pan słowo, że przez dziesięć minut... — drżącym tenorem upewniał się Sielecki.

— Słowo bandyty!

— Więc dobrze, zbiorę wszystkie pieniądze i klejnoty.

Uprzejmość bandyty uśmierzyła nieco strach Sieleckich. Dziunia rozmyślała ciągle nad tym, czy bandyta wziął już jej zegarek. Utkwiwszy oczy w klamkę u drzwi, oddzielających ją od zbrodniarza, którego gorąco pragnęłaby ujrzeć, zapytała:

— Panie bandyto, czy pan już zabrał zegarek?

— Bo co?

— Nic, tylko chciałam wiedzieć, czy się panu podoba?

— Bardzo ładny, dziękuję ci, dziecko.

— Proszę, panie bandyto.

Pan Sielecki, oczekując policji, gotował tymczasem pułapkę. Przydźwigał z kuchni kocię do połowy napełniony wodą i, złożwszy na nim półki wyjęte z szafy, kazał dzieciom ustawiać na tym wilczym dole słoiki, szklanki, noże i widelce, a przed kotłem rozsypał wszystek pieprz i groch, jaki znalaziono w spiżarni. Poczem, zdjawszy obuwie i nakazawszy rodzinie zrobić to samo, zakradł się na bosaka do przedpokoju, chcąc zabarykadować drzwi pokoju jadalnego.

— Co tam za hałasy! — rozgniewał się bandyta.

— Jeszcze trzy minuty przecie — znacznie już energiczniej replikował Sielecki.

— Hum brrrum —

Zanim jednak zdolali zatarasować drzwi, w kuchni zabręczały ostrogi.

— Nareszcie! — zdraśtwujcie, panie komisarzu — witał się pan Sielecki z komisarzem cyrkułowym.

— Bogu Jedynemu dzięki! — łkała matrona o senatorskiej twarzy, opierając się na ramieniu córki.

— Gdzież eti bandity?

— W jadalnym.

— Tri? — użę dawno? — i cżoż oni dziełajut?

-- Piją kawę.

— Udiwitielnoje dzieło — dierzkije ludi! —

I cżoż — oni strielali?

— Niet.

— Udiwitielnoje dzieło!...

Komisarz kazał przynieść stół i przez okienko nad drzwiami zająrzeć cywilnemu agentowi do środka.

— Nus?

— Niczewo... sidił odna swinja i wyskubuje sobie brode. Ubrany w mundur szkolniczeski.

— Odin?

— Taks, a na stole długi nóż.

Komisarz kazał wymierzyć rewolwery w stronę pokoju.

— Zdajoties? — krzyknął.

Milczenie.

Takiego epilogu Staś nie przewidywał. Już od chwili „zawieszenia broni“ postanowił był czmychnąć z powrotem i w tym celu wydierał kłaki z policzków i brody. Aż tu naraz policja! Schlebiało mu to, że go wzięto za prawdziwego bandytę, lecz jak się teraz wykręcić? A jeśli strzelą? — hm, tego również nie obmyślił. Dopiero, gdy komisarz po raz trzeci wezwał do poddania, przypomniała się Sta-

siowi komenda stryja: „plackiem“. Runął więc na podłogę. Od drzwi rozległ się tryumfalny śmiech.

— Wpieriod! — wydał rozkaz komisarz.

Jeden ze stójkowych potknął się w pośpiechu. Kurek rewolweru kłapnął, lecz kula przerwała łańcuch od wiszącej lampy, która z wielkim hukiem, zgrzytaniem i bębnieniem posypała się na stół. Żołnierze, nadgławszy nieco Stasiowi ramiona, posadzili go na krzesło.

— Nie duście tak, ja nie bandyta — krzyknął Staś.

— Ktoże wy?

— Kuzyn państwa Sieleckich. Chciałem tylko zabawić się w bandytę i już.

Komisarz sprawdził tożsamość osoby, spisał protokół i, pożartowawszy trochę z pana Sieleckiego, opuścił mieszkanie.

Staś z twarzą posiniałą od kredki, oraz skutkiem masażu w silnych ramionach stójkowych, z kłakami włosów w sposób wyuzdany sterczącymi tu i owdzie, wyglądał na uratowanego wisielca. Otaczająca go rodzina zapuściła się w ciężkie rozmyślanie, żując tłumioną wściekłość. Na twarzach widniały jeszcze ślady wzruszeń niepowседневnych.

Pan Sielecki miotał się po pokoju z rozczochną głową, w pogniecionym jeszcze ubraniu, boso, przede wszystkim zajmując się kopaniem wszystkiego, co mu stało na drodze. Oczekiwano jego słowa. Podszedł nareszcie do Stasia i, wywijając mu przed nosem pięściami, wypuścił słowo warczące:

— Wyr-r-rodku! — mogłeś nas pozabijać i sam zginać! Ty zbr-r-rodniarzu!

— Dziecko niewdzięczne! — rzekła babcia.

— Rodziców wpędzisz w chorobę — rzekła pani Anna.

— Zhańbiłeś rodzinę!

— Straty!

— Szkody!

— Wstyd!

— Bandit — bla — bla — oburzała się malutka Ljana.

Staś spuścił głowę.

— Hańba! Twój ojciec taki znany człowiek! Jabym cię oddał do zakładu karnego. Na zbira wyrośniesz, na draba!

— Na szubrawca, złodzieja, kajdaniarza, zbója. Ojcu złamię karierę, matkę wpędzę do grobu, a sam zdechnę pod płotem — szyderczo śmiał się Staś, budząc zgrozę i przerażenie, zerwał się i wyszedł.

— Jezu! Uśniesz ci język, chłopcze — zauważyła jeszcze któraś z dam.

III.

Pani Anna spotkała nazajutrz pannę Władzię z twarzą cmentarnie smutną, chociaż nie była to przecie pora miesięcznego prania bielizny. Lękając się wylewu tego serca, niestrudzenie bijącego miłością dla dzieci i rodziny, nauczycielka skinęła głową na powitanie i pofrunęła do salonu. Lecz Dziunia

także zionęła srogim smutkiem, co już bardziej zastanowiło pannę Władzię.

Przystąpiły, jak zwykle, do ćwiczenia uwagi, tylko że dzisiaj tortura miała trwać minut piętnaście. Lecz już w ciągu trzeciej minuty Dziunia podniosła twarzyczkę wąską, smutną i, wpatrując się w oczy nauczycielki, cicho zapytała:

— Już pani wie?

— Skąd mam wiedzieć? — uśmiechnęła się panna Władzia na widok namaszczonej twarzy dziecka.

— Nie marszcz w ten sposób czoła, Dziuniu, bo to zmarszczki głupoty — zburczała uczennicę, odkrywając w jej twarzy podobieństwo do matki.

— Mamusia nie mówiła?

— Dziuniu, tylko piętnaście minut!

— ...że Staś wdał się w bandytów?

— Co-o? — parsknęła śmiechem nauczycielka.

— Nie trzeba się śmiać, panno Władziu. Staś byłby wczoraj zamordował tatusia, mamusię i babcię, mnie chciał zrabować złoty zegarek... ale przyszła policja...

W ciągu opowiadania Dziuni, jak to z okropnym wrzaskiem pędziła Antosia, jak wszyscy z jadalnego uciekli do salonu, jak się pokładli na podłodze — nauczycielka chichotała coraz głośniejsze, wypełniając salon swym śmiechem, wesołym jak rosa.

Dziunia opowiadała z niedostrzegalną, prawie bezwiedną ironją.

— Rozkoszny chłopiec, ten Staś!

— Jak to, bandyta? — zdumiała się Dziunia.

— Dziuniu, on sobie z was zadrwił...

— Ale to już za wiele! — serjo oświadczyła mała, uderzając dłońmi w stół. — Jabym tych łotrów wytruła, pozabijała...

— Kogo?

— Tych bandytów.

— A czy ty ich znasz, Dziuniu?

— Także pytanie, ja?!

— A jeśli między nimi są ludzie nieszczęśliwi, którzy ginęli z głodu?

— To niech pracują, nie piją, wszyscy pracują i zarabiają na chleb...

— Masz słuszność, dziecko. Ale w naszych czasach tysiące i tysiące przymierają z głodu, nie mogąc znaleźć pracy...

— Co też pani mówi?

— Prawdę mówię, Dziuniu — z powagą surową powiedziała nauczycielka.

Dziunia umilkła, bardziej wstrząśnięta bezwzględnością głosu panny Władzi, aniżeli straszliwością jej słów.

Dziunia, wypytywana po lekcji przez matkę, z czego tak głośno, tak niemoralnie głośno w dniu tak smutnym śmiała się nauczycielka, zeznała, że te wybuchy śmiechu wywołało opowiadanie o Stasiu. Pani Anna zakomunikowała niepojętą wiadomość mężowi, który na to uśmiechnął się sarkastycznie, rzucając z wściekłością: „a widzisz!”

Pan Sielecki dawno już nalegał, aby zmienić nauczycielkę, bo jest za droga. „Za dziesięć, no, za piętnaście rubli zlecą się z całej Warszawy, jak kawki do sera” — powiadał dawny hreczkosiej. Ale

pani Anna uparcie broniła słodkiej, kochanej, mądrej panny Władzi. Teraz ów podejrzany śmiech znalazł się w rękach pana Sieleckiego, jak atut, który wygrywa partję.

— Czego ona się śmiała? — jak myślisz, z kogo ona się śmiała?

— Nie wiem, czy ja wiem, nie rozumiem — rumieniąc się unikała spojrzenia mężowskiego pani Anna.

— Cóż w tym trudnego! Smarkata wyśmiewała się z nas, z ciebie, ze mnie, z matki!...

— Cóż znowu, Henrysiu!

— Głupia jesteś, Andziu. Z nas kpiała. Ładne ona zasady wszczępi Dziuni! Już to żyjemy w czasach — Boże miłosierny!

Pilne śledztwo, jakie małżonkowie przeprowadzili, wykazało sprawy zgrozą przejmujące. Panna Władzia wyrażała się o bandytyzmie, jak owa babcia, co to na dwoje wróżyła; panna Władzia twierdziła, że współczesne szkoły są fabrykami gwoździ; panna Władzia mówiła, że ludzie poczciwi bywają często większymi szubrawcami, niż nieuczciwi; panna Władzia, jednym słowem, oskarżała świat dzisiejszy jako przewrotny, zły, głupi, obłudny, zbrodniczy.

Dziunia częściej mieszała w swe relacje zdania wycytane z książek, aniżeli wiernie powtarzała rozmowy z panną Władzią. Rodzice zaś z materiału śledczego brali, co każdemu z nich było potrzebne. Pani Anna więc, musząc sobie stwarzać świat urojonych niebezpieczeństw i walczyć z koszmarami wyobraźni, rozbitej i schorzałej skutkiem życia niewypowie-

dzianie nudnego, jałowego i leniwego — szukała żeru dla swej hysterji. Pan Henryk zaś chciał po prostu pozbyć się drogiej nauczycielki, której nie cierpiał — a nie cierpiał może i dla tego, że ją lubiła i ceniła Andzia, nieznośna, podobna do wędniejącej piwonji Andzia...

Na glebie takich psychicznych fałszerstw zrodziło się przerażające, komiczne podejrzenie: że panna Władzia ma zamiar wykraść Dziunię i wywieźć ją gdzieś daleko... Nauczycielka urosła w wyobraźni pani Anny do ogromu jakiejś straszliwej i demonicznej rewolucjonistki.

Pani Sielecka popadła w rodzaj manji prześladowczej. Policzki jej pałały, oczy były szerokie jak u sowy, ręce drżały, wargi trzęsły się jak w egzorcyzmach, szeptanych nieustannie ze strachu przed łakomym na jej duszę szatanem. Kazała sprowadzić ślusarza i podwoić łańcuch u drzwi. Dziuni, która i tak rzadko wychodziła na powietrze, teraz wcale nie wypuszczała z domu. Zakazała jej odprowadzać pannę Władzię do przedpokoju, a spotkawszy nauczycielkę, cofała się, nie odpowiadała na jej ukłon, albo znowu zbliżała się do niej, gwałtownie ścisnąc jej ręce.

Panna Władzia spostrzegła zmianę w stosunku Sieleckich do niej, ale zapracowana, znudzona kołowrotkiem wyznań pani domu, nie doszukiwała się przyczyn, ani nie próbowała nowego zbliżenia, zadowolona, że Dziunia właśnie w tym czasie zaczęła robić postępy w nauce. Oswoiła już zupełnie małą i z przyjemnością pracowała nad rozwijaniem har-

dej, głębokiej, ale przez otoczenie marnowanej dziewczyny.

Naraz pewnego dnia w początkach lutego otrzymała panna Władzia list od pani Sieleckiej.

„Kochana Panno Władziu! Bardzo nam jest przykro, ale ponieważ Dziunia ma się gorzej i lekarz kazał jej odpocząć, dla tego zmuszeni jesteśmy prosić Panią o przerwanie lekcji. Wiem o tym, że Pani Dziunię lubi i dla tego ani przez chwilę nie myślę, żeby Pani nasze wymówienie sprawiło przykrość. My także jesteśmy zmartwieni takim obrotem rzeczy, które nie pozwalają na dalsze uczenie Dziuni przez Panią, mamy jednak nadzieję, że podczas wiośni, która oby nadeszła jak najprędzej, wszystko będzie lepiej. Kończąc, zasylamy Kochanej Pani uściski i serdeczne pozdrowienia. Anna Sielecka“.

Panna Władzia oburzona natychmiast pobiegła do Sieleckich. Przyjął ją pan Henryk — pani Anna bowiem właśnie wyszła na miasto, jak zapewniała, jękając się, Antosia.

— Co ma znaczyć ten list? — zapytała panna Władzia.

— Wymówienie.

— Dla czego?

— Pani oddziaływała źle na moją córkę pod względem moralnym — prosto z mostu rzekł pan Sielecki.

— Nie rozumiem pana...

— Dziunia jest dzieckiem chorowitym i pani poglądy...

— Poglądy! — teraz rozumiem — poglądy!

Pańska córka beze mnie zaszłaby i zajdzie w swych poglądach tak daleko, że jej nawet przez lunetę nie dostrzeżecie.

— Co?

— Mówię, że Dziunia ma duszę czystą i niejedną sprawi państwu niespodziankę, gdy jej urosną skrzydła.

— To pani wychowanie będzie temu winno.

— Myli się pan. W przeciągu paru pierwszych miesięcy wyczułam, że Dziunia bardzo krytycznie patrzy na swe otoczenie. Ja tylko nie uważałam za możliwe osłabiać jej krytycyzm.

— Proszę mi tu nie prawić impertynencji!

— Dla was prawda jest impertynencją! — W takim razie proszę o uregulowanie rachunków. Jako nauczycielka, wynajęta na cały sezon, żądam wypłacenia mi pensji za trzy miesiące.

— Przepraszam panią, ale to chyba za dużo. Mogę pani służyć za miesiąc...

— To przecie pospolity wyzysk, panie Sielecki!

— W takim razie niechaj pani dochodzi sądownie.

Panna Władzia, tłumiąc ze wzruszenia głos, powiedziała:

— I nie wstyd to wyzyskiwać? Och, sądów na was, sądów! Ja wstydzę się za pana. Panie, jeżeli pańska córka dowie się o tym, źle będzie myślała o panu, jeszcze gorzej, niż dotąd...

Twarz pana Sieleckiego zalewała krew.

— Milczeć! — zawarczał przez zęby.

Panna Władzia spojrzała na niego wyniosłe. Drżąc z oburzenia, hamowała jednak gniew i, od-

wracając się, wypuściła jakby kącikami ust z nieopisanym szyderstwem:

— Tyle jeszcze tylko pozostało w was z krwi szlacheckiej.

I wyszła.

— Smarkata emancypantka — wykrztusił z wściekłością Sielecki.

— and a few hundred, and a few hundred, and a few hundred —
— and a few hundred, and a few hundred, and a few hundred —
— and a few hundred, and a few hundred, and a few hundred —
— and a few hundred, and a few hundred, and a few hundred —

KAROLKA.



karolka Gącik apatycznie pozwoliła sobie wziąć niemowlę. Gdy jej ojciec, ubogi gospodarz z pod Góry Kalwarji, podał na pożegnanie dziecko do pocałowania, Karolka ledwie odwróciła głowę na poduszce i, jakby z obowiązku, przytuliła małego. Patrzyła obojętnie, jak ojciec zawijał go w chusty, jak otworzył drzwi i wyszedł. Ani przez chwilę nie powstało jej w głowie, żeby sprzeciwić się odebraniu dziecka. Wiadoma rzecz — bękart. Przy niej zostać nie może. Na wieś nie wróciłyby za nic. Chłopaki prześmiewaliby się z niej, a i dziewczęta rozpuściłyby swoje ozory, długie jak baty. A toć przez to uciekła do Warszawy; tutaj zgodzi się na mamkę, a chłopiec zostanie na wsi. Da Pan Bóg, to się i tak uchowa.

Tak rozmyślając, przymknęła oczy i zaraz usnęła. Obudziła się aż rano, następnego dnia.

W ciemnym, długim wnętrzu sutereny krzątała się już około kuchni właścicielka mieszkania, pani Franciszkowa. Była to baba tęga, energiczna, o bezczelnym spojrzeniu. Zajmowała się stręczeniem służby, oraz innemi interesami, dla wygody państwa i zamożniejszych kawalerów. Karolka mieszkała u niej

już od dwu tygodni. Zaprowadziła ją tu przyjaciółka jeszcze ze wsi, służąca w Warszawie. Pani Franciszkowa wzięła dziewczętą na spytki, a sprawdziwszy, że Karolka jest bądź-co-bądź córką gospodarską, oraz, że przywiozła ze sobą dwadzieścia pięć rubli — przyjęła ją jako lokatorkę na czas połogu, robiąc nadzieję na wyszukanie potem służby. Karolka oddała pieniądze, ucałowała rękę pani Franciszkowej i pokornie przysiadła w kącie sutereny. Rajfurka zapędziła ją zaraz do roboty, mówiąc: „Cóż ty se, durna, myślisz, że ja cię tu za darmo będę żywiła?” Karolka uznała słusność tej uwagi, jęła się roboty i harowała prawie do samej słabości. Za każdym słowem gospodyni drżała z obawy, żeby ją pani Franciszkowa nie wyrzuciła na ulicę. Patrzyła na nią z wdzięcznością, jak na dobrodziejkę, która ją przygarnęła. Na dwa dni przed położem oświadczyła pani Franciszkowa, że trzeba jechać na wieś do rodziców Karolki i przywieźć dla dziewczyny pierzynę, kilka jajek i jakiego kuraka na czas słabości. Karolka padła dobrodziejce do nóg i gorąco obcałowała jej ręce za taką dobroć. „Innaby skórę z ciebie zdarła, a ja ci jeszcze miejsce znajdę” — odpowiedziała gospodyni. Ze wsi wróciła pani Franciszkowa z pierzyną i poduszkami dla dziecka, nawiozła kaszy, krup, kilka osełek masła, serki, pół tuzina kurcząt. Opowiedziała Karolce, jak to mądrze poczęła sobie u rodziców. Przyrzekła im zaopiekować się córką i wyszukać dla niej dobre miejsce. „Głupie ludzie! Oni myśleli, że ty zmarniejesz. Jak się rozgniewam, jak nie zacznę ich kłać, że ci drogę

wyscielę rublami, byle wzieni bachora. Wtedy oni dalejże mnie ugaszczają, a fetować, a pocieszycielką nazywać. Głupie ludzie! Warszawa to dla nich, jak ten młyn djabelski. Juści, że piekło dla głupiego — ale za to cwaniak pływa tu, jak wieprzowy kotlet na rzetelnym maśle“.

Karolka niebardzo pożywiła się z tych zapasów przed słabością, niewiele też zakosztowała z nich w czasie słabości. Nawet gdy się jej jeść zachciewało, nie ośmieliła się przecie wyznać tego dobrodziejce.

Teraz, obudzwszy się, leżała jak zając pod mieżdą, bojaźliwie strzygąc uszami za panią Franciszkową, żeby jej nie spędziła z łóżka. A podnosić z siennika nie chciało się. Tak lubo było rozprostować kości, jeszcze nie wypoczęte. Wyciągała nogę to jedną, to drugą wolniusieńko, żeby szelest pierzyny nie sprawił hałasu. Dzięki tym manipulacjom powiodło jej się rzeczywiście nie rozdrażnić uwagi rajfurki. Pani Franciszkowa jadła sute śniadanie, od czasu do czasu zerkając podejrzliwie do kąta, gdzie leżała Karolka. Rajfurka przyodziła się i wyszła. Dopiero po jakiejś godzinie dziewczyna zwlekła się z siennika i w półmroku macała garnuszki na blasze. Wyszperawszy tam trochę kartofli, kawał chleba i zdziebko mleka, posiliła się i skryła z powrotem pod pierzynę. Sen twardy i rozkoszny objął jej znużone członki.

— A cóż to, jasnie panienka jeszcze chrapie? — obudził ją wieczorem głos pani Franciszkowej.

— Kości mię jeszcze bolą — usprawiedliwiała się Karolka.

— Nie trzeba się było tłuc z chłopakami po załotkach. Jadłaś co?

— Ano zjadłam, co ta było na kominie.

— Żre to, jak świnia. Słuchajże i wyrozumiej, co ci teraz powiem, chamska pało! Jutro pójdziemy do jednych państwa i tam dostaniesz miejsce. Zapłacą ci pensji sześć rubli, spanie, wikt i wszystko. Wikt będziesz miała jak w Renesancie, byleś nie ćkała jabłek, barszczu, a wódki to niech cię Bóg broni, Karolka!

— Złociuska pani, a na co mi wódka?

— Nie gadaj, ino słuchaj, co ci mówię. Wódki, zielenizny i barszczów żebyś nie jadła, bo jak cię na czym takim złapią, to cię wygonią na zбитy łeb.

— A i bez co tak, moja pani?

— Głupiaś... I tak z tego nic nie zrozumiesz, boś chamka.

— Pewnie, że nie.

— O dziecko musisz dbać, jak o własny brzuch!

— Ano jakże!

— Bo jak cię wyforują, to ja cię już nie wtrynię, choćbyś mi sto rubli złotem do ręki tknęła, a nie te piętnaście papierkami.

— Dwadzieścia i pięć przecie...

— Jakie dwadzieścia pięć, tłumoku! Liczyć to nawet do dwudziestu niezdolne! Jak pani Franciszkowa zapewnia że piętnaście, to piętnaście! Teraz: za kurczę, jajka, masło, com cię przez te sześć dni żywiła, rubli trzy. Za odebranie bachora, rubli pięć,

za fatygę i bilet do Kalwarji, rubli dwa. Jedno z drugim, winnaś mi jeszcze dziesięć rubli.

— A skądże ja to wezmę, pani Franciszkowa?!

— Weź sobie choćby od frajera z ulicy. Albo dziesięć rubli, albo pierzyna.

— Pierzyna! — zmętniał głos Karolki.

— Przecie mówię, a nie szczekam, jak pies. — Dalej. Za stręczenie rubli trzy. W pierwszym miesiącu jeden, na drugi dwa.

Karolka ucichła. Słowa pani Franciszkowej stuknęły jej w głowie, jak gałki liczydła. Czuła, że rajfurka szachruje, ale nie umiała się rozeznac w natłoku cyfr. Najbardziej żał jej było pierzyny, na którą przez długie lata własnymi rękami oskubywała gęsi ojcowe i cudze. Zakutawszy się w kraciastą powłóczkę, tknęła — tłumiąc głos, żeby gospodyni nie usłyszała.

— Jeśli ci się nie widzi, obiboku, to się zbieraj i won! — dorzuciła baba po jakimś czasie.

— Moja pani Franciszkowa, a dyć złego słowa nie wypuściłam z gęby — szepnęła Karolka, wstrzymując dech.

— No to se tylko cycki wymyj na jutro, żeby mi te państwo nie powiedziały, com im przyprowadziła niechluj.

Kładąc się spać, dodała:

— Jeśli już nie ze wszystkim jesteś głupia, jak to ciebie, to se u nich pieniędzy nakopisz, jak siana. Tylko ich zażyj cwanie... Ale co ta gęba napróżno męczyć do chama!

Nazajutrz, spłaciwszy pierzyną dług pani Fran-

ciszkowej, udała się Karolka, tak jak była odziana, w jednej chuście do „tych“ państwa. Przyjęto ją z nieufnością. Franciszkowa „buchnęła w mankiecik“ panią Zebrzycką i zaczęła zachwalać Karolkę.

— Złoto a nie dziewczyna, wielmożna pani. Ciche to i pokorne jak gołąb, a nie latawiec, jak to te dziewczki rozpущzone. Już niech wielmożna pani będzie spokojna, Franciszkowa nie stręczy byle jakiej lafiryndy. Skromne to, a robotne, a grzeczne. Nie chwalcę się, to moja zasługa przed Panem Jezusem, że się Karolka nie zmarniła gdzie w rynsztoku. Nawet biedactwo nie miała czym opłacić komornego, ale kto ta będzie ściągtał od takiej sieroty. To mi już za moje grzechy Święty Piotr w niebie porachuje, com jest stratna przez tę dziewczuchę.

Franciszkowa przerwała, uśmiechając się nabożnie do pani Zebrzyckiej i bystro zaglądając w jej oczy. Nie wyczekawszy jednak niczego, cmoknęła ją znowu w rękę.

— Sumiennie radzę wielmożnej pani, niech wielmożna pani weźmie Karolcię. Niechno wielmożna pani patrzy, co tu pokarmu — jak u krowy!

Odgarnęła koszulę Karolki i ścisnęła pierś. Pokarm trysnął z niej strumieniem.

— Ja tam na niej się nie zbogacę. Da mi wielmożna pani dwanaście rubli i Franciszkowa będzie miała dosyć, bom przecie nie z żydów. Mówię, że takiej to pani w całej Warszawie nie znajdzie.

Pani Zebrzycka, tłusta, mała osoba, w szlafroku w stylu japońskim, złym spojrzeniem obmacywała Karolcię. Dziewczyna stała czerwona i milcząca, jak

żywy towar. Oczy jej zaciągnęły się senną zadumą, na ustach trzymał się sztywny, obłudny uśmiech.

— No! — cóż ty, Karolka? — zapytała pani.

W odpowiedzi Karolka obtarła sobie nos.

— Młode ciele, proszę wielmożnej pani, co ino ze wsi, to jeszcze nie oswojone. Ale taką, to wielmożna pani nakręci jak zegarek, nie jak z temi z Powiśla, albo z żydowskimi sługami — dodała ciszej pani Franciszkowa. — Wszystkie one jedna w drugą albo chore, albo złodziejski.

— No dobrze, zatrzymam ją trzy dni na próbę — odezwała się pani Zebrzycka.

— O to, to, wielmożna pani. To ja już z temi czternastoma rublami zaczekam do środy.

— Czternastoma?! — Zdziwiła się pani.

— Z temi dwunastoma rublami i czterema złotówkami. Taniej nie mogę, na nieboszczyka męża, jakem uczciwa kobieta! I tak jestem stratna na tej sierocie. Niech tam już te trzynaście rubli, wielmożna paniusiu — krzyczała, całując ręce pani.

— Karolciu, sprawiaj się dobrze, jakem cię pouczała, i słuchaj pani, jak rodzonej matki. Dla takiej jak ty, szkoda dobrej służby — a lepszej nie dostaniesz, choćbyś schodziła całe miasto. Żebyś mi krzywdy nie wyrządziła dzieciątku. Słuchaj się pani, jak trąby anielskiej, Karolciu!

Karolka trzydniową próbę przeszła wzorowo. Pani Zebrzycka pilnowała ją pedantycznie. Przestrzegała godzin karmienia według jak najściślejszych przepisów lekarza, wglądała w jedzenie mamki, kontrolowała ją, czy troskliwie chodzi około dziecka.

Karolka spełniała wszystko posłusznie. Była cicha, uległa i bała się pani. Każdy rozkaz wypełniała dosłownie. Była jak sprzęt, który się przenosi, stawia tu, odstawia owdzie, a skoro się zepsuje, wyrzuca do śmieci. Po tygodniu, wdroywszy się do obowiązku, funkcjonowała mechanicznie. Karmiła dziecko, myła je, przewijała, chodziła z nim na przechadzkę, wracała do domu, znowu karmiła, myła, przewijała, lulała, usypiała, znowu karmiła.

Mijały tygodnie i miesiące. Państwo Zebrzyccy zachowywali się wobec niej z lekceważeniem, jak wobec istoty, która im niczym przykrym nie zagraża. Po kilku już tygodniach przekonali się, że mogą jej dziecko zaufać, i zaczęli wychodzić wieczorem z domu. Karolkę oceniali wyłącznie jako przedmiot użytku. Ona patrzyła na nich tylko jak na ludzi, których trzeba słuchać.

Zwolna zrodziło się w Karolce przywiązanie do dziecka. Dziewczynka już ją poznawała, uśmiechała się, później wyciągała rączki i podrywała do niej główkę. Te znaki rozwoju i jakby uczucia wzruszały Karolkę. Wychodząc z domu tylko w niedzielę do kościoła, nie utrzymując z nikim bliższej znajomości, odczuwała w Helence jedyne żyjące z nią stworzenie. Życie tego maleńkiego stworzenia do pewnego stopnia zależało od Karolki i poczucie odpowiedzialności za nie czyniło je coraz bliższym. Cicha radość napełniała mamkę, gdy dziecko, ssąc, obejmowało ją oczami uporczywie i wpatrywało się w twarz. W czynnościach około małej, dokonywanych zrazu machinalnie, znać było teraz tkliwość

i delikatność. Dotykając dłońmi różowego ciała, instynktownie dbała o to, żeby nieuważnym naciskiem palców nie urazić drobnych kosteczek. A kiedy była sama, tuliła nieraz dziewczynkę do swych piersi, obsypując bielutką twarzyczkę pocałunkami. Helenka wydawała wtedy jakieś dźwięki, podobne do gruchania gołębia.

W miarę czasu, bezsłowne porozumienie między dzieckiem a mamką rozwinęło się we wzajemne przywiązanie. Pani Zebrzycka, spostrzegszy to, była zazdrosna o nieuchwytny odcień w stosunku Helenki do Karolki. Mała, przyzwyczajona do widoku twarzy matki, uśmiechała się do niej tak samo, lecz pani Zebrzyckiej zdawało się, że w tym uśmiechu brak odruchowej ufności i oddania się. Zdarzało się, że gdy matka przewijała dziewczynkę, Helenka wybuchała płaczem, a cichła, skoro się do tego wzięła mamka. Przez ćwiczenie, staranność i czułą troskliwość przystosowały się ręce Karolki i obeznały z fizycznymi właściwościami dziecka tak, że wykonywając te same na pozór ruchy, co ręce matki, jednakże wykonywały je inaczej, bardziej umiejętnie. Karolka, świadoma swojej wyższości nad matką, cieszyła się, gdy pani Zebrzycka musiała wezwać jej pomocy dla uspokojenia Helenki. Na skutek skrytej rywalizacji, wyniknęły między obu kobietami różne skryte starcia. Nieraz, gdy dziecko w najserdeczniejszej zgodzie gaworzyło z mamką, do pokoju wchodziła pani i, nic nie mówiąc, odbierała Helenkę z rąk Karolki. Mamka za każdym razem doznawała uczucia silnej przykrości, splątanego z jakąś głuchą, ślepą

tęsknotą. Później trzeba było dopiero płaczu małej, żeby dziewczyna zajęła się nią z dawną troskliwością. Lecz zazdrość nie ustawała. Obok niechęci względem pani i wzgardliwego szyderstwa, pojawiało się wtedy uczucie bolesnej czczości, która wysysała z twarzy Karolki zwykłą pogodę, pozostawiając wyraz rozbicia i ponurego niepokoju.

Pewnego wieczora, gdy dziecko się rozplakało, a Karolce dość długo nie udawało się go utulić, odezwała się do niej pani z gniewem:

— Już ja ją sama uspokoję.

— A to niech se ją pani bierze — syknęła Karolka. Pani Zebrzycka spojrzała na nią wyniosło i wyszła z dzieckiem. Pierwszy to raz Karolka ośmieliła się hardo odpowiedzieć pani.

Rozdrażniona tym, nie posiadając się z ukrywanej wzdąrcy i zawiści, zaczęła płakać. Zdało jej się, że utraciła Helenkę i że jest jako ta grusza samotna na polu. Dziecko płakało w drugim pokoju, ale Karolki to nie wzruszało.

„Niech się zapłacz, choć na śmierć“.

Wtedy to, z głębi istoty pochodzące, wynurzyły się na powierzchnię owe nienazwane i nieujęte tęsknoty, targając i szarpiąc. A ból był dzisiaj okrutniejszy, niż kiedykolwiek. Jałowa pustka, niby wydma piachu, szerzyła się w duszy, a po tej suchej powłoce gnał ból, ni to wicher, wznosząc obłoki pyłu, zasypującego oczy i wciskającego się w usta. Od woli niezawisła tęsknota, jak niezawisły od niej jest ból fizyczny, wzmagala się, gniotąc czaszkę okrutnym brzemieniem. Ni to nędzny krzew, siepała

się dusza Karolki, aż przed wzrokiem stanęło dawne wspomnienie.

Zwidziało jej się, że wróciła do pani Franciszkowej i leży w ciemnej, podługowatej suterenie. Z boku przy piecu stanęła pani Franciszkowa, a do sieniaka Karolki zbliża się ojciec z niemowlęciem. Karolka odwraca głowę i całuje dziecko. Wspomnienie było tak wyraziste, że słyszała pisk chłopca. Pisk dochodził z drugiego pokoju, lecz Karolce wydało się, że płacze tamto dziecko, jej chłopak...

Niby piekący płyn rozlało się w jej wnętrzu cierpienie, niemilosierne jak wyrzut sumienia, a wargi same wyszeptwały po raz pierwszy: „synaczek mój, synek słodki“.

Listy z domu otrzymywała Karolka rzadko. Były to relacje o tym „co słyhać“, oszczędne i bardzo ścisłe.

Wiedziała z nich, że Józik, karmiony butelką, chowa się, Bogu dziękować, ale chorzeje. Rodzicom tej zimy powodziło się gorzej, niż lat poprzednich, zdechła im w dodatku krowina, więc pośród tak niepomyślnych wieści stan dziecka, odebranego kilka dni po urodzeniu, nie nazbyt poruszał matkę, zwłaszcza, że o powrocie do domu wcale nie myślała, a o tym, żeby dziecko trzymać przy sobie w Warszawie, nawet nie zamarzyła. Wydawało jej się dotąd zupełnie słuszne i sprawiedliwe to, co się stało, i tak, jak jest. Nie słyszała nigdy, ażeby mogło być inaczej. W dziedzinie jej wiadomości i znajomości porządku rzeczy na świecie nie mogło powstać inne pojęcie, myśl, że taki porządek jest nieporządkiem.

Karolka była niejako naczyniem instynktów, nawyknień i odruchów narosłych i wytworzonych wśród istot i przez istoty podległe, niewolne i bierne.

Tę głębę od wieków wyschniętą przebiły teraz uczucia, wydzierające się z podziemnych korzeni jestestwa, niby pługi, kraczące stwardniały ugór. Doznanie winy, jęk sumienia, żal, tęsknota do dziecka, które stanowiło jej własność, jak własnością jest ręka, te poczucia spadły nagle na serce bezradne i strwożone. Nie znalazłszy ujęcia, przez które mogłaby się wymknąć boleści, padła Karolka na kolana i modlitwa żarliwa o zmiłowanie ukoiliła na raz cierpienie.

Następnego dnia napisała do rodziców list z gorącą prośbą, żeby jej donieśli zaraz, czy Józik jest zdrowy. Wysłanie listu zmniejszyło zgryzotę, ale jej nie wykorzeniło. Helenką zajmowała się jak poprzednio, lecz, gdy ją ogarniało rozczulenie, nagle poczucie obcości dla tego cudzego dziecka warzyło je, jak mróz jesienny warzy kwiaty. Wtedy serce rozrywała tęsknota i uparty ból. Gdy pochłonięta sprawą własną musiała wracać do rzeczywistości obecnej, krzewiło się w duszy uczucie wrogości i odrazy względem dziecka. Robiła wówczas około niej z mściwą złością, hamowaną jedynie przez obawę. Przyzwyczajona do sumienności, robiła dobrze, ale stała się nieczuła na jego uśmiechy, nie dostrzegała jego roześmianych, albo zapłakanych oczek. Rzeczy Helenki, jej poduszeczki, bielizna, czepeczki, wszystkie drobiazgi wyprawy dziecinnej, starannie dobrane przez matkę, wywoływały dotąd

w mamce serdeczny podziw. Teraz były chwilami przedmiotem zazdrości. Czasem chwytła Karolkę trudna do opanowania chęć wziąć i na szmatki porozdzierać koronki, białe czepeczki z błękitnymi wstążkami i cienkie koszulki.

Przeobrażenie to dokonywało się niepostrzeżenie dla samej Karolki, dla pani Zebrzyckiej. Nie zauważyła też pani, że blask niebieskich oczu Karolki, tych oczu dotąd wiernych, posłusznych, albo zalęknionych i ogłupiałych, świecił zimno i posępnie. Jak dawniej słuchała rozkazów pani w milczeniu i wypełniała je dokładnie, lecz na twarzy ukazywał się rumieniec zniecierpliwienia. „Już przecie wiem, nie gadaj tyle“ — zdawał się mówić oschły błysk oczu, chociaż świadomość trwała w stanie zaskorupienia. Tylko robota szła teraz jakby sporzej. Ruchy Karolki dawniej spokojne, niemal gnuśne, jakby rozkoszujące się sobą, albo z namaszczeniem pograżone w pracy, straciły równowagę i stały się żywsze, raptowniejsze, pełne werwy i rozpędu. Byłe prędkiej, jakby dokądś śpieszyły.

Po kilku tygodniach otrzymała Karolka wiadomość, że Józik zdrowy, ale krzynekę chorzeje. Krowina zdechła, trzeba było dla chłopaka kupować mleko u ludzi.

„A ja mam tyle pokarmu, żebym takich troje wykarmiła“ — pomyślała Karolka. Nazajutrz wysłała do domu dziesięć rubli, zaoszczędzonych dla Józika, na rany boskie zaklinając, żeby ojce dziecka pilnowały. „Nie wiem bez co, ale ciągiem myślę o Józiku“ — pisała.

To nie było prawdą. Karolka o synku nie myślała wcale. Tylko nie mogła sobie dać rady. Nękało ją coś bez przerwy, a często schodziły jej długie chwile w bezmyślnym zapatrzeniu się w przestrzeń, lecz w świadomości nie poczęła się żadna wyraźna myśl. Dopiero napisawszy te słowa — zrozumiała. Było to, jakby w nieopisanym trudzie brodziła przez grzęzkie błoto, aż nareszcie dostała nogami twardego gruntu. Słowa, mozolnie wyrysowane na papierze, albo raczej słowa, które złożyły się same w myśl, zaryły się w świadomości głęboko, jak pale wpuszczone w nurt samowolnie pędzącej rzeki.

Na tych słowach zawisnęła teraz istota Karolki, jak na przykazaniach opiera się w chwilach rozterki myśl człowieka wierzącego. Rozpierzchłe tam i sam, strzelające wytryski uczucia i nieznane smutki jęły się układać i osadzać na tym fundamencie.

Józik! Niebożátko! Ciałka to pewnie jak na szczurku w zimie. Nie to, co ta — myślała o Helenie. — Jakie to ma pyski, jak dwa schabiki. A wszystko to przeze mnie, wiesz, zatracony bechu! — mówiła półgłosem, zawijając Helenkę w czystą pieluszkę.

— Hej, jakie to panienka ma prześcieradełko, a korunki! Nie to, co mój Józik! Dobrze, jeśli mu dadzą brudny fartuch pod zadek. O Jezu! Jezu! Bez co ten mój chorzeje? Za ten grzych z onym zbereźnikiem? O Jezusiczku słodki, a nie daj-że mu zemrzeć, bo się chyba na śmierć zamartwię!

Ale rady na to żadnej nie znajdowała. Jej szeroka, okrągła twarz pozapadała w policzkach, a pod

oczami wyciągnęły się sine smugi. Życie było męczarnią. Karmienie Helenki stało się aktem bolesnej operacji, jakby dziecko wysysało z piersi nie pokarm, lecz piło żywą krew. Po nocach trapiły duszę okrutne zmy. Pewnej nocy ujrzała we śnie wychudłe dzieciątko, napróżno wyciągające cieniutkie ramionka do jej piersi. Jęcząc i piszcząc, przytulały się do niej. Jedno z nich dorwało się wkońcu i, przymknawszy oczy, ssało żarłocznie, sapiąc i zachłystując się. Wtedy zważyło się na niego tęgie, różowe, dobrze wykarmione dziecko, a tamto, jak mucha, spadło w ciemną głąb. Karolka ocknęła się. Przy jej piersi leżała Helenka. Złana zimnym potem odepchnęła dziewczynkę od siebie. Helenka zanosła się żałością. Karolka, lękając się pani, porwała ją i podała pierś.

Łatwiej przychodziło przeżyć dzień, bo zapełniała go praca, ale noc zachodziła na serce, nito strach piekła. Ból przesiąknął duszę, trawiąc ją do cna, niby pożar, chłonący puszcę. W czarnej otchłani czasu leżał na dnie żółty, zbiedzony, umierający dzieciak. Karolka zajrzy, bywało, do tej czeluści i coraz odwróci oczy, żeby nie zawyc ze strachu i cierpienia. Włóczyła się po mieszkaniu niby cień samej siebie, bo duchem wędrowała na wieś do rodziców, do swego dziecka. Chodziła zła, jak ukąszony pies. Najmocniejszy nawet hamulec odruchów: obawa przed panią, zawodził. Raz, przechodząc obok Zebrzyckiej z dzieckiem, zatoczyła się i pchnęła ją łokciem.

— Karolka, patrz jak chodzisz, tumanie jeden!

— Hale! Nie wiem, na kogo mam patrzeć. Skoda oców na taką kobitę, co ma cycki zašpuntowane przez Pana Boga.

Zebrzycka sponsowała.

— Co takiego! — coś ty powiedziała?!

— Ja ta już wiem.

Sprawa oparła się o męża. Państwo Zebrzyccy postanowili wymówić Karolce miejsce za dwa miesiące, gdy już Helence nie będzie potrzebna.

— Tym zwierzętom nie można zbyt wierzyć. Trzeba było, kochanko, trzymać ją krótko, jak z początku.

— Kto się mógł spodziewać, że to taka zła bestja.

W bezradnej udręce obijała się Karolka o żelazne pręty swej klatki. Teraz już niemal każde spojrzenie na Helenkę nawodziło jej obraz Józika, a każde objęcie różowego ciała jątrzyło cierpienie. Czasem, przewijając, musiała odwracać oczy, bo ją to słonko radosne przyprawiało o szal nienawiści. Zawijała ją wtedy byle jak, gwałtownie, unikając oglądania jej szyjki, cieniutkiej jak szypułka kwiatu, której widok rozniecał w rękach łaskotliwy, zbrodniczy dreszcz. Zgrzytając zębami, uciekała do kuchni pod jakimkolwiek pozorem, zostawiając dziecko matce.

Pani czyhała tylko na sposobność, żeby się zemścić za owe ciężkie słowa, ale dziewczyna swoje robiła, jak zawsze, doskonale. Nie mogąc jej nic zarzucić, próbowała ją Zebrzycka męczyć, wdzierając się w prawa mamki, ale jej złość starła sobie rogi o kamienną obojętność Karolki. Służąca za-

częła napawać panią lękiem, którego Zebrzycka wstydziała się sama przed sobą.

W tych czasach twarz Karolki stała się żółta i wyschnięta, wargi spieczone. Oczy na głucho zamknięte dla wszystkiego, co ją otaczało, pałały gorączkowo albo powlekały się białą mgłą: widzenie zwracało się do wewnątrz. A tam rozpościerała się albo lodowata cisza martwoty, albo orkany rozpaczy jęczały głosem żałośnie szlochającego Józika.

Nareszcie doczekała się nowego listu.

„Kochana Karolciu! Najpierw niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, ściskamy cię wszyscy i niech cię Bóg litościwy ma w swej opiece. U nas tera wiosna, tośma kupiły jałoszke. Nie taka będzie krowa, jak łysa, zawszeć to przecie bydlatko w chałupie. Magda napira się ciągiem do Warsiawy, to jom już na Święty Michał odpuscemy. Na polu wszycko obrzondzone, coby ino Pan Jezus pobłogosławił. Te dzie sięć rublów coś nam jeich posłała, to za one dzie sięć i za nasze trzinaście, kupiliśwa jałoszke. Józik je żółciuchny jak to jabłko pod jesień, a to przecie wiosna. Boima się, cobyś się nie zaczena trapić, jeśli broń Panie Boże, chłopacysko zamrze. Pisz, kochana Karolciu, co u ciebie słyhać i cy do nas zajrzys. Twój był tu na Świętego Józefa za urlopem z garnizonu. Ociec sklon go siarczyście, aze uciekał jak warjat. Całujemy cię kochana Karolciu wszyscy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Amen“.

Karolce puściły się łyzy ciurkiem. Wstała z łóżka, na którym przykucnęła obok dziecka, i, jak pijana, chodziła tam i z powrotem, ślaniając się to w tę,

to w ową stronę. Szloch jej zmienił się w niepo- hamowane zawodzenie, w skomlenie wprost zwie- rzęce. Rękami łapała się za głowę, to wgrzebywała je we włosy, albo biła się niemi o biodra. U drzwi padła na kolana i jęła głową tłuc o kanciaste odrzwia.

Rozległ się płacz Helenki. Karolka wstała z ko- lan. Od oczu wzdłuż policzków wyłobily się dwie bruzdy, któremi ciekły łzy. Od nosa ku wargom przecięła twarz zmarszczka bólesci. Na szaro-żółtej twarzy paliły się oczy obłąkańcze. Potargane włosy skłębionemi kosmykami zwiły się na plecach i piersiach.

Nagle Karolka wyrzuciła ściśniętą pięść ku He- lence.

— Niedoczekanie twoje, diabli bękarcie. To mój ma przez cię zdechnąć, kiej to kocie parszywe?!

Porwała na ręce Helenkę i zaczęła ją kołysać z taką siłą, że dziecko, otumanione wskutek gwał- townego ruchu, usnęło. Karolka włożyła je do ko- łyski i poleciała do kuchni. Rozwinęła na podłodze chustkę i układała na niej rzeczy.

Potym zwinęła je, obwiązała sznurkiem i wpa- kowała pod łóżko. Twarz jej ścięła się w zimną i spokojną maskę. Przez cały dzień pracowała gor- liwie, jak zwykle, czekając wieczoru. O godzinie ósmej państwo poszli do teatru. Mieli wrócić na dwunastą. Karolka po raz ostatni dała piersi He- lence i uśpiła ją. Wzięła pod pachę tobolek, prze- zęgnęła się i wyszła.

Po godzinie dziesiątej zbudziła się Helenka. Światło lampy uderzało wprost w przymrużone

oczki, ale żaden znany szelest nie muskał uszu. Dziecko przekreśliło główkę nalewo, potem naprawo. Nad ustami nie zjawiła się pierś, radość i pociecha we dnie i w nocy. Dziewczynka zakwiliła. Ciepła, biała rozkosz nie ukazywała się, nie ukoili oczek dobre fale, płynące z dwóch gorejących obłoków. Dziewczynka rozplakała się rzewnie. Po jakimś cza- sie podniosła zmoczone łzami powieki, ale nie zoba- czywszy nad sobą mamki, zaniósła się ostrym, wrzask- liwym szlochem. Płucka nadymały się z całych sił, buzia rozchylała coraz szerzej, krzyk stał się wrzaskiem, który, zda się, woła o litość, wzywa ra- tunku, a budzi przerażenie i serce przenika grozą. Z gardziółka Helenki wydobywał się tensam ochrypli ryk ciała, jaki wydaje z siebie mordowane przez człowieka zwierzę.

Ale nikt nie biegł na ratunek.

W obumarłej ciszy pustego pokoju rozbijał się krzyk samotnego dziecka, ni to błaganie ożywionej natury do wrogiej, nieznanej mocy.

Nagle Helenka drgnęła. Wyrężyły się nóżki, twarz napłynęła krwią, jak róża, potym zsiniała, rączki biły powietrze — a płacz pękł nagle i zagasł...

ŻOŁNIERKA.

I.



toć mie dziś ze wszystkim pożres, Józka —
przekomarzał się mąż.

— Do cna wycisnę z ciebie oną słod-
kość, jednej kropli krwi nie ostawię...

— Nienasycone toto, jak strzyga krwiopijna —
pieszczotliwie gładził Wojciech garnącą się doń
małżonkę.

— Dy sie nie odstrychaj, kiej ten ogier od nędznej
klacy! Takam już paskudna, Wojtuś, co mie nie
chcesz? Najadeś sie zony, jak niedźwiedź miodu —
tom ci już cale obrzydła?

— Nie miel tym ozorem bele cego, Józia; miłaś
mi, jak żadna na świecie.

— A chtëną wolis, mie, cyli Martę od sołtysa?

— Martę sołtysównę...

— Zadusę cie dziś z tego miłowania, że mie
nie zabędzies bez te trzy roki sołdackie. Mójes ty
chłopie słodki! — zanosila się od lubości, obłapiając
go ramionami sprężystymi, jak młoda brzezina.

W ciszy nocnej rozbrzmiewało jeno wesołe skrzy-
pienie łóżka i szczęśliwe westchnienia rozkoszy.

Przez szybki okna wsuwał się księżyc różowozłoty, jedyny a pobłażliwy świadek miłości. Zachodząc już nad ciemną ławą boru, tym jaśniejsze posyłał promienie, jakby pragnął się jeszcze nacieszyć oglądaniem radości ludzkiej.

— Wojtuś! — ocknęła się Józka.

W odpowiedzi ino przygarnął ją do siebie.

— Nie zabacysz żony, Wojtuś?

— Ciężkiem to może i nie będę pamiętny na cie — śmiał się. — Kobiet to na świecie, jak piachu.

— Kiej tak mówisz, to mie zbiera taka wścieklizna, żebym dźgnęła nozem każdą, chtëra na cie miłośnie spojrzę.

— Cichaj, Józka! — nic ino jakiesi grzysne pomysłenia chodzą ci po głowie.

— Mężu drogi! — z płaczem nalegała na niego — przecie bez te trzy roki to sie może i nie obacym. Takam na cie łakoma, jak to pole w posuchę na desc. Tera mi sie widzi, jakby te dwa roki naskiego zycia przeleciały, ni ten zając, co ino siust bez miedze i juz go niema. Oj biedna ja kobieta, biedna! A dy ja sie bez ten czas zmarnuję, ani nie pojrzys potem na mnie.

— Nie baj, Józia, bo sie rozgniewam. Chyba cie spierę na ostatek, jeśli nie znajdę jennej rady na taką kobietę.

— Zbić to mie nie zbijesz — uśmiechnęła się zalotnie, przecierając oczy. — Kiejęś mie dotąd ni razu nie wytarmościł, to sie juz nic a nic nie bojam. Uwauz lej, cobym ja cie nie stłukła.

Dziecko w kołysce zapłakało.

— Chłopaka mi strzez, Józia. a chodź kole niego pilnie — polecał, bujając dziecko. — Roboty mas tyła, ze mi markotno, jak to ty temu sama uredzisz.

— Hale! — robotna jestem przecie, nie bój sie!

— Jasiek, kiej wróci z roboty od Niemców, to on cie tyz bedzie wspomagał.

— Niechby sie ino odmawiał, to go prec wygnam z chałupy!

— Tylo dbaj o niego, Józia. Dobry je wyrostek i zdalny na wszystko.

Tak sobie ugwarzali, to ściskając się i zbytując, to pocieszając wzajemnie, albo radząc poczwie.

Tymczasem noc rozpuszczała się w coraz to żywszych blaskach świtania. Słońce, zanurzone jeszcze za borem, rozpinało już swe skrzydła złociste, żółte i czerwone, od których smugi barwne i mgławce niby pyłkiem motyli skrzydełek prosiły na drzewa, pola, parkany i chałupy, krzesząc skry z igieł leżącego szronu. Szmaragdowo lśniły gruzły oziminy, niebieskie wstęgi dłużyły się w bruzdach, różowiły gałęzie drzew, a pnie ich błyszczwały stalowym połyskiem. Niekształtne dachy chałup owiewał silny opar, niby sen. A już na krańcach gorzało niebo cegląstą polewą, której kolor mętny i suchy rozogniał się coraz przejrzysiej. Szkliły się i mieniły na tej krwawej podścieli czuby drzew lasu, ubranego w srebrne i tęczowe perełki szronu. Rozrosły dąb odwieczny, wyciągający swe sękate konary hań ku łące, jarzył się nad tą ziemią ocuconą, niby wieloramienny świecznik pradowej gontyny. Powietrze

świeże, chłodne i czyste kryształilo się, jak woda źródła górskiego.

— Ranyście! — szósta godzina! — zerwał się młody gospodarz, zdejmując z szyi ręce żony i odsuwając się od niej.

— Jaze mi dech zaparło! To już jedziesz, Wojtuś, w te kraje dalekie ode rodzonej żony i od dzieciaka?! O Marjo Przenajświętsza! — nie daj mu zginać ka w tych lodach dalekich!

— Nie wałkoń się, Józka! Wstawaj, trza śniadać i na fure! Śpies-ze się!

Kobieta pławiła się we łzach, że aż litość wzięła męża.

Jego ściągnęła, chudą twarz przeświecił brzask dobroci. Zastanowił się przez moment, patrząc na splakaną żonę, potem nagiął się nad nią i powiedział cicho a rzetelnie:

— Niech cie strach nie oblata. Mam takie w sobie wiedzenie, że wrócę cały ku tobie i ani mi włos z głowy nie spadnie.

Józka wejrzała mu w oczy i wraz ustała lamentować.

II.

Cniło się Wojtkowej za chłopem, jak słonecznikowi za słońcem. Zrazu chwyciła się roboty z rozpaczliwą zawziętością, pracowała od świtu do nocy, usiłując przytłuc tęgę, co ją dusiła ku ziemi, albo szarpała, niby pies, rozdzierający kłami znaną kość. W gorącości rzucała się na robotę, chłodząc w niej kipiątek swej młodej krwi. Czy warzyła strawę,

czy wzięła się kopać na polu wadoły na kartofle, bydło oporządzić, albo uprać szmaty dla siebie i dziecka, zawsze praca paliła jej się w rękach. Czasem tylko, bywało, ujrzy coś, co jej żywo postawi przed oczy Wojtka, i wnet odleci ją ochota do roboty, praśnie wszystko byle gdzie, przysiadzie w kącie i już z jej piwnych, jarzących oczu sypią się łzy, jak groch brylantowy. Świat jej się wtedy wydaje brzydki, niby pies z oblażą sierścią. Dopiero gdy chłopak wrzaśnie, albo gość zajdzie na pogwarke, ocyka się Wojtkowa z boleści serdecznej i żądnie łapie się życia.

Powlókł się jeden, drugi miesiąc, jak ten leniwy kot, przeszedł trzeci i czwarty, jak ten zdrowy koń, a piąty już śmignął niby jaskółka, niewiada kiedy. Jenó gdy z wiosną zelżał mróz, kiedy ozimina obnażyła swe futro zielone z pod śniegu, skoro na mokradłach i łąkach wytrysnęły z pod ziemi białe stokrotki i siwe niezabudki, a przykopy zażółciły się od mlecza i jaskrów, jakisi dur, niby zamroczenie po wódce grzanej z miodem, jął napastować głowę. Odpomniała się przymarzła już przez zimę tęsknota, zawrzała krew, niby struga po ulewie, a Wojtkowa latała wtedy po lesie i polu, jak ta pszczoła szumiąca. Zrobiła się na twarzy biała i różowa, wargi jej sponsowiały, a piersi dychały pod koszulą niecierpliwie, niby spłoszone ptaki. Bywa, idzie pod oknami chałupy chłopak i zajrzy temi ślipiami do środka, jak wilk, a ją obleci ogień od kostek do głowy, aż jej wstyd. Trafi się, Józka krząta się, haruje, że wszystko lata i furczy jak

w kuźni, aż tu się zaćmi w oczach, włosy, rzekłbyś, płoną na karku, a w plecach łechce dreszcz luby i ciepły. Zadumywała się, poddając na oka mgienie tej mocy przemocnej i zapadała w spanie z otwartymi oczami. Zdawało jej się, że się ktoś podkrada z tyłu, opasują ją czyjeś ręce parzące w stanie, przesłodka mglistość wchodzi w kolana... aże gwałtem trza się było wydzierać temu omamieniu. W takich chwilach przejmował ją lęk i żal, a myśl puszczala się w dalekie światy, nito pierze dmuchawca przez wiatr porwane. Hale! — daleko Wojtuś, że ani pomyśleniem nie zgonisz... A tu robota czeka! Brała się przeto w garść, poprawiała włosy i dalej grabić, aż się kurz wzbija żółtym obłokiem dokoła jej postaci krzepkiej i jędrnej.

Tęgo już podgrzewało letnie słońko, kiedy powrócił z roboty od Niemców brat męża, Jasiek. Wojtkowa, ujrawszy go, aż płasnęła w ręce.

— Patrzajcie go, otrokiem był, chłopem przyjechał. Chtóż to cie tak odmienił przez te dwa roki, Jasiek?

— I wyśta, bratowo, na fajną kobietę wyrosli, aż sie ocy pasą patrzący — odparł Jasiek, junacko podkrecając wąsików.

Józka pokraśniała, jakby ją ukropem oblał.

— A dy nie pleć, bo mi ino wstyd.

Jasiek aż zarżał śmiechem, lecz oczu nie obrócić na piec, a ciągiem wiercił niemi za bratową.

Tknęło Józkę, że to Jasiek taki podobny do Wojtka. Taką samiusienką ma czuprynę konopiastą, a głos, to nie widzący, kto się rozmawia, pedziałybyś,

że Wojtków. Tylko patrzenie ma inne, takie ci harde a zadzierzyste, i krzynekę jest niższy w roście, a Wojtek cieńszy i patrzy, jak ten baranek.

— Spadeś nam akuratnie, jak ten desc na spiekę — rzekła Józka. — Bo to już i żniwo za pasem, a kobiecie samej to nie to, co z chłopem. Musiałabych parobka najmać, kość duży i nie wiesz, komu dajesz jeść.

— Ja was ta nie ostawię, bratowo, tylo sobie przódzi dam folgę na parę dni.

— Przecie nie gnam cie, Jasiu, cobyś zara miał chytać za kosę. Wyśpij sie, oddychnij, pojedz sobie.

— Wojtek to pisał?

— Pisał.

— Gdzie stoi, daleko?

— Kasi w tulskiej guberni.

Poweselało teraz w chałupie Wojtkowej, jak w pustym ulu, w który zaprowadzono rój. Jasiek był chłopak robotny i chwacki. Tak się jakoś odrazu porobiło, że choć i młodszy od bratowej latami, zabierał się do gospodarki jak gospodarz, a Józka słuchała się i dogadzała mu w jedzeniu i we wszystkim. Jaśka zaś zachowanie bratowej wcale nie tropiło. Wypadło nawet czasem krzyknąć na bratową, a ta jeno spuści ku ziemi te bure oczy swoje i ani piśnie. Aże jej samej było niekiedy dziwno, że to ona, gospodyni i matka dzieciakowi, a on tylo młodszy brat mężowy i kawalir, a tak ją dzierży w garści. Dziwno jej było z tym, ale i dobrze. Lubiała, kiedy Jasiek się rozezłości i wyraczy na nią ten wzrok jasny a kolący, kiej oset. Bo i Jasiek zresztą nie trwał długo w rozjątrzeniu, ale wnet

buchnie w śmiech, widząc, jak to ona mieni się na twarzy.

— Myślałby kto, żeście panna, która się fartucha matki trzymie, a to kobieta, co już syćkiej maści piastki piastowała w rękach.

— A tyś chyba tyz nie do jednego gniazdka zaglądał, Jasiu? — i aż przybladła, wcierając się spojrzeniem w oczy brata mężowego.

Chciał coś odrzec Jasiek, już już wisiało mu na języku, ale się pomiarkował.

— Kobieta to jesteście, jak ten ogień. Oj trzymać-by was na postronku! — rzekł ino.

Od tej rozmowy chodziła Wojtkowa, jak błędna. Jakaś gorącość, idąca od wnętrza, zamgliła jej oczy, tak, że niby patrzyła niemi, ale nie widziała nic, tylko jakieś tumany płomieniste, w których raz po raz wyblyskało lico Jaśka. On zaś, skoro ją zobaczy, to się albo o nią otrze, że się Józia zatoczy w omdleniu, jakby w nią piorun trzasł, albo se pogwizduje, a oczami świdruje do samego szpiku kości, uśmiechnie się cudnie i pójdzie.

A dni nastały gorące, jak rozpalona blacha. Sklepienie niebieskie wisiało ogromne, jasne, bez chmur. Nad polami drgało powietrze, niby woda zburzona wiatrem. Bór, niby wiejadło boże, mieszał powietrze, zastałe w cieniu, z temi rozgrzanymi masami na polu, tak, że choć skwar, ale nie było duchoty. Czasem tylko obłoki mleczne pływały sobie leciuchno, ledwo ledwo ruszając z miejsca. Krwawiły się na łanach złotych czerwone kiecki kobiet, bieleły koszule mężczyzn, raz wraz śmignął w powietrzu

srebrny zygzak sierpa, czy kosy. Zdało się, rucha się ziemia sama, jak żywa. Potrząsa chyłą zbóż, wzdyma się żarnym oddechem, wyciąga w południe na odpoczynek, zrywa potem do roboty, a wieczorem układa do snu na krótką noc.

Ale ludzie prawie nie sypiali. Krew rozgrzana pracą, nasycona najpożywniejszą strawą, jaką jest słońce, rozsadzała żyły, niecąc pożądanie i wlewając w serca tęsknotę. Wyuzdane krzyki, miłosne wrzaski, świsty, cmokania, swawolne śpiewki, jakby łuną rozkoszy gorzały nad wsią.

Józia czuwała. Wzdrygiwając od wewnętrznej dygotki, obracała się z boku na bok. Zepchnęła z siebie pierzynę, zdarła koszulę i naga przeżyła się w ognistej udręce. Niewiadomo dla czego dzisiaj właśnie nie mogła się doczekać chwili, kiedy Jasiek wróci ze wsi. W upały sypiał on nie w izbie, a na brogu, stojącym obok chałupy, tak, że Józia co wieczór słyszała tupot jego nóg, gdy szedł popod oknem.

Dzisiaj okrutnie długo nie słychać było jego kroków. Nareszcie, gdy miesiąc podzwignął się z za boru, gwałtownie zabiło jej serce. Jasiek wracał. Minął okno. Ucichło. Potym roznosi się skrzyp szczebli u drabiny, wiodącej na bróg: raz, dwa... Męka wyczekiwania stała się tak dojmującą, że jeśliby miała trwać dłużej, Józka rozwaliliby sobie ten łeb rozdzwoniony o ścianę. Serce klekotało w piersi, jak cepy na klepisku. Skoczywszy z łóżka, jak warjotka obgoniła izbę kilka razy dokoła, zanim namacała klamkę u drzwi. Dopiero na dworze spostrzegła, że jest naga. Ciało jej mignęło w poświacie

księżycy jak łuska ryby, która wypłuśnie z czarnego stawu. Wstyd uderzył jej do głowy, jak para gotowanej wódki. Duchem wpadła do izby, wdziała koszulę i wybiegła na dwór. Okoliła chałupę i zatrzymała się na mgnienie oka pod drabiną, aby złapać tchu. Zachrząsało siano pod naciskiem ciała brata mężowego. Józka poczuła ciepłość tego ciała i jak kot zwinie i szybko wspięła się po szczeblach na wonne łóżko.

— Jasiu! — Jasiu! — szepnęła i ciałem rozpalonym wparła się w niego...

Niby srebrno-zielony dach kaplicy rysowała się w blaskach księżycy graniasta czapa brogu.

III.

Po przyjściu na świat dziecka zabrał się Jasiiek i powędrował na roboty, zostawiając bratową na żer jadowitych pysków ludzkich. W chałupie, miast cichych wołań i gorących uścisków, rozlegał się teraz pisk bachora. Ni to pies oblaży bez sierści widziało się Józki życie. Bywało, robi, lata, stara się, aż tu, niby chojar podcięty, rymnie jej na łeb myśl o Wojtku. Strach wślizguje się do struchlałego serca a ręce upadają wzdłuż ciała! „Oj zatłuce mnie, zatłuce, albo wygna prec z chałupy“.

W miarę jak nadchodził czas powrotu męża z wojska, strach gryzł ją i kasał coraz niemiłosierniej. Ani robota, ani jedzenie, ni spanie, ani harmider dzienny nie uwalniały od jego czujnej obecności. Jak choroba śmiertelna wszczepił się w krew i nie było na niego sposobu. Słyszeć czyjeś kroki pod chałupą, a Józka już się porywa, serce jej trzepie

się, trzęsą nogi, oczy szeroko rozwarte wlepiają we drzwi. A to ino kuma zaszła na pogwarke. W nocy pościł dziebko, a tu ją szturchnie ktoś w ramię. Budzi się strwożona: „Jezus, Marja, pewnikiem to Wojtuś!“ — a to ino kot szurnął, goniąc za myszą. Pójdzie w niedzielę do kościoła, to się jej słyszy, że ta straszna pomsta, jaką ksiądz proboszcz grozi grzesznikowi, nie na kogo innego, tylko na nią spadnie, boć to przecie ona jest jawnie grzesząca i to — Boże zmiłuj się! — z bratem mężowym.

Raz nawet увидziało się jej, że ksiądz na nią obrócił oczy karzące, takie okropne jak wieczne potępienie, i na nią ukazał tym wielkim, długim palcem. Jaże skręciła się w sobie, jak robak, z tego pohaanbienia wśród ludzi i uciekała z kościoła. chyłkiem pomykając stecką, nie śmiejąc ani oczu podnieść do góry. Gdy mijała figurę Chrystusa na polu, odchyliła z oczu chustę, aby się przeżegnać, i, spojrzawszy, aż wrzasnęła z przerażenia. Przebity bok Pański opływał czerwoną, ruchającą się krwią, a oczy Pana Jezusowe broczyły żywymi łzami. Jak pies przestraszony, najeżywszy kudły, podwinie ogon pod siebie i wyjąc ucieka do budy, tak pędziła do chałupy Józka. Teraz poznała, że jest potępiona na wieki i że ratunku dla niej niema już ani w tym, ani w przyszłym życiu.

Od tej niedzieli nie poszła ani razu do kościoła i do cna odmieniła się w sobie. Stwardniała, jak pal dębowy w wodzie, zrobiła się złą, kłótniwa i rozżarta. Na ludzi patrzyła zuchwale, jak zbój, a gdy raz kuma bluznęła jej w twarz kpina, Józka za-

powiedziała, że jej oczy wyparzy ukropem. I rzeczywiście, gdy kuma przechodziła pod chałupą, chlusnęła w nią garnkiem wrzącej wody. Baba uchyliła się zgrabnie, tak że wrzątek ledwie ledwie okapał jej lewą rękę, i puściła się galopem, krzyząc i pomstując. Ale od tego wypadku ludzie bali się mleć ozorami w przytomności Wojtkowej.

Wstąpił w nią teraz ponury spokój. Strach zapodział się, niby jaszczurka pod skałą. Nie dygotała już na myśl o tym dniu, gdy wróci Wojtuś. Nie mogło się już nic straszniejszego przydarzyć nad to, co się pod figurą zdarzyło. Zapomniała zresztą i nigdy o tym nie myślała. Była jak człowiek, który wie, że mu nogę odjęto i że mu ona nigdy już nie odrośnie.

Jednej nocy podniosła się znagła na łóżku, jakby ją ktoś zbudził. Dzieciaki spały cicho. Wtedy usłyszała w sobie jakby głuche zawrodożenie, jęk za czymś, co zginęło. Było to, jakby przez szparę w lodzie ujrzała na dnie rzeki szczękę zdychającej ryby i jej martwiejące żrenice. Stękając, usnęła Józia snem, który nie daje wypoczynku. W dzień zapomniwała o tej nocnej chwili.

Szła jesień błotna i zła, jak więdzma. Na niebiosach przeciągały chmury brzemienne dżdżem. Flaga prawie nie ustawała. Deszcz siekł i siekł, jakby się zapamiętał i całkiem rozjuszył na świat, miękący w bagnach i bajorach. Wiatry, świszcząc i jęcząc, obrywały ostatki pożółkłych liści z drzew, drżących nagiemi gałęziami w zimnym, plugawym powietrzu. Zmokły dzień późno zachodził do izby,

zasiadał na kominie i grzał swe starcze kości przy trzaskającym ogniu, jak dziadek, liczący już tylko na tygodnie dni swego życia. Ludzie obijali się o siebie jak głupi. Pająk tylko tkął swą przędzę, ze spokojem dziergając zasadzki na stworzenia, które łąziły po ścianie, nie wiedząc, że w kącie czeka on. Myślała Józia, że też to te muchy są takie głupie i same pchają się w paszczkę temu drapieżnikowi. Coś jej się komarzyło po głowie, że to tak ze wszystkim na świecie, jak z onemi muchami i tym pajakiem.

Te rozmyślenia przerwał jej hałas otwieranych drzwi. Do izby wszedł Wojtuś. Taki sam, jak był, nalicu i w oczach, ino okrzepnął w sobie i broda mu wyrosła, jak capowi. Józia nie zlekła się i nie zdziwiła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział Wojtuś.

Józia nie odpowiedziała.

Zdjął z pleców toboł, postawił go na ziemi, przeżegnał się, zrzucił burkę w milczeniu i dopiero spojrzał na żonę.

— Pochwalonke ci mówię, Józia, cys ogłuchła?

— Słyszaca jestem, jako i byłam.

Wojtuś podszedł do żony i wziął ją łagodnie za ramię.

— Józia przecie! — cóżeś taka markotna? Ani sie radujes, ani mi słowa boskiego nie dajes — Józia!

— Co?

— Cy mie bez te brode nie chces znać, to se ją zestrzygę po gospodarsku, nie bój się! — żartował. — Józia! Wojtek przecie jestem.

— A dy widzę.

— Zła sprawa — oj zła sprawa! — rzekł do siebie i, kiwając głową, jał się rozglądać po izbie. Zmierzchało już, ale na kominie tliły jeszcze drewka.

— A gdzie to chłopak?

— Poleciał na wieś!

— Zdrowy?

— Zdrow.

W kołysce zaszeleściło dziecko. Wojtek zmęczonym z drogi chodem zbliżył się do kołyski, przystanął nad dzieckiem, a po chwili zapytał:

— Cyjez to?

— Jaśkowe i moje — oznajmiła Józia sumiennie. Umilkli.

Józia nie myślała o niczym. Słowa same wymykały się z ust. Doznawała tylko niepokonanego pragnienia snu. Zdało jej się, że ją, niby linką, ciągnie coś z przepaścistego jaru. Czuje, że nie oprze się, że jeszcze jeszcze, a stoczy się w ten jar, jak bezwładny kamień. Z ulgą czuła właśnie to, że jeszcze jeszcze, a przekiwnie się nad tą cembrowiną i osunie w oną ciemność głuchą i obojętną.

Wojtek stał i stał nad kołyską, jak drzewo zmartwiało. Patrzył na dzieciaka. Pogodny blask jego oczu wsiąknął wewnątrz źrenicy, jak woda w piasek. Życie w czuciach i w ciele ustało. Potym wzruszyło się coś w głębi, jak w liściach drzewa, gdy nim wiatr potrząchnie: ciche, wątle trącanie i udzielanie wieści tajemnych a przyjaznych, które sobie listki powiadają. Od tego poruszenia ciepło rozeszło się po zatrzymanych czuciach, a na twarz wypłynął uśmiech.

— Chowa sie zdrowo? — zagadnął.

Józia milczała.

Wojtuś zgarbił się nad dzieciakiem i wyciągnął do niego palec na zabawę.

Dzieciak złapał go rączyną.

— Ano! cyj warstat, tego i płótno — powiedział Wojtuś spokojnie a rzetelnie.

Słowa te doszły do Józii, jak głos idącej pomocy, który do uszu górnika, zgubionego w podziemiu, doszedł w chwili przedśmiernej. Na te słowa zakołysała się na ławie, wstała i jak długa runęła do nóg mężowych:

— Nie odganiaj mnie od nogów twoich świętych, mężu! — zaszłochała. — Spodziewałaś się, co mi prec wypędzis, albo i zakatrupis, a tyś mnie ode piekielnego ognia zbawił. O mężu, któremu zabacyła, dla którego ognia krwi nie zadusiłam, nie wiem, jak się zakląć, że ci już wierna bede do śmierci. Byłaś już na marach, a tyś mnie słowem swoim podźwignął z przeklętych. Bedę ci wierna, bedę ci służyła, buty twoje bedę całowała, choćbyś mnie bił, chociażbyś mnie katował, jak mi sie patrzy. Duse mi zratowałeś bez te święte twoje słowo. O Jezu! rozedrze mnie od tego radośnego płakania. O Jezu! spuść na mnie łaskę, cobym Wojtusiowi była słodka, jak miód, i dobra, jak anioł, i miłująca go jako ta jawnogrzywnica.

— A dy Józia! — nie wydziwiaj, kobieto... Po-dnieś sie zara, Józia! — prosił strapiiony małżonek.

ZIEMIA.

DRAMAT W JEDNYM AKCIE.

OSOBY :

JACENTY PALUCHOWSKI, gospodarz.

FELICJA, jego żona.

FRANCISZEK, syn, nauczyciel wiejski.

MARCYSIA, córka.

CHRZAŚNIAKOWA, matka Paluchowskiej.

PANNA KONSTANCJA, naucz. wiejska.

Rzecz dzieje się współcześnie w odległej wsi gubernji Warszawskiej.

(Izba w chałupie Paluchowskich. Na środku stół, stołki. Po lewej stronie mały stoliczek, na którym obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w ramach, przystrojony w sztuczne kwiaty. Za nim łóżko. W głębi pod ścianą wielki piec, pod nim polana drzewa. Wprost widza, po lewej, drzwi prowadzące do drugiej izby, mniejszej, skąd wyjście na zagrodę. W ścianie po prawej stronie drugie drzwi, wiodące na drogę).

SCENA PIERWSZA.

(Szare zimowe popołudnie. Niedziela — Przy stole zastawionym chlebem, wódką, kielbasą siedzą: Paluchowski, Franciszek, Paluchowska. Piją. — Na łóżku przykucnęła ślepa Chrząśniakowa, w jednej dłoni trzyma kij, w drugiej różaniec).

PALUCHOWSKI.

Pijże, Franek! — cóż się tak wydelekacił?

FRANCISZEK.

Dziękuję ojcu, piłem już dość.

PALUCHOWSKI.

(*Ze złością*). Przekabaciłeś się za temi granicami na panica! (*Pije sam*).

PALUCHOWSKA.

Tyle światy, takie ogromne, wielgachne góry! Jaz mi dziwno, żeś sie przebrał bez te skaliska i wody. Przecie to juz ze dwie niedziele, coś ku nam wrócił, a ja ciągiem popatruję na ciebie i rozmyśluję se z podziwieniem: jako ten Franuś wrócił ku nam?

FRANCISZEK.

Co zaś nie miałem trafić, matuś, albo to ja jeden? Dawniej ludzie błędzili, ale dziś naładują cię na pociąg, do którego wlezie luda jak do kościoła, i wiozą tak przez góry i doły, przez czarne tunele i nad rzekami, ani wiesz kędy.

PALUCHOWSKA.

I chto to wi kędy i jak, zeby nie gruchnąć w jakim przykope, abo i do wody?

FRANCISZEK.

Od tego jest maszynista uczony i ten już ta wie, jak jechać, żeby ludzi nie potracić.

CHRZAŚNIAKOWA.

(*Z lękiem*). Tak ci bucy i hucy jak ten buhaj

rozjusony, a z pyska leci mu dym i cyrwony ogień, ni to złemu.

PALUCHOWSKA.

W imię Ojca i Syna! Tobyswa juz i nie uwi-dzieli naszego synka, jeśli to sprawa djabelska, a przecie wrócił zdrowy, Bogu dzięki.

CHRZAŚNIAKOWA.

Oj Felisiu! Zdrowiusienki, ni ten chojacek, a kiej weżrę na niego ślepemi oczami, to mie ściska w podółku i jakieś smoki het wyjom, a łypiom gałami, a pierom ogunami o ziemickę świentom. Tak mi nudno na wnątrzu i cosi mnie dusi, Franuś, wnątku mojes ty najmiłościwszy. Tociem ja cie kolibała zemglałemi rękami. A tera, kiejś doma, to mnie ino prze i przywala ku ziemi. Oj Franuś, mojes ty wnątku!

PALUCHOWSKA.

Rozkwirczeliście sie nad synkiem, ni ten kruk nad ścierwem. Do trumny was ciśnie, to wam wszystko trupem śmierdzi. Wińcie sie lepi za grzychy, ale nad Franusiem nie dzwońcie, bo mu nie na śmierć a do dziewuchy.

CHRZAŚNIAKOWA.

(*Do siebie*). Drapie mnie cosi na wnątrzu jak chrobacek we trupie. Prawda i to, skrusałam juz do cna na śmierć a na ten sąd straszliwy!

PALUCHOWSKA.

To sie modlijcie.

CHRZAŚNIAKOWA.

Modlem sie, córuś, modlem, ino mi wciąż a wciąż kotłuje we łbie i jakiesi zmore buzujom we mnie. Marcysia mi sie przyśniwa, zły kole ni skace, a łan-cuskiem potrzącha, a ząbskami kłapie. Jakasi gadzina miętka, jakasi żmija zieluna ślipiami złemi zapatruje sie na mnie bez sybke. Siadne se, paciorki na tem to rozańcu przesmykują, a tu ci coś sycy, jakby cichcem gadało: Marcyś, Marcyś. Zdrzymne sie krzynkę, jaz ci sie ocknę i cała chałupa chiboce sie u węglów. A w kominie sych-mych, sych-mych, ni to scury. — Cosi złego widzi sie w sumieniu, jakiesi bóle okrutne, a zamachy złego zabirajom sie. O zmiłowanie modlijwa sie wespolek! (*Kłeka i starczym, głuchym głosem zaczyna śpiewać: „Święty Boże“*).

PALUCHOWSKI.

Cichajcie, psiakrew, abo wynośta sie z moi chałupy! Bebechy wywracajom sie w cłowiku od tygo babiego skamlania.

CHRZAŚNIAKOWA.

Nie sierdzicie sie. Ja tak ino od starości....

PALUCHOWSKI.

Trzymam was po dobroci, a jak mi tu będziecie jajceć, dam kopniaka na pochówek i wygonię. Ja tu gospodarz, a nicht jensy, słysyta?

CHRZAŚNIAKOWA.

Toć prawda!

PALUCHOWSKA.

Nicht ci się nie przeciwi, Jacuś. Tyś gospodarz, któżby zaś, ino ty.

PALUCHOWSKI.

Jakiesi słuchy, jakiesi gadziny! — Marcysie zły oblatuje — a juści! Wis, Franuś, bez co Marcysia pognąła do miasta? Ano, bo jom zły obleciał. (*Śmieje się*). Parobas i sie upodobał, golas, wycieruch, bez kapoty na grzbiecie! Dawaj ociec gront, bo mie Antoś Kalwas bez grontu nie chce. Gzić sie chciało Marcysi z Kalwasem, a ty, ociec, dawaj gront na podściółkę. Dam ja ci gront! Cyj je gront! Dam ja wam gront, psia mać, za mojom mordege, za mojom krwawice. Gront je mój, chałupa je moja, wszystko-je moje. Ja tu gospodarz, a nie chto jensy!

CHRZAŚNIAKOWA.

A dy sie juz nie gniwajcie. Po sprawiedliwości wyście tu gospodarz.

PALUCHOWSKI.

Nie pytajom sie was, to se zamknijcie gębe. Tkajom wam strawe pod nos, boście zbutwiała, ale nicht sie was o nic nie dowiaduje. Gady i słuchy! Brzucho was boli i bez to was zło przypira. Marcysia! — A i ty, Franuś, nie nadymaj sie na pana poprzed ojca, bo to grzych i gębe ci stule, rozumis? Gębe ci stule, chociam niepiśmienny, a ty wielgie światy widział.

FRANCISZEK.

Wypędzili mnie w świat, ojczcie. Wiecie o tym, że nie z dobrej woli jechałem.

PALUCHOWSKI.

Boś wydziwiał i pomstował na Pana Boga i na jego rządcicieli. Trza ci było łeb skulić, ogon podwinąć pod siebie i siedzieć cicho, kiej ci żryć dawali.

FRANCISZEK.

Nie mogłem.

PALUCHOWSKI.

A jeździć kulejami mógeś, a pieniądze ojcowe rozpustować mógeś? — co?

FRANCISZEK.

Pieniądze wam oddam, jak tylko otrzymam posadę.

PALUCHOWSKI.

Otrzymasz, czy nie otrzymasz, sto rubli mas mi oddać. Pieniądze mi oddaj, rozumis, bo cie tak spierę jak szceniaka, panicu. Jak mi sie uwidzi, to i ciebie wygnam z chałupy. Idź za Marcysiom tłuc sie po Warsiawie!

FRANCISZEK.

Ojciec!

PALUCHOWSKI.

Co, synku, no co, Franuś! Cy mam zaraz ściągnąć paskę? Psia duso ty!

PALUCHOWSKA.

Jacuś, cyś ty dzisiaj zwaryjował, cyś sie upił?

PALUCHOWSKI.

Upiłem sie, tom sie upił. Zechłam sie jak świnia, przepiję wszystko. Moje to wszystko, a was stąd powygonię, jak mi sie do reszty naprzykrzycie. (*Wstał i idzie ku drzwiom*). Gady bajdy! Coby mi tu było cicho, kiej wrócę. Felka, do obory, bydło oporządzić. (*Wychodzi*).

SCENA DRUGA.

CHRZAŚNIAKOWA, PALUCHOWSKA, FRANCISZEK.

PALUCHOWSKA.

Matus, idźta do ty hań izby. Jacek dziś czegoś zły, nie trza go podbechtować.

CHRZAŚNIAKOWA.

Cięgiem mi sie coś przywiduje. Oj, Franuś, wnećku mój ty namiłościwszy.

FRANCISZEK.

Nie trapie się, babciu, i nie lamentujcie.

CHRZAŚNIAKOWA.

A dy bede cicha, ino podśpiewujem sobie o Panu syćko Mogącemu na niebiesiech.

(*Franciszek i Paluchowska, przeprowadziwszy Chrzęśniakową do drugiej izby, wracają*).

PALUCHOWSKA.

A cóżeś to taki, jak to drewno?

FRANCISZEK.

Matus, smutny jestem i cni mi się bardzo.

PALUCHOWSKA.

Zagrodę ojcowom poniechałeś jako i Marcysia.
Bez to karze was Pan Bóg rozemgleniem w sercu.

FRANCISZEK.

Wiecie, że musiałem...

PALUCHOWSKA.

Prawda, ale gdziesikeś we światach serce za-
podział.

FRANCISZEK.

(*milczy*).

PALUCHOWSKA.

Widziałam na wsi panne Konstancynom.

FRANCISZEK.

Co mówicie?! — dzisiaj?!

PALUCHOWSKA.

Była kole kościoła, po sumie, a z niom chmara
dzieciaków. Dowiadowała się o ciebie. Dziwowała
się, żeś ku niej nie zajrzał.

FRANCISZEK.

I co?

PALUCHOWSKA.

Ano, nie chciałeś do niej, to ona przyńdzie do cie.

FRANCISZEK.

Przyjdzie?

PALUCHOWSKA.

A dy mieliście się k'sobie! Przylepna je panna
i dobra, Franuś.

FRANCISZEK.

Dawne czasy!

PALUCHOWSKA.

Co ci, Franusieńku? Takiś je matyjaśny i za-
sępny, jakby cie ka strzyga ocarowała!

FRANCISZEK.

O matuś, matuś. (*Z łkaniem rzuca się jej do
kolan*).

PALUCHOWSKA.

Do inny przyłgnałeś?

FRANCISZEK.

Do innej, do innej...

PALUCHOWSKA.

To jom weź.

FRANCISZEK.

Nie chce mnie.

PALUCHOWSKA.

Cyś ty chłop, cy co, zebyś sie tak udręcał na śmierć.

FRANCISZEK.

Nie znajdę rady na ten smutek.

PALUCHOWSKA.

Cóżeśto nie chłop, a Konstancyjo to nie dziewczucha, a nawet Warsiawianeczka. Wszyscy jom chwalom i mówiom, jako je dobra nauczycielka. Boki jak te krokwie, a pod bluzkom to niby dwa piece gorące. Weź se jom, zabędzies, ona cie już rozgrzeje.

FRANCISZEK.

Powiadacie?

PALUCHOWSKA.

Toć mi ino zawdy jaz bulgoce w głowie od utropienia, cobyście wy oba mieli dobrze z Marcysiom. Co ta ono dziewczysko plonce sie po ty Warsiawie; ni to jałówka bez pastucha. Hej, dzieciśka wy moje! — No, gadu, gadu, a tu robota ceka. Trza iść do obory. *(Wychodzi)*.

SCENA TRZECIA.

FRANCISZEK, PANNA KONSTANCJA.

FRANCISZEK.

(Oparł głowę na stole, w zadumie. Po chwili ukazuje się w drzwiach z prawej strony panna Konstancja).

KONSTANCJA.

Franek!

FRANCISZEK.

(Nie słyszy. Konstancja podchodzi, kładzie mu rękę na głowie. Franciszek zrywa się).

— Ty!

KONSTANCJA.

— Nieproszona i zapomniana — —

FRANCISZEK.

(Wybucha). Ach, zapomniane wszystko: zagrodę, rodziców, pracę, wszystko to zapomniałem, wszystko to minęło.

KONSTANCJA.

Wszystko?! —

FRANCISZEK.

Nie patrz tak na mnie!

KONSTANCJA.

Chłopaku mój kochany!

FRANCISZEK.

(Z rozpaczą). Kostka! Kostka!

KONSTANCJA.

Wyglądasz, jakby cię zjadała jakaś ukryta choro-
roba?

FRANCISZEK.

Życ się nie chce....

KONSTANCJA.

(*Z wyrzutem*). Franek!

FRANCISZEK.

Ano — tak —

KONSTANCJA.

Kobieta — co? (*Franciszek nie patrzy na nią*).

KONSTANCJA.

Oczywiście. Wam tylko kiecki w głowie!

FRANCISZEK.

(*Milczy*).

KONSTANCJA.

Domyślałam się. Co to za jedna? Możesz mówić do mnie, jak dawniej. Nie jestem zazdrosna. Jakże to się stało? — kiedy? — gdzie?

FRANCISZEK.

W Monachjum....

KONSTANCJA.

Ładna była?

FRANCISZEK.

Śliczna, jak dojrzewające jabłuszko. Taka była cienka i drobna, jak kłós żytni, i buzię miała bledziuchną i słodką. Tęskniłem wtedy do kraju, a głosu jej słuchałem, jak głosu fujarki ode wsi. I była wesoła, jak ptaszek.

KONSTANCJA.

Bogata była panienka — co?

FRANCISZEK.

Nie. Rodzice sprzedali majątek i przenieśli się do miasta. Tęskniła i ona do kraju i do wsi.

KONSTANCJA.

Dla czego cię nie pokochała?

FRANCISZEK.

(*Milczy*).

KONSTANCJA.

Mów, Franek, mnie się nie wstydź. Zawsze cię przecie rozumiałam.

FRANCISZEK.

Wyśmiała mnie.

KONSTANCJA.

Ha! — ha! — ha!

FRANCISZEK.

I ty się ze mnie wyśmiewasz?

KONSTANCJA.

Łydkę pokazała w przejrzystej pończoszcze, ale się nie dała. Odwagi zabrakło panience.

FRANCISZEK.

(*Milczy*).

KONSTANCJA.

Zakpiła panienka z chama. Przez wieki przemycił się cham około dworu, nienawidząc i zazdroszcząc, aż mu pozwolono zajrzeć w liczko gładkie, jak dojrzewające jabłuszko. Cham zajrzał i zginął.

FRANCISZEK.

Kostka!

KONSTANCJA.

Tacyście wy! Kiecki wam ino w głowie.

FRANCISZEK

(Z gniewem). Dosyć, Kostka! Jeżeli masz mnie obrażać, to — —

KONSTANCJA.

To — — co?

FRANCISZEK.

Takaś mi przyjaciółka!

KONSTANCJA.

Takiś ty mi przyjaciel!

FRANCISZEK.

Bardzo cierpię.

KONSTANCJA.

Biedactwo! Czułości potrzebujesz — naści ją! (Obejmuje go). No, lżej dzieciakowi? Już nie cierpi tak okropnie? Panienki mu nie dali i na dodatek za drzwi wyrzucili.

FRANCISZEK.

(Wrywa się). Jeszcze słowo, a palnę sobie w łeb!

KONSTANCJA.

Na to cię już tylko stać!

FRANCISZEK,

Ach! — Kostka! Kostka!

KONSTANCJA.

(Milczy).

FRANCISZEK.

(Sarkastycznie). Panienki mi się zachciało i ja, głupi chłop, pięknym słówkom uwierzyłem.

KONSTANCJA.

(Ironicznie). Chłopa mi się zachciało i ja, panienka, pięknym słowom — uwierzyłam.

FRANCISZEK.

(Patrzy na nią, nie rozumiejąc).

KONSTANCJA.

(Nie patrząc na Franciszka). Twardy był jak kłonica i nieugięty jak lemiesz. Opuściłam dwór, zrzuciłam przejrzyste pończoszki, wzgardziłam pańską pychą i salonowym kłamstwem. Poprzez obrzydłe szeptu pół-zaklęć miłosnych i pół-dziewiczych uśmiechów rwało się serce do głosu fujarki z pod

lasu. W clikwym powietrzu, zatrutym wyziewami perfum, wysychały płuca, spragnione oddechu ziemi. Kochałam swe ciało nagie, bez hałeczek, wstążeczek i pudru. Pragnęłam, by zakwitnęło w słońcu, ni to krasny mak. Chciałam i stałam się prawdziwą. Ukochała mnie ziemia, jak ja ciało swe ukochałam. Lecz prawdy mojej nikt nie poznał. Kłonica spróchniała, a lemiesz zardzewiał.

FRANCISZEK.

(*Milczy*).

KONSTANCJA.

(*Wstaje*).

Chłopa mi się zachciało, ale chłop mnie zawiódł. Lecz ziemia mnie nie zawiodła. Czyż prawda przestała być prawdziwą, że jej nie rozumiano? Piękne i prawdziwe jest ciało moje, jak mak jarzący się we słońcu. I cóż, że mnie zawiódł chłop! Ja nie minęłam! Słońcu i ziemi oddam swe ciało.

O słońce, o ziemia moja ukochana! Przysięgam, że ja ciebie nie zawiodę. Zdrowa jestem i piękna, jako lipa rozkwiecona. Zlatujcie się do mnie pszczołki, chłopięta moje i dziewczuszki, wysysajcie miód. Słońce go w piersiach moich poczęło, słońcu niechaj będzie wroćony. Bierzcie złocistą strawę, chłopięta moje i dziewczuszki, chabry moje i nieśmiertelniki. A gdy piorun zawezwie mnie na modlitwę ostatnią, na całopalenia ofiarę, nie zawiodę i wtedy ziemi mojej. Jako wiecha ognista zapłonę i tak płomienista pójde na wsie i na miasta — po-

żary niecić! Wystrzelą duchy, czynu pragnące, zabijają serca żądzą twórczego, nieustannego czynu w imię Prawdy, Słońca i Ziemi. O słońce, ziemia moja ukochana! (*Odchodzi ku drzwiom*).

(*Z drugiej izby słychać podniesiony, jękliwy śpiew Chrzęśniakowej: „Jezu Chryste, panie miły, Baranku bardzo cierpliwy“*).

KONSTANCJA.

Požary niecić, pożary!

FRANCISZEK.

(*Biegnie za nią, pada jej do nóg*). Czekaj — nie porzucaj! Serceś we mnie ocuciła. Przypominają się czasy, gra fujarka z pod lasu, szum boru. Jakies słowa wieczyste, jakies przysięgi złożone. Stój! nie opuszczaj mnie. Zostań! Ziemia moja, o słońce, słoneczko ukochane! (*Z rozpaczą*). Czy już nie zapóźno?!

KONSTANCJA.

Nigdy nie jest zapóźno!

FRANCISZEK.

Och, Kostka!

KONSTANCJA.

Chłopaku mój kochany!

FRANCISZEK.

(*Z mocą*). Idę z tobą!

KONSTANCJA.

Pójdź ze mną. Podwoją się nasze siły, będziemy niezwycczeni, jako pioruny dwa, jako dwie burze!

FRANCISZEK.

Jako dwoje podpalaczy!

KONSTANCJA.

Pożary będziemy niecić!

(Słychać śpiew Chrzęśniakowej, Franciszek i Konstancja nasłuchują przez chwilę w zadumie, poczym zwracają się oboje i, jakby odpowiadając, wołają):

Pożary, pożary niecić! *(Wychodzą).*

SCENA CZWARTA.

MARCYSIA.

(Gdy Marcysia milknie, słychać głuchy, starczy śpiew Chrzęśniakowej).

MARCYSIA.

(Wsuwa się lekliwie, rozgląda, jak złodziejka. Rzuca się na kolana przed obrazem Matki Boskiej).

Módl się za nami! — Ulituj się nade mnie, którym jest strasna grzyśnica.

O zeby ją — te Warsiawe!! Ilem sie nachorowała, ilem sie nacierpiała sercem w onej Warsiawie. Tak sie zapiekło, stwardniało na grudę serce, żem na panieństwo moje nie pomniała, żem o Najświętszej Królowej na niebiesiech zabacyła. A niechta, a niechta — myślałam se. Matuś ty kwietna i prze-

cysta Panno — wysłuchaj! *(Placze — po chwili:)*
O zeby ją, te Warsiawe, siarcyste ognie spaliły! —
O zeby jego, tego łotra, piekło ze swych wadołów wyrzuciło! Tak ci skakał kole mnie ten Warsiawiecek plugawy, a fondował, a obiecował sie zenić, com mu sie przychyliła, a on mie wzion. Jendrusiam nie widziała, ani okrutnej hańby — i przychyliłam sie temu zbójowi brzydkiemu. O zeby go, tego plugawca bezboznego! Kie sie w sobie z panny odmieniłam w niewiaste, to sie ani nie pokazował. Zatracił sie jak pies w boru. Cóżem miała robić, Matko Najświętsza. Siepałam sie w sobie i targałam, ni ten pies na łańcuchu — ale takiemu to nieszczęściu nie uredzisz. Ażeś mi się weszła nade mną, ni ta Gwiazda Zaranna, pocieszycielko nasza. I jakom łońskiego roku z chałupy ojcowej przeklinająca i niby wściekła pognała, takem prachnęła służbę, prachnęłam prec Warsiawe miasto i tum jest o przebacenie prosząca. Ulituj sie i nie karz mnie i dzieciątka, co je w żywocie mojem, nie pokaraj. Jam ci tylko winna, bociem mu sie przecie przychyliła, temu łotrowi, jaciem grzysna, ja to jestem latawiec i sobaka podła — a to dzieciątko je, które nic nie wi. Zmiłuj sie, ulituj, pociesz!

SCENA PIĄTA.

MARCYSIA, PALUCHOWSKA.

(Marcysia wstaje i wtacza się na stółek u stołu. Chlipie cicho, osusza oczy włosami. Drzwiami z drugiej izby wchodzi Paluchowska).

PALUCHOWSKA.

Cy mi sie zwidziało — rany boskie! — cy co?

MARCYSIA.

(*Nie wstając, w milczeniu spogląda na matkę z pod chuściny*).

PALUCHOWSKA.

Marcyś!

MARCYSIA.

(*Placze*).

PALUCHOWSKA.

(*Podchodzi do niej*). Bój sie Boga, Marcyś, có-recko moja, a dy skądeś ty? (*Porywa ją w objęcia i tuli*). Cóżes to taka rozbecana? Co ci, Marcyś? Ano popłac se, kiej cie tak musi, to ci zelzy. I — no i cego! Przecie, ze cie juz nie wypędzom, ino ojca grzecnie uproś. O lo Boga! nawędrowało sie dziwcysko, to jom i wzienio. No, pobec se, pobec. Ojca ino grzecnie uproś. Przecie ci wybacy, choć je chłop twardy. Ale ci wybacy, boś nie zadny bękart, ale jego córka.

MARCYSIA.

(*wybucha szlochem*).

PALUCHOWSKA.

Cego wyjes jako wilk. Dobrze ci tu bedzie, ci-cho, podpasies sie, to i przeńdzie udręcenie, jako

ten wiatery; potrzepie drzewami, ponałomi gałązków, ale przeńdzie i polecie w stronę. Nie wyje tak, bo sie jesce pieski rozklekocom.

MARCYSIA.

(*Podnosi się i wygraża rękami*).

O zeby tom Warsiawe miasto!

PALUCHOWSKA.

(*Spostrzegła, że Marcysia jest w ciąży*).

A cóżes ty taka tłusta w żywocie swoim — Marcyś? Toś ty jest w stanie pobłogosławionem! A dzie twój chłop?

MARCYSIA.

(*Przestała płakać. Milczy*).

PALUCHOWSKA.

Gadajze, dziewczyno, córucho, gadajze, dzie twój chłop? Cóżes taka niemowna? Gadajze, kto cie miał i ka twój mąż?

MARCYSIA.

(*Milczy*).

PALUCHOWSKA.

Na rany Pana Chrystusowe, dzie twój małzonek, Marcyś!

MARCYSIA.

(*Sucho*). Flańta sie gdziesi po Warsiawie.

PALUCHOWSKA.

Jako mówis? — po Warsiawie? — Ale przecie je, przecie tu przyńdzie, pokłoni sie ojcom zoni-nem, chocia bez ich to wiadomości córke wzion.

MARCYSIA.

Ja mu nie zona!

PALUCHOWSKA.

A cóżeś ty mu, Marcys? Sukaś mu, Marcys, co sie pod gumnem ze psem parzy? O Jezusie! Córecka moja i na takom posłaś ladaco! — Wy-noś mi sie, zara mi sie wynoś, od kanyś przyle-ciała. Po toś przysła, coby ludzie na mnie sobie gęby ucierali!

MARCYSIA.

Nie gońcie, matuś! Póde chyba do chliwa i tam zlegne. Zmiłujcie sie, takam umęcona, ze ani nogów nie czuję. Cztery mile gnałam, a od wcoraj nie miałam w gębie skibecki chleba.

PALUCHOWSKA.

Tak ci sie patrzy! Wynoś mi sie, cobym cie kijem nie popędziła.

MARCYSIA.

Ha no, to póde! (*Wstaje zgarbiona i wlecze się ku drzwiom. Paluchowska spogląda za nią i gdy Marcysia stanęła już przy drzwiach, wychodzących na drogę, biegnie za nią i chwyta ją wpół.*)

PALUCHOWSKA.

Pockaj! Takaś łomliwa, ni to klósco pod żniwo. Chodźze! (*Marcysia w pierwszej chwili opiera się, lecz wnet ulega.*)

PALUCHOWSKA.

(*Pyta szeptem:*) Prędko będzie? — Toć cie nie pusce w takim to stanie na poniewierkę abo i na cystom śmierć. Pan Bóg-by mie pokarał. Przeciem ja kobieta. Siadnij se, o tak! Cekaj. (*Głaszcze ją po twarzy.*) Wymizerowane to jak żydowska śkapa. Doliga ci co? Prędko będzie?

MARCYSIA.

(*Cicho.*) Moze dziś na noc, abo na jutro.

PALUCHOWSKA.

(*Tuli ją.*) Ino cichaj! Zara przyniesę ci mlicka. Nie jadłaś to? — bez cały dzień! o Jezusicku słodki! — i to w stanie pobłogosławionem! — Odpocnij se, córko, i cichaj. (*Idzie do drugiej izby i wraca z półkwarcem mleka i chlebem.*)

Mas, jidz. *Pomaga jej, łamie chleb i podaje kawalczkami.* Nie lizie ci w gardło? Ino cichaj. Trza być spokojnom, jako zboze święte pod wiecór. No, jidz. Jesce.

MARCYSIA.

Pan Jezus wam zapłaci.

PALUCHOWSKA.

Kobieta jestem a i matka twoja, a nie macocha. Nosilaś cie w łonie dziewięć miesiącków, dwa

roki karmiłam. Jidz. Jidz. Tera ino trza tak wykręcić, coby sie ociec nie zwiedział, bo je jakisi zły. A i Franuś przyjechał, wis to?

MARCYSIA.

Franuś?

PALUCHOWSKA.

A jakże! Przyjechał kulejami z dalekich krajów. On to moze wiedzieć, ino ociec, to nie. Pockaj, bardzoż zesłabła?

MARCYSIA.

Juz mi lepi.

PALUCHOWSKA.

Jidz se, a popijaj mlickiem. (*Rozgląda się i zastanawia*). Podobno ze tu była panna Konstancja, tak mi ino śmignęła poprzec ocy z Franusiem. Ona je panna i Warsiawianecka, ale dobra jak jaka święta. Wis co, Marcys? Pójdziewa do obory. Ociec tam nie przyńdzie juz, a i ciepło ci bedzie od bydłatków. Tam ci uścielę i legnies se, a ja polece na wieś za pannom Konstancjom. Moze ich ka zdybie z Franusiem, to ona juz poredzi dzie i jak, abo cie i weźnie do siebie. Ona je dobra naucycielka. Po rodach, to juz my ta jakoś uładzim. Nie zemrzes głodem z dzieciątkiem, nie bój sie!

MARCYSIA.

(*Całuje ją w rękę*). Dobrzy jesteśta, matuś.

PALUCHOWSKA.

Ino przed ojcem sie chowaj. Puści go wścieklizna a i ja to go ucisę, chociam stara i cycki mie obwisły. Zawszeć jesce baba, a on je chłop, chocia juz tyz niemłody. To cie i do chałupy weźnie. Jidzze. Okrzepląs to?

MARCYSIA.

Mocnij mi w nogach.

PALUCHOWSKA.

Pójdziem. (*Otula Marcysię dużą swoją chustką, ogarnia i prowadzi*).

PALUCHOWSKA.

(*Szeptem*). Rucha się?

MARCYSIA.

Rucha.

SCENA SZÓSTA.

PALUCHOWSKI, PALUCHOWSKA, MARCYSIA — *później wchodzi* FRANCISZEK, KONSTANCJA, CHRZAŚNIAKOWA.

(*Paluchowski wchodzi przez drugą izbę. Ogień w piecu żarzy się słabo. Mrok. Marcysia przerażona łapie się matki*).

PALUCHOWSKI.

Z kimze to tańcys, Felka?

PALUCHOWSKA.

(*Przymusza się do uśmiechu*). Takiego ci mam kawalira w spódnicy.

MARCYSIA.

(*Pada do nóg Paluchowskiego i obejmuje go za kolana*).

PALUCHOWSKI.

Chtoś jest? Cego chces?

MARCYSIA.

Nie poznajecie?

PALUCHOWSKI.

Puść mie!

MARCYSIA.

Przebaczcie, ociec!

PALUCHOWSKI.

Przebacować — a juści! Pocoś sie tu przywlekła?

PALUCHOWSKA.

Marcysia je chora, Jacuś. Kateś to, cy jak?

PALUCHOWSKI.

(*Kopnął Marcysię. Idzie do stołu, stawia butelkę z wódką*). Chora je? A to niech zdycha, kie je chora. Chciało i sie Warsiawy, ma Warsiawe, chciało i sie Kalwasa, ma Kalwasa. A mie co do tygo, że je chora. Uciekła z domu. Cym ją wyganiał, abo co?

PALUCHOWSKA.

Toć sie winuje tera sama.

PALUCHOWSKI.

Kiełbasa nieboscykowi. Trza mie było słuchać przódzi! Poco, jucha, uciekała? Nie miała to co żryć abo na przyodziewek? Jesce, Bogu dziękować, gospodarz jestem i nicht nie potrzebuje z chałupy iść sukać cudzygo chleba abo do Hameryki.

PALUCHOWSKA.

Sielny jesteś gospodarz, kuźdy ci to przyświadczy.

PALUCHOWSKI.

A sielny, cobyś wiedziała. Chto, inacyj powi, temu kulasy poprzetroncam, jak amen w pacirzu. Pirsy jestem gospodarz we wsi, a moja córka posła cudze kąty wycierać. Chora je! — Ja ci chorobe nawiód? Pan Bóg cie skarał za mojom hańbe, ze mie tera kuźdy parobas za plecami prześmiwa. Zdzielę ja, zdzielę chtórego, żeby mi tyło w ślipia co rzyk. Ale sie bojom. (*Poprawia ogień w piecu, dorzuca drewek. Izba się rozświecila. Wraca do stołu. Spojrzał na Marcysię — i stanął. Patrzy. Zaniósł się strasznym śmiechem*).

Tera juz wim, coś ty, Marcyś, chora! Jaz ci brzuchoz rozsadziło od tylej choroby. Ha! Ha! Wielgom pensyje, musi, płacił ci twój gospodarz w Warsiawie, kiejeś tak harowała, ze cie jaze takie choróbsko nasło. Siła cie dochtorów opatrowało, Marcyś? Pono w ty Warsiawie tyła dochtorów, co zadnej dziewuchy pannom nie wypuscom. Musi

prawda. I to jesce płacom za to opatrowanie złotych, abo i półtory — jak chtóry. Moze sobie panna zaoszczędzić na pieluchy.

MARCYSIA.

(*Cicho*). Straśnie bardzo nacierpiałam sie. Przebaczenie, ociec!

PALUCHOWSKI.

Przebacować! Komu mam przebacować!?

Mojaś ty córka, cy kurwa?

(*Wchodzi Franciszek i Konstancja i zatrzymują się przy progu. Paluchowska płacze i łamie ręce*).

MARCYSIA.

(*Podnosi się*). Takom jest, powiadacie? No tom jest, jakeście rzekli. Matki Boskiej już prosiłam o rozgrzyszenie. Jestem taka? A przez co jestem taka, nie wicie to?

PALUCHOWSKI.

A wim. Suka zawdy je suka.

MARCYSIA.

A grontu toście mi dać nie chcieli?

PALUCHOWSKI.

Tobie grontu? A poco tobie grontu, Marcyś?

MARCYSIA.

Miałam chłopca, co mie chciał. Miłowałam ci go pocziwie i jak sie patrzy na gospodarskom córke.

PALUCHOWSKI.

Kalwasa?

MARCYSIA.

Nijakiego inszego, ino Kalwasa! Jendrusia miłowałam i prosiłam was: ociec, dajcie gront, to mie weźmie za żonę w kościele, przy księdzu, przy ludziach. Sumiennie wam mówię, jako było. Świata nie widziałam za Jendrusiem. Ale wyście nie dali grontu, aniście błogosławieństwa nie dali. Przez to uciekłam do Warsiawy. I winiłam sie rzecznie przed Marją Panną i grzyszna jestem. Ale i wy jesteście winni i macie grzech przed Panem Bogiem!

PALUCHOWSKI.

Cóż ty mie bedziesz ucyć jak ksiądz? Spowiadać mie zamiarujes?

MARCYSIA.

Spowiadać was nie bede, bom ani ksiądz, a grzysznica, ale to wam powim, że za hańbę mojom wyśta przed Panem Bogiem winni!

PALUCHOWSKI.

Jakoz to, psiakrew, Marcyś? Powidzze, suko, jako, bom ja stary i musi juz do cna ogłupiałem. To mie nauc. W mieście dochtory nauczyły cie rychtyk, jako trza.

MARCYSIA.

A to, zeście mie pokrzywdzili. Jakem od was uciekła, zakrzepło sie we mnie serce od tego ser-

decnego bolenia przez Jendrusia i stwardziałam jak to ziarko w gumnie. Robiłam bom robiła, ale cierpienie moje mnie odmieniło. Jakby mie djabeł opętał. Rozmyślałam se: a niechta przyjdzie światu na koniec — co mi ta! Serceście we mnie przeinacili, choć wy mój ociec. To wam sumiennie mówię i Panienska Najświętsza wi to, com jej wypowiedziała. A teraz to mi już wszystko insze. I wy i ta chałupa i matuś. Tera już wicie?

PALUCHOWSKI.

(*Uroczyście*). To wim, Marcys, cobyś ostawiła ten dom mój, chćóry je mój, jakom ja tu gospodarz, i coby cie już ocy moje nigdy nie widziały. Wy-ność mi sie zara i coby cie już ocy moje nie widziały!

MARCYSIA.

(*Robi krok i odwraca się ku ojcu*). Ano idę. To wam ino jesce powim, że was Pan Bóg za moją krzywdę pokarał. Nie chcieliście mi dać grontu, serceście we mnie pomarnowali, za to was Pan Jezus pokarał pijaństwem. Pijak jesteście! — na dziady pójdzieta z torbami! nawet wam taki służby nie dadzom, co Jendrusiowi!

PALUCHOWSKI.

A ty ścirko sobaca!

(*Porwał siekierę, stojącą pod piecem i ciął Marcysię w głowę. Z ust Franciszka i Paluchowskiej wydiera się krzyk. Paluchowski patrzy w osłupieniu. Konstancja biegnie ku Marcysi, unosi jej głowę,*

lecz widząc, że tu już niema ratunku, łagodnie składa ją z powrotem na podłogę. Staje na boku, rozplómonionym okiem wpatrując się w sprawę.

PALUCHOWSKA.

(*Jęcząc*). Marcys! Marcys! (*Do męża*). Zbóju ty! straszny zbóju!

(*Z drugiej izby wchodzi, opierając się na kiju, Chrząśniakowa*).

CHRZAŚNIAKOWA.

(*Z przerażeniem*). Ślipia wywała zielune i zakronca ogunem. A pódzies! — w imie Ojca i Syna! (*Czyni znak krzyża w powietrzu*). A pódzies, gadzie piekielny! (*Postępuje krok i, zawadziwszy o ciało Marcysi, upada na nią*). Boze syćko Mogący! Cóż to?! — nieboscyk jakiś, krew jesce pluska gorunca! Miętka żmija obwija mi sie kole nogów. Ratujcie! (*Śpiewa*). „Od nagłej a niespodziewanej śmierci“... Chto to je? (*Obmacuje*). Marcysia! — kole ni miętka żmija. Uzarła me w syrcę! Ratujcie! Jezu Marja! (*Umiera*).

PALUCHOWSKI.

(*Chwyta się za głowę*). Jezu Marja!
(*Zrywa z siebie pasek i robi pętlę*).

KONSTANCJA.

(*Biegnie do niego i próbuje mu wyrwać pasek*). Franek — nie pozwól! — odbierz! (*Odbierają mu pasek*).

PALUCHOWSKI.

Trza umierać!

KONSTANCJA.

(*Rozkazująco*). Trzeba żyć! Trzeba grzech wziąć na sumienie i dźwigać. W imię Chrystusa Pana nakazuję wam żyć. Opuśćcie chałupę, grunt, ziemię! Pójdziecie w obcy świat, śmiertelny grzech dźwigając, aż Bóg wam przebaczy. Zatli się w on czas w sercu waszym boża światłość i z czarnej skiby ogniem ducha zabłyśnie. Ale teraz wędrujcie w świat nie znający spokoju, gryziony przez wyrzuty. Niechaj widmo niewinnej Marcysi trapi was dniami i nocami. Obyście nie spoczywali nigdy snem spokojnym. Idźcie przekłęci przez Boga i przez ludzi przekłęci. (*Zwraca się do Paluchowskiej*). Wstańcie, matuś! Nie czas na lamenty. Wstańcie.

PALUCHOWSKA.

O panno Konstancyjo! Rodzicielkę mi zabrali i córkę jednej godziny. (*Do męża*). Straśny zbroju! Cobyś ukoju nie naseł nika, nika cichego sumienia.

PALUCHOWSKI.

Jakże? Z takim klontwom żyć?!

KONSTANCJA.

Prędeż, matuś! Chałupę trzeba spalić!

PALUCHOWSKA.

Co gadacie?!

KONSTANCJA.

Strażniki przyjdą, skoro się dowiedzą o zbrodni. Chałupa musi zgorzeć z trupami, żeby ani znaku zbrodni nie zostało.

PALUCHOWSKA.

Spalić zagrodę?

FRANCISZEK.

(*Podnosi matkę*). Pójdźcie, oprzyjcie się na mnie. Musi tak być, jak mówi panna Konstancja. (*Wyprowadza matkę*).

KONSTANCJA.

(*Chwyta głównie z pieca i rozrzuca po izbie*). Pożar ogarnie chałupę i zbrodnię wyżre. (*Rozrzucając*). I tu jeszcze, i tu, i tam. (*Podnosząc głos*). Już się pali!

PALUCHOWSKI.

(*Obląkanym wzrokiem spogląda to na trupy, to na Konstancję*).

KONSTANCJA.

Wasze to dzieło!

PALUCHOWSKI.

(*Twardo*) Ja tu z niemi ostanę.

KONSTANCJA.

(*Wskazując ręką na pole*). W imię Chrystusa
Pana idźcie, przez Boga i przez ludzi przeklęci!

PALUCHOWSKI.

(*Z przerażeniem*). Chto jesteśta?

KONSTANCJA.

Precz we światy!

(*Paluchowski gnę się pod ciężarem jej spojrzenia, garbi się i wykrada z izby*).

(*Pożar ogarnia chałupę*).

SPIS RZECZY.

	Str.
Pożegnanie	1
Noc karnawałowa	9
W barce	23
Godzina Mochnackiego	35
Chłopcy	61
Nauczycielka	89
Karolka	117
Żołnierka	129
Ziemia (dramat w 1 akcie)	157

ZWIĄZEK EMERYTÓW
ANSTHONICH, BANGLANDON YET
INSTITUTION PRIMA PUBLICHAGE
W KROMERIE

ZYGMUNT KISIELEWSKI.

WĘDROWIEC.

Warszawa, 1912 r. Cena 3 kor.

Głosy Prasy.

„Poważnie, głęboko patrzy na życie Zygmunt Kisielewski. Jego nowele posiadają cechy znamienne dramatów: bujność i żywiołowość. Są one w odczuwaniu duszy ludzkiej i wszelkiego innego piękna siłą i treścią talentu Kisielewskiego... Jakże głęboko odczuwa Kisielewski duszę w pięknie i grzechu, w marzeniu i bólu. Jest wiele pesymizmu i melancholji w tym, co mówi, czasem bezmiar żalu, ale też wyrwywa się Kisielewskiemu okrzyk gorący i szczery... (Nowela) „Feliks Zwardoń“ jest to charakterystyczna dla duszy polskiej opowieść o ludziach, co cierpią na brak celu i ideału, a w bezustannej analizie, w ciągłym rozdwojeniu trwonią najszlachetniejsze i najcenniejsze dary ducha“... („Świat“).

„Występujący z tomem opowiadań p. Zygmunt Kisielewski jest przedewszystkim poetą. Jemu fakt nie wystarczy; kapie go w uczuciowości rozgrzanej, patetycznej, oświeśla ogniem idei i ideału, rzuca na tło malownicze, dalekie od banalności powszedniego życia... Głębiej wypowiada się w „Wędrowcu“... Tytuł symboliczny radby i z treści uczynić symbol. Jakoż jest ona nim poniekąd. Przeciwstawione sobie dwa światy: włoski i polski... Kartki kapitalne znajdują się też w innych pomieszczonych w tym zbiorze utworach. Autor jest naturą sensytywną, liryczną, bogatą; wczuwa się w życie głęboko, maluje swe przeżycia barwami gorącymi i soczystymi. Ma na palcu słońce i śnieg, ma w umyśle skojarzenia rozległe, niespodziane, świadczące o kulturze niezwykłej“... („Krytyka“).

„Utwory Kisielewskiego są zajmujące, dzięki temu rzadkiemu darowi, jakim jest umiejętność budowania dzieł fantazji... Bezpretensjonalne opowiadanie p. t. „Król Befany“ przedstawia bezwzględnie najwyższą wartość zarówno pod względem głębi, jak i formy... Zdaje się, że w nim głównie mieszczą się zadatki na przyszłe utwory Zygmunta Kisielewskiego. A utworów przyszłych czekać będą ci, którzy „Wędrowca“ przeczytają“... („Nowa Gazeta“).

„Ferment, odbywający się w duszy autora, musuje, jak młode wino w rznętej szklancy na stole włoskiej tawerny

w słoneczne południe: rzeźwiąco ostrą ma woń i raz wraz
błysnie szczerym złotem... Beletryście naszej przybywa
niezaprzeczony talent... Tężyzna i śmiała postawa młodego
autora nie ma w sobie... arogancji... młodzieńczości; entu-
zjazm... posiada tony głębokie i już szczerze męskie... tem-
perament — trzymany na wodzy przez widoczną kulturę
umysłową i takt artystyczny... Zamknawszy książkę, czytel-
nik wynosi wrażenie niezamącone: to pisał młody Polak —
Europejczyk, więc jeden z tych, których nam najbardziej
potrzeba... Najlepszy w książce utwór, krótką nowelę:
„W parku“... może napisałby Anatol France, gdyby miał
duszę Maupassanta. Cieszymy się, że napisał tę nowelę...
Zygmunt Kisielewski... Do książki (tej) powraca się z rze-
telną przyjemnością“... („Kurjer Warszawski“).

**WYJĄTEK Z KATALOGU
SPÓŁKI NAKŁADOWEJ „KSIĄŻKA“
W KRAKOWIE**

LITERATURA PIĘKNA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

CHOYNOWSKI PIOTR.

HISTORJA NAIWNA.

Nowele.

Cena 4 korony (1 rb. 60 kop.).

„Choynowski śmiałym i pewnym krokiem wszedł do literatury. Tak wchodzi tylko zdecydowane talenty... Urodził się na pisarza... Stoi też dzisiaj w szeregu „najmłodszych“, jako jeden z wybitniejszych... Rzecz znamienita. Ten naturalista, który przywykł stać oko w oko z życiem i nie cofać się przed żadną jego brutalnością, ma miękkie, współczujące serce romantyka i tkliwym uczuciem ogarnia wszystkich, którzy w ten lub inny sposób cierpią... Kocha człowieka wogóle... Potrafi przecież — i nieraz — roześńać się szczerze i prosto... Charakterystyczna strona jego talentu... człowieka chwytą... w grubych dosadnych rysach... jest to karykatura nad wyraz pogodna, bez cienia złośliwości, świadcząca tylko o wrodzonym autorowi poczuciu humoru. Humor ten towarzyszy mu zwłaszcza wówczas, gdy jest wśród młodych. Sam młody, śmieje się chętnie... A dobrze mu — do twarzy z tym śmiechem. Najwyraźniej jest wtedy w swoim żywiole... Drugim jego żywiołem jest przyroda. Tę zna i odczuwa doskonale... Trzeci wreszcie atut w ręku Choynowskiego — to język... żywy, piękny, barwny język, dociągnięty wszędzie do tej miary artystycznej, jakiej wymaga utwór sztuki“. (Z. Dębicki, w „Kurjerze Warszawskim“ 1913 r.).

„Wysoką kulturę artystyczną... przyznać trzeba bez wahania... Choynowskiemu... Ludzie, oglądani przez ostre szkło... to jego postacie. Wydobyte na pełną jasność uczucia, w których nie pozostaje nic nieświadomionego... to jakby mroźem ścięte kryształy, przezroczyste aż do dna, o drobnych, subtelnych, niezwykle ostro zarysowujących się konturach“. („Krytyka“, Nr. 5, 1913 r.).

„Ze wszystkich nowych talentów, jakie się ukazały w literaturze w ostatnich trzech, czterech latach... Choynowski wystąpił najmniej chwiejnie i z największym może temperamentem“. („Czas“, Nr. 224, 1913 r.).

„W osobną rubrykę analizy zapisać należy naczelną

w tomie utwór: „Sumienie“... Postać starego szlachcica modelowana z całym umiłowaniem, plastyczna, wielowymiarowa; nurt zasadniczy uczuć płynie po mocno wyżłobionym dnie — a wszystko pędzone tą ostrością temperamentu, który p. Choynowskiego, jako autora, może zawsze zapewnić o zainteresowaniu się szczerym czytelników, o ich skupionej uwadze, o współżyciu czytelnika z postaciami noweli“. („*Dziennik Poznański*“, Nr. 123, 1913 r.)

„W postawieniu konfliktu, w akcji, w opisach pełnych życia, spotykamy znów świeży talent Choynowskiego... Nowela p. t. „Sumienie“ świadczy wymownie, że Choynowski zdolny jest głęboko patrzeć i dokładnie widzieć w duszach ludzkich“. („*Naprzód*“, Nr. 101, 1913 r.)

„W tych nowelach uderzyło mnie przedewszystkiem to, co uderza w nowelach znakomitego nowelisty amerykańskiego, Bret-Harte'a: wiara w dobroć natury ludzkiej... Każda nowela (Choynowskiego) dźwięczy wiarą w szlachetność człowieczej duszy... Pozatym w p. Choynowskim zapowiada się pierwszorzędny stylista“. („*Kurjer Poranny*“, Nr. 115, 1913 r.)

„P. Choynowski kocha ludzi. W najmniejszych, najskromniejszych prostaczkach umie znaleźć najgłębszą strunę życia, sens i wartość ich istnienia... Należy do rzędu tych, co nie potrzebują wzlatać w niebiosy, by zobaczyć wieczyste, nieśmiertelne piękno. Dla niego żyje ono i aż bije w oczy wszędzie, dookoła... A nie można powiedzieć, aby upiększał, idealizował. Sentyment jego skryty jest pod kapitalną, nieraz jowialną maską doskonałego obserwatora... Trafnie, zwięźle... maluje... postacie... dosadnie podkreślając ich cechy najbardziej wybitne... tak, że od pierwszego prawie momentu wiemy już kogo mamy przed sobą. Rozumie się przytym sama przez się — pewna doza komizmu. Doskonale!“ („*Gazeta Wieczorna*“, Nr. 1201, 1913 r.)

„Szczery, jasny odbłysek humoru, rozjaśniający tło szarego, codziennego życia, pochwycił autor z prawdziwym talentem, przypominającym świetne pióro Bolesława Prusa... W „Historji Naiwnej“ porusza autor temat ciekawy... O uwiedzeniu kobiety istnieją całe biblioteki w literaturze, ale uwiedzenie mężczyzny jest niejako nowością, a to właśnie opisuje nam swoim barwnym piórem p. Choynowski“. („*Gazeta Poniędzialkowa*“, Nr. 12, 1913 r.)

„Talent młodego autora dotrzymał tego, co nam w wydanym rok temu zbiorze, zatytułowanym „Zdarzenie“, obiecywał“. („*Gazeta Toruńska*“, kwiecień, 1913 r.)

(Vide także recenzje: „*Słowo Polskie*“, Nr. 246, 1913 r.; „*Dziennik Cieszyński*“, Nr. 90, 1913 r.; „*Nowa Gazeta*“, Nr. 147, 1913 r. i t. d.)

CHOYNOWSKI PIOTR.

ZDARZENIE.

Nowele.

Cena 3 kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Rzadką ma sposobność krytyka literacka notować podobne debiuty, jak właśnie Choynowskiego. Mamy do czytania z zupełnie skończonym wyrazem artyzmu, z indywidualnością nawskróś oryginalną, która rozwijać się może i rozkwitać, lecz która ton swój właściwy, swój własny, wyraźnie manifestuje... Wiele na przyszłość rokującą, i to najpiękniejsze nadzieje, cechą talentu Choynowskiego jest, żeby się tak wyrazić, jego męskość... W osobie Choynowskiego przybywa literaturze naszej artysta na miarę nie przeciętną; cześć jego zbożna dla sztuki, bezwzględna surowość wobec własnych twórców i daleko idące wymagania dać mogą i napewno dadzą literaturze niejedną rzecz wartości wysokiej i trwałej“. („*Świat*“, Nr. 2, 1912 r.)

„P. Choynowski jest autorem jeszcze nieznanym. A jednak powinien się stać znanym, gdyż jego „Zdarzenie“ jest naprawdę wydarzeniem literackim. Rzadko się spotyka młodego autora, by fizjognomję swoją tak dokładnie uwypatnił, by wypowiedział całą piersią swoje twórcze „chcę“. Już z czysto zewnętrznej strony rzecz biorąc, przy rozważaniu zasobów językowych i stylistycznych, musimy w nim podkreślić władztwo nad formą i temperament pisarski o zdecydowanym zupełnie kształcie“. („*Literatura i sztuka*“, dodatek do „*Nowej Gazety*“, Nr. 7, 1912 r.)

(Vide także recenzje: „*Gazeta Wieczorna*“, Nr. 360, 1911 r.; „*Przedświt*“, Nr. 11, 1911 r.; „*Kultura polska*“, Nr. 2, 1912 r.; „*Gazeta Poniędzialkowa*“, Nr. 52, 1911 r.; „*Głos Warszawski*“, Nr. 119, 1912 r.; „*Izraelita*“, Nr. 13, 1912 r.; „*Życie*“, Nr. 47, 1911 r.; „*Prawda*“, Nr. 5, 1912 r.; „*Słowo*“, Nr. 41, 1912 r.; „*Czas*“, Nr. 303, 1912 r.; „*Krytyka*“, Nr. 3, 1912 r.; „*Museion*“, Nr. 1, 1912 r.)

DANIŁOWSKI GUSTAW.

JASKÓŁKA.

Powieść w 2 tomach, wydanie 2-gie. Cena 5 kor. 50 hal.
(2 ruble 20 kop.).

„Przecudną jest idylla miłości Orskiego z Halszką Orwidówną... Nie potrzebuję przypominać cudownych opisów

przyrody w „Jaskółce”. (*Na marginesach Daniłowskiego „Jaskółki”*, Tadeusz Dąbrowski w „Krytyce”, NNr. 1 i 2, 1908 r.).

„Jedna to z najszerzych koncepcji życia współczesnego, jakie literatura posiada; nietylko tragedję polską przedstawia, ale załamanie się obrazu całej kultury obecnej w duszy istotnie wolnej”. („Krytyka”, Nr. 3, 1909 r.).

„...Skarbnicą, próbą najwyższej koncentracji wzlotów bojującego ducha, jego wzruszeń i pragnień, pokus i zagadnień, największego napięcia utajonych mocy, z rzeczywistością niezłączonych, nazwałbym Daniłowskiego „Jaskółkę”. („Przedświt”, Nr. 5, 1908 r.).

DANIŁOWSKI GUSTAW.

W MIŁOŚCI I BOJU.

Nowele.

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Zalety talentu Daniłowskiego występują w tych nowelach na pierwszy plan, wad żadnych nie znać, filozoficzne rozumowania nie zaciemniają fabuły. Psychologia osób wy-czytelowana jest mistrzowsko i trafnie... Tom cały (zaopatrzony w niezwykle piękną winiętę rysunku Jana Rembowski) stoi pod względem artystycznym może jeszcze wyżej, niż dotychczasowe utwory Daniłowskiego”. (*Głos Narodu*”, Nr. 341, 1910 r.).

„Druga (nowela) z rzędu, „Palcocik”, najlepsza w całym zbiorze, to zamknięte arcydzieło bólu i nędzy emigracyjnej, cicha i prosta tragedia, tym rzewniej wstrząsająca, że zawiera w sobie osobny dramat”. („Słowo Polskie”, Nr. 49, 1911 r.).

„W miłości i boju” to jedna z najcenniejszych książek, jakie się u nas pojawiły, i dla tego przeczytać ją należy”. („Gazeta wieczorna”, Nr. 101, 1911 r.).

„Zbiorek nowel „W miłości i boju” jest dziełem pisarza pewnego siebie, pisarza o wyobraźni bujnej, posłusznej, nie sprawiającej niespodzianek ani „in minus”, ani „in plus”... („Nowa Reforma”, Nr. 183, 1911 r.).

„... (Daniłowski) przedstawia cały szereg typów ofiarnych bojowników za wolność i szczęście powszechne dla wszystkich. A że jest przytym artystą nielada, nie poprzestaje na sensacji konspiracyjno-więziennej, ale kreśli nieraz karty, owiane przedziwnym urokiem prawdziwej poezji”. („Tygodnik Ilustrowany”, Nr. 25, 1911 r.).

„Jest tu nowela: „Za ścianą”, w której ów pierwiastek rzewności, charakteryzujący talent Daniłowskiego, zakwitł tak

cudną lilją liryzmu na podłożu głęboko przemyślanych i artystycznie ujętych duchowych powikłań, że nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia jej tu pokrótce... Nie pamiętam dawno beletrystycznego utworu, któryby na mnie uczynił tak silne wrażenie, jak ta nowela. Oryginalność pomysłu, poczerpnięta u czystego źródła psychologicznych zagadnień, przyobłąła się tu w kształt wysoce artystyczny, zwłaszcza w pierwszej części, którą czyta się wprost jak poemat prozą”... („Słowo”, Nr. 199, 1911 r.).

„...Na właściwym sobie gruncie Daniłowski jest tam, gdzie nie tworzy akcji, ale opowiada z głębokim współczuciem o cudzym nieszczęściu, o cudzej niedoli, o cudzych uczuciach”. („Kurjer Warszawski”, Nr. 191, 1911 r.).

„To jeden z najbardziej udatnych zbiorów nowel w ostatniej dobie”... („Museion”, Nr. 7-8, 1911 r.).

(Vide także recenzje: „Izraelita”, Nr. 11, 1910 r.; „Prapor”, Nr. 14, 1911 r.; „Myśl niepodległa”, Nr. 159, 1911 r.; „Naprzód”, Nr. 296, 1910 r.; „Krytyka”, Nr. 4, 1911 r.; „Życie”, Nr. 13, 1910 r.).

GALICA ANDRZEJ.

ROBERT SZPORN.

Dramat w 4-ch aktach. Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Andrzej Galica zmusza czytelnika do myślenia i niepokoi jego sumienie. A druga zaleta „Roberta Szporna”, to jego duże kwalifikacje sceniczne. Cztery akty tego dramatu zbudowane są każdy dla siebie zwarcie, sytuacyjnie zajmująco i efektownie, postacie dramatu są wyraźne, charakterystyka jest plastyczna. Język niewyszukany, jędrny”. („Głos”, Nr. 24, 1912 r.).

„Jest to dramat osnuty na tle antagonizmu między warstwą robotniczą a kapitalistami... mamy w tym utworze kilka momentów bardzo dobrze świadczących o talencie autora”. („Gazeta Wieczorna”, Nr. 523, 1911 r.).

„Galica ma w pomysłach swoich rozpęd szeroki, w obserwacjach zasób postaci silnych, w literaturze bynajmniej nie wyzyskanych. O uzdolnieniu jego scenicznym świadczy najwięcej umiejętność prowadzenia dialogu dramatycznego... Galica potrafi całe charaktery malować zapomocą słów zwyciężonych, mocnych, symbolizujących ruchy duszy, w czym właśnie tajemnica dialogu dramatycznego... „Robert Szporn” ma dużo pierwiastków świeżych, przede wszystkim górników polskich, czujących i mówiących inaczej, niż górniczy szlak obcych... Nie kopuje autor życia, ujmuje je w silnych zwro-

tach, nieraz aż szkieletowych — to świadczy na jego korzyść... („Krytyka“, Nr. 3, 1912 r.).

„Karta z dziejów ciężkiej doli górników w kopalni węgla przed wielkim ruchem strejkowym“. („Kurjer Litewski“, Nr. 69, 1912 r.).

„Tematem... jest strejk... Autor pragnął... dać typ kapitalisty, dyrektora kopalni węgla, zimnego ssawca pracującego proletariatu. Brutalny aferzysta dworujący z uczucia, w końcu bankrutuje ze swoją arcyburżuazyjną filozofią wyzysku... To utwór prawy i zapowiadający autora prawdziwego... Kilka scen prostych i mocnych...“ („Kurjer Poranny“, Nr. 194, 1912 r.).

GRUBIŃSKI WACŁAW.

MOC KAMIENNA.

(Dajmonjon-Bib. — Jerzy — Moc kamienna).

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Świadomy środków i celu, fascynuje Grubiński swojemi utworami... Grubiński z niebywałym mistrzostwem gra na nerwach i czyta się jego utwory z zapartym oddechem, jak tylko czytać można Allana Poe'go... Język bogaty i bujny. Język Grubińskiego posiada moc zaiste kamienną“. („Świat“, Nr. 25, 1911 r.).

„Moc kamienna“... jest przepelniona aż po same brzegi talentem dużej miary, i bije z niej, jak ze źródła, największa cnota dla artysty: nieomyślność formy“. („Dziennik Petersburski“, Nr. 432, 1911 r.).

„Tematem zwykłym nowel Grubińskiego jest miłość. Miłość dla uświadomionych semi-panien, krwista, temperamentowa, wielce obiecująca. Do atletycznych czasem zapasów dochodzą jego bohaterowie obojga płci. — Dla tego też tematowi jego nie można się oprzeć... (W „Mocy kamiennej“) oddanie nowrozy oczekiwania zrobione jest z rozmachem pierwszorzędnego pisarza“... („Museion“, Nr. 9, 1911 r.).

„Grubiński nie pisze, lecz cyzeluje, wykuwa rylcem z kamienia i trzyma czytelnika w napięciu od początku do końca... Nowele jego wyrastają wysoko ponad przeciętną nowelę, jaką spotykamy w czasopiśmie. Jakoż zdobyły sobie zasłużone uznanie w kołach literackich i powinny znaleźć się na stole każdego smakosza literackiego“. („Dziennik Poznański“, Nr. 289, 1911 r.).

„W twórczości Grubińskiego zaszła zmiana... Nowy świat Grubińskiego jest szerszym od tego, jaki przedstawiał się dawniej autorowi-młodzieńcowi... (Grubiński) wynosi z mroków ducha naszego tajemnice, nasze „poczwarne głupstwa“

i przepoiwszy je siłą swego talentu, stawia przed oczy, jako czyn i prawdę: słabą możliwość czyni namacalną rzeczywistością. Utwory ostatniej doby to — zwarte konstrukcje logiczne, przepojone uczuciem... oprócz logiki są jeszcze inne ważne czynniki metody, którą zniewala Grubiński czytelnika... Jednym z najważniejszych... jest język... język ten świadczy wymownie, że Grubiński nie jest tylko wirtuozem, ale jest przedewszystkim artystą... Nowela „Moc kamienna“... może... jest pierwszym krokiem... do jakiejś nowej syntezy... któraby łączyła rozpęd utworów młodzieńczych Grubińskiego z wyrafinowaniem ostatnich“. („Nowa Gazeta“, Nr. 216, 1912 r.).

(Vide także recenzje: „Kurjer Lwowski“, Nr. 370, 1911 r.; „Dzień“, Nr. 194, 1911 r.; „Głos Narodu“, Nr. 253, 1911 r.; „Myśl niepodległa“, Nr. 173, 1911 r.; „Przełom“, Nr. 10-11, 1911 r.; „Wolne Słowo“, Nr. 132-3, 1911 r.; „Prawda“, Nr. 26, 1911 r.; „Sfinks“, Nr. 7, 1911 r.; „Słowo“, Nr. 241, 1911 r.).

WACŁAW GRUBIŃSKI.

POCAŁUNEK, UCZTA BALTAZARA I INNE NOWELE.

Wydanie drugie.

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Grubiński wrzuca swe postacie w sytuację, napiętą silnie, niezwykle... Ten młody, przedwcześnie dojrzały szept... malując piekło duszy ludzkiej, umie być obiektywnym, to jest spokojnym, wciąż panującym nad położeniem — widzem... Władza środkami umiejętnie, rozporządza językiem pięknym, jednym i tegim“. („Nowa Gazeta“, Nr. 150, 1906 r.).

„Z tych kart nastrojowych, pisanych językiem pięknym, giętkim, miejscami bardzo prostym, a zarazem silnym i wdrażającym się w ucho słuchacza — wieje ku nam szczerze poezja“. („Gazeta Polska“, z dnia 21 kwietnia 1906 r.).

„W utworach Grubińskiego znać nie tylko talent, ale też pracowite obrobienie szczegółów zarówno językowych, jak i rzeczowych. Talent jego najchętniej przebywa w krainie rzeczy widzialnych, i świat wyobraża mu się scenicznie... Żywość opowiadania, wyrazistość obrazów i figur nawet w wizjach, napięcie sytuacji — oto główne zalety Grubińskiego“. („Świat“, Nr. 18, 1906 r.).

„Wacław Grubiński w ostatnim swym wydawnictwie daje czytelnikowi możliwość silnego emocjonowania się — jego nowele świadczą o ogromnym temperamencie twórczym autora i wielkiej umiejętności psychologicznego opracowy-

wania wziętego za temat zjawiska, w ujmowaniu objawów psychicznych z życia prezentowanych postaci. Podchwytywanie na pół-jawnych i tajemnych właściwości ducha ludzkiego, wybitny zmysł obserwacyjny przy krwi gorącej autora sprawiają, że nowele twórcy „Pijanych” i „Buntu” czyta się z wielką przyjemnością i dużym — pożytkiem. W Grubińskim tworzy tak duch społeczny, marzący gorączkowo, rzetelnie twórczy, wzbogacający literaturę polską marzeniem artysty o szczęściu. Za ten tom Grubińskiego należy się „Książce” szczere uznanie”. („Głos”, Nr. 88, 1912 r.).

„W ozdobnej szacie wyszło drugie wydanie nowel jednego z bardziej utalentowanych młodych naszych pisarzy. Śród nowel tych wyróżnia się przedewszystkim „Uczta Baltazara”. Autor włada niepospolitą plastyką i kolorytem słowa, stylem jedynym, dosadnym i płynnym, bujna wyobraźnia podsuwa mu fantastyczne pomysły, tragizm miłości gra dużą rolę w wielu utworach Grubińskiego. Chciano kiedyś porównać Grubińskiego do Maupassanta, zdaje mi się, że mylnie. Grubiński jest przedewszystkim sobą i w tym ujawnia się właśnie jego talent”. („Kurjer litewski”, Nr. 69, 1912 r.).

ILŁAKOWICZ I. K.

IKAROWE LOTY.

Cena 4 kor. (1 rb. 60 kop.).

„Wydany świeżo w Krakowie zbiór poezji, zatytułowany „Ikarowe loty”, stanął jednym rzutem na linii czołowej współczesnej naszej twórczości poetyckiej... Dużo siły i bogactwa kolorów w tym nowym, bujnym a ujarzmionym i już urobionym przez wysoki artyzm — talencie... Więc... jeszcze nie wyczerpane do dna tony i dźwięki liry polskiej, skoro dotknąwszy jej, ręka, przed chwilą jeszcze nieznana, dobyć może ze strun mowy poetyckiej polskiej tyle siły, wyrazu — i świeżości? Więc z mowy poetyckiej polskiej nie dobyli jeszcze wszystkiego złota ci, co, zda się, całą już chyba skalę mowy tej przebiegli, od Słowackiego do Konopnickiej? Z ogniwo tego cyklu bryzga krew i łzy”. („Kurjer Warszawski”, Nr. 14, 1912 r.).

„Nie z wosku przeciętnej zdolności kojarzenia wyrazów w rymy mniej lub więcej udatne ulepione są skrzydła poetki... Nie roztopić się tym skrzydłom na wyżynach, nie roztopić im się w upale wielkich zagadnień bytu i namietności wszechludzka piersią wstrząsających; jest w nich moc, która im pozwala bezpieczne kręgi w podniebiach zataczać, bo szczery, bujny, młody talent powpinał w nie pióra”. („Słowo”, Nr. 83, 1912 r.).

„Zbiorek cały wydany pięknie”. („Nowa Reforma”, Nr. 256, 1912 r.).

„Młoda poetka wysoko wzlatuje na mocnych skrzydłach i obejmuje szerokie horyzonty”. („Slovanský Přehled”, Nr. 6/7, 1913 r.).

(Vide recenzje: „Dziennik Poznański”, Nr. 45, 1913 r.; „Musiion”, Nr. 4, 1912 r.; „Dziennik Robotniczy”, Nr. 30, 1913 r.; „Gazeta Poniedziałkowa”, Nr. 52, 1911 r.; „Goniec Poniedziałkowy”, Nr. 13, 1912 r.; „Israelita”, Nr. 20, 1912 r.; „Książka”, Nr. 9, 1912 r.; „Kurjer Poranny”, z d. 15/IX, 1912 r.; „Kurjer Litewski”, Nr. 178, 1912 r.; „Głos Warszawski”, Nr. 61, 1912 r.; „Krytyka”, Nr. 4, 1912 r.).

JAWORSKI ROMAN.

HISTORJE MANJAKÓW.

(Treść: Miał iść. — Zepsuty ornament. — Medi. — Trzecia godzina. — Bania doktora Lipka. — Amor milczący czyli o absolutnej niemożliwości, by pewien młodzian zakochał się w damie jakiegokolwiek).

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Książka to ciekawa — albowiem miarą ciekawości książki literackiej jest przedewszystkim talent. Tutaj zaś przemawia do nas talent niewątpliwy i odrębny. Odrębność zaś znowu i miara talentu polegają na szczerości i na sile uczucia, w twórczości przejawionego”. („Naprzód”, Nr. 89, 1910 roku).

„Zbiór nowel, wybijający się ponad zwykłą produkcję literacką. Technie z nich pewna świeżość talentu, wyrażająca się zarówno oryginalnością pomysłów, jak i indywidualnym ujmowaniem przedmiotu... Niewątpliwy talent, którego już ta książka wyraźnym jest świadectwem”. („Nowa Reforma”, Nr. 295, 1910 roku).

„Styl p. Jaworskiego ma w sobie bardzo dużo świeżej plastyki i pięknego, przepuszczonego przez filtr ironji sentymentu... Książka jego jest jedną z tych... które po przeczytaniu w pamięci czytelnika nie maleją, lecz rosną i przetrastają same siebie, tak że gdy się do nich wróci, wywołują uczucie niedosycenia, niepokoju”. („Widnokregi”, N.Nr. 16 i 17, 1910 roku).

„Niezwyczajna książka! W powodzi nowel, szkiców, opowiadań, narzucających się współczesnemu czytelnikowi więcej sensacyjnym tytułem albo ilustracją fasadową z wyobrażeniem kobiety nagiej (koniecznie) — tak rzadko spotka się książkę, któraby zatrzymała nietylko fabułą, ale każdym zdaniem i słowem. A taką właśnie jest książka Romana Jaworskiego”. („Słowo Polskie”, Nr. 162, 1911 r.).

„Pisarzem nawskroś dzisiejszym jest autor „Historji Manjaków“... Autor należy do rzędu tych ludzi rzetelnych, którzy się nie cofają wobec zgrozy. Jego wzrok ma ostrość wizji malarskich. Jego marzenia i obrazy mają rodzaj i charakter nastrojów beardsleyowskich, gdzie wytworne, ciche rodzaje piękna kojarzą się z potworną brzydotą ludzkich przerostów, zaników, zgarbień i wklęsnięć“... („Prawda“, Nr. 14, 1911 r.).

„Styl wszystkich „Historji“ o nadzwyczaj wyteżonym tonie bolesnej humorystyki... świadczy o wielkim u autora bogactwie wyobraźni“ („Książka“, Nr. 11, 1911 r.).

(Vide recenzje: „Krytyka“, Nr. 3, 1911 r.; „Przegląd Po-wszeczny“, Nr. 10, 1910 r.).

KADEN JULJUSZ.

ZAWODY.

Nowele. — Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 30 kop.).

„Z wielką powagą życiową wstępuje do literatury pan Juliusz Kaden. Książka jego pomyślana oryginalnie. „Nowele“ tym brak w zupełności fabuły. Żadnej intrygi, żadnej historii na temat: on i ona. Życie, uchwycone w najważniejszym swym przejawie współczesnym, w pracy ludzkiej, którą nasz świat dla olbrzymiej większości przemienił w... zawód. Podpatrzył Kaden pracę w najnormalniejszej postaci; pożera ona człowieka, zabiera mu duszę, serce, unicestwia indywidualność, zostawia typ zawodowy. Kartki psychologii zawodowej mamy, pisane przez niezwyklego obserwatora nizin“ („Krytyka“, Nr. 3, 1912 r.).

„W usposobieniu artystycznym pana Kadena przebiega... wirtuozeria opisów. Opisów malarskich... Wszystkie obrazki p. Kadena powstały ze smakoszostwa talentu opisowego. Pokrywa go autor dodanym sentymentem współczucia dla krwawego trudu tych ludzi, ciężko pracujących“ („Głos War-szawski“, Nr. 16, 1912 r.).

„Pisarz o niepoślednio bystrej i wnikliwej obserwacji władający językiem nadzwyczaj kolorystycznym, co mu nie przeszkadza być jasnym, przejrzystym, zawsze doskonale myśl autora odzwierciadlającym; zasobnym w imponujące bogactwo metafor, porównań zawsze oryginalnych, prawie zawsze szczęśliwych“ („Słowo“, Nr. 55, 1912 r.).

„Zdecydowane opanowanie formy, kompozycja zwarta i plastyka cechują nowele p. Kadena... Obrazek „Statysta“ najsympatyczniejszy: realizmem środków, szczerą i wierną psychiką, autor wydobyl serdeczny moment wzruszenia pa-tryjotycznego u niezbyt zresztą uświadomionego narodo-

murarza, który statystuje na przedstawieniu „Kościuszk pod Racławicami“. Najpiękniejsze to karty książki p. Kadena... Niezaprzeczona... zaletą książki jest ukazanie różnych zawo-dów w szeregu oryginalnie pomyślanych obrazków, tchną-cych szacunkiem dla codziennego trudu pracowitych rąk ludzkich i współczuciem dla nędzy i niedoli“ („Czas“, Nr. 147, 1912 r.).

„Banalności próznobyśmy tu szukali. Wszystko w książce Kadena od założenia do stylu jest odmienne, inne, oryginalnie pomyślane... W osobie jego wyrasta na niwie naszego piś-miennictwa siła rzetelna i — duża“ („Kurjer Poznański“, Nr. 100, 1912 r.).

„Aby na tle tak prostych zjawisk życia, jak te, które sobie wybrał p. Kaden za przedmiot swych obrazków... wy-dobyć tyle prawdy, porywającej prostotą ujęcia, trzeba mieć zmysł odczucia istotnie głębiej wnikaający w życie i talent szczerzy, rozporządzający siłą artystycznych środków, którym dodaje barw i świeżości temperament młodości, bujność myśli i znaczna literacka kultura“ („Nowa Reforma“, Nr. 280, 1912 roku).

„Już sam fakt, że dany utwór ukazał się pod egidą tak poważnej firmy wydawniczej, jak „Książka“ krakowska, wystarcza, aby zaciekał, gdy nazwisko autora mało albo wcale jest nieznanne... „Zawody“ na uwagę niewątpliwie za-sługują... Cechuje je talent a wyróżnia z pośród wielu współ-czesnych prac literackich dbałość o język... Nowele p. Kadena są zajmujące. Świadczą one o bystrym zmyśle spostrzegawczości autora i o darze wczuwania się w opisywane fakty i w opiewanych bohaterów“ („Kurjer Poranny“, Nr. 175, 1912 r.).

(Vide także recenzje: „Kurjer Litewski“, Nr. 70, 1912 r., „Prawda“ Nr. 35, 1912 r., „Gazeta Wieczorna“, Nr. 832, 1912 r.; „Dziennik Petersburski“, Nr. 555, 1912 r.; „Słowo Polskie“, Nr. 72, 1912 r. i td.).

KASPROWICZ JAN.

CHRYSTUS.

Poemat społeczno-religijny.

Cena w oprawie 3 kor.

„... Wielkim dziełem Kasprowicza jest poemat „Chry-stus“... Utwór to wielki w założeniu — miejscami, o ile na-turalizm nie przeszkadza w symbolizowaniu uczuć ogólnoludzkich i nie zgrzyta w formie — także w przeprowa-dzeniu“ W. Feldman, „Współczesna Literatura Polska“).

„...Miecz prokuratora spadł na to dzieło dla jego bluź-

nierczego tonu, i słusznie, jeżeli bezbrzeżny smutek i nadmiar litości bluźnierstwo stanowią, a wymowa rozkrzawionego serca paszkwilem się stała". (*Al. Brückner, "Dzieje literatury polskiej". Wydanie II. Tom II. Str. 422/223.*)

KULIKOWSKA MARCELINA.

BARWY DUSZY.

(Z portretem autorki). Cena 5 koron. (2 rb.).

„Wychodzi... ku nam z kart książki dusza, zdolna do całkowitego spalenia się na stosie ofiarnym, łaknąca piękna, sprawiedliwości i prawdy, pełna chwilami wiary w jutro, nade wszystko jednak smutna i boleśnie zadumana"... (*„Kurjer Warszawski”*, Nr. 51, 1911 r.).

„Naogół noszą te wiersze piętno bolesnego przygnębienia, z którego sama ich autorka zdawała sobie dobrze sprawę, pisząc w swym pamiętniku o „myśli o opuszczonych skrzydłach” i negatywnych siłach, z których czerpie swą twórczość”. (*„Gazeta Warszawska”*, Nr. 55, 1911 r.).

„Uderza w tym zbioru niezwykle rwanie się do życia, ton szlachetny i pewna muzyka wiersza. Kto wie, czy nożyce śmierci nie przecięły pasma niepospolitego”. (*„Myśl niepodległa”*, Nr. 165, 1911 r.).

„W poezjach Kulikowskiej tętni — by się tak wyrazić — imperatyw tworzenia. Myśl leci, wyrazy brzmią mocno, uczucia grają silnie. Skala ideowa i uczuciowa wcale szeroka”. (*„Słowo”*, Nr. 78, 1911 r.).

(*Vide recenzje: „Gazeta Lwowska”, 1911 r., „Kurjer Litewski”, Nr. 178, 1912 r.*)

KULIKOWSKA MARCELINA.

FRANIA.

Nowele. Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Drobne te obrazki, pisane łatwo i potocznie, zawierają dużo szlachetnego uczucia i współczucia doli ludzkiej. Zasadniczym ich motywem jest smutek, tak swoisty duszy autorki, umiejacej głębiej patrzeć w życie”. (*„Kurjer Warszawski”*, Nr. 326, 1911 r.).

„Najbardziej uzasadnioną jednostką literacką jest tom nowel: Frania. Zasługują na uwagę zwłaszcza dwie z nich: „Frania” i „Pani Marszałkowa”. Pierwsza ujmując rzewnością odczucia niedoli sierocy, druga jest oryginalnym pomysłem, w którym czuć pragnienie uwydatnienia pewnej stylowości ducha kobiecego, Kobieta, która całe życie była piękną i piękność ta była całą jej istotą — w przeczuciu zgonu

układa się w trumnę i każe pannie służącej zapamiętać sobie dobrze giest, ornamentację kwietną, czyni słowem jenerałą próbę pośmiertną”. (*„Museion”, Nr. 11, 1911 r.*)

(*Vide recenzje: „Kurjer Litewski”, Nr. 9, 1911 r.; „Gazeta Lwowska”, 1912 r.; „Kurjer Warszawski”, Nr. 14, 1912 r.; „Słowo Polskie”, Nr. 545, 1911 r.; „Krytyka”, Nr. 2, 1912 r.*)

KULIKOWSKA MARCELINA.

Z DZIEJÓW DUSZY.

Pamiętnik. Cena 4 Kor. (1 rb. 60 kop.).

„Autorce nie chodziło o druk. Pisała dla siebie. I stało się dobrze. Nie mieliśmy w przeciwnym razie w „Dziejach duszy” tej świeżości i tej bezpośredniości w wyrażeniu najintymniejszych załamań autorki. Książkę tę gorąco polecamy wszystkim czytelnikom...” (*„Gazeta wieczorna”, Nr. 439, 1911 r.*)

„W spuściźnie, pozostawionej po zgastej poetce, znaleziono kilkanaście zeszytów notatek, pisanych dorywczo w różnych czasach i miejscach. Wybór ich, zawarty w książce, świeżo wydanej, obejmuje lat piętnaście, od r. 1895, od czasów studenckiego życia na uniwersytecie w Genewie, aż do czerwca 1910 roku. Ostatnie słowa, noszące datę 9 czerwca, skreślone były zaledwie na dni kilka przed śmiercią: 19 czerwca wystrząłem z rewolweru młoda autorka przecięła tragiczne pasmo swego żywota”. (*„Prawda”, Nr. 51, 1911 r.*)

„Z Dziejów duszy” to pamiętnik samobójczy... Kulikowska żyć pragnęła, ale nie umiała brać życia „własnymi rękami”. Była istotą słabą. Jej pamiętnik jest skargą... na samotność... Ton ogólny książki: zniechęcenie, apatia”. (*„Kurjer Poranny”, Nr. 196, 1912 r.*)

„W... szamotaniu się swoim autorka niezmiernie jest typowa dla pewnej kategorii dusz kobiecych. Zdobywa się na chwilę bunt myślowy... Brak jednakowoż siły do prze-myślenia buntowniczych idei”. (*„Krytyka”, Nr. 2, 1912 r.*)

(*Vide recenzje: „Kurjer Wileński”, Nr. 18, 1912 r.; „Gazeta Lwowska”, 1911 r.; „Kurjer Warszawski”, Nr. 14, 1912 r.*)

KULIKOWSKA MARCELINA.

Z WĘDRÓWEK PO KRAJU.

(Kruświca. — Z zaboru pruskiego. — Kaszuby. — Zagłębie Dąbrowskie. — Śląsk Górny. — Z Warszawy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Sympatyczna autorka... nie ogranicza się... na podaniu mniej lub więcej ścisłych danych natury ludoznawczej i spo-

lecznie politycznej, ale stara się zarazem odczuć duszę tego ludu... Autorka nie tylko z uczuciem rodaczki Polki, ale i zarazem z sumiennością badacza duszę ludu naszego oddaje w krótkich rozmowach z nim. A w tym tkwi główna wartość pracy pod względem etnograficznym". („*Gryf*", Nr. 8, 1911 r.).

„Mało jest w literaturze naszej książek o kraju, o ziemi naszej podzielonej, o duchu, który się po sercach ludzkich kołacza z siłą i tęsknotą pełniejszego życia, pisanych tak prosto, szczerze i zajmująco, pięknie i silnie, jak... książka M. Kulikowskiej. Słowa (jej)... mają siłę, która nie pozwala i nie chce opuszczać rąk bezwładnie, z rezygnacją". („*Przedtom*", Nr. 10/11, 1911 r.).

(*Vide recenzje*: „*Lan Młodzieży*", Nr. 152, 1911 r.; „*Gazeta Lwowska*", 1911 r.).

LANGE, ANTONI.

ELFRYDA.

Nowele i Fantazje.

(*Widłak*. — Testament. — Schadzka. — Elfryda. — Melodramat. — Pojednanie. — Rzeczywistość. — Zupa więzienna. — Bogowie).

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rub. 60 hal.).

„Wszystkie (nowele) odznaczają się nader zręczną fabułą i zaprawione są właściwą autorowi ironją, z jaką charakteryzuje wady i przywary ludzkie". („*Tygodnik Ilustrowany*", Nr. 20, 1912 r.).

„Doskonale, pełne humoru nowele zamieszczał autor w zeszłorocznym „*Świecie*" i innych pismach. Z lekką, pozabawioną złośliwości, ironją, patrzy Lange na świat, na wesołe i smutne jego sprawy. „*Elfryda*", „*Bogowie*", „*Widłak*" należą do opowiadań najlepszych w zbiorze". („*Kurjer Litewski*", Nr. 69, 1912 r.).

„Znacznie prostszym jest w ironji swojej Antoni Lange. Jego „*Elfryda*"... posiada miły, pozornie nawet niefrasobliwy humor. Pół serjo, pół żartobliwie, z bardzo subtelnym uśmieszem mówi Lange o ludziach, a gdy mu przyjdzie opowiadać o sobie, to istic heinowska „*Selbstironie*" zabarwia nowele". („*Świat*", Nr. 24, 1912 r.).

„Znany powszechnie pisarz, niepospolity poeta i wybitny krytyk, Antoni Lange, puścił w świat... tom opowiadań p. t. „*Elfryda*". Dziwnego doznajemy wrażenia podczas czytania tych rzeczy, albowiem autor pisze tak żywo i barwnie, z taką niezwykłą plastyką i swobodą, że poprostu ulegamy złudzeniu: zdaje się nam, że na to wszystko patrzymy wła-

snemi oczyma... „*Elfryda*" zajmie niezawodnie, dzięki swoim pierwszorzędnym zaletom, wybitne miejsce w literaturze, a zadowolić może nie tylko zwykłych pochłaniaczy beletrystycznych utworów, lecz i czytelników o bardzo wielkich wymaganiach". („*Israelita*", Nr. 21, 1912 r.).

„Lange — wykwintny poeta... — przedziwny, subtelny tłumacz i znawca poezji francuskiej, hiszpańskiej, sanskryckiej i innych... — a Lange nowelista, to dwaj inni ludzie. Inną nową twarz pokazał autor z tej książki. W nowelach tych przypomina trochę owego gawędziarza, co niezbyt już może nowe rzeczy opowiada, jednak w tak miły i bezpretensjonalny sposób, że się ich słucha chętnie". („*Gazeta wieczorna*", Nr. 710, 1912 r.).

„Antoni Lange, poeta i wybitny tłumacz dzieł poetyckich z obcych literatur, nie jest nowelistą. Zebrane w niniejszej książce utwory noszą cechę swobodnych, poniekąd bezpretensjonalnych opowiadań o tym, co autor widział, co pobudziło jego humor, lub co nadawało się do ironicznego uchwycenia". („*Czas*", Nr. 256, 1912 r.).

(*Vide recenzja*: „*Prawda*", Nr. 31, 1912 r.).

LANGE ANTONI.

W CZWARTYM WYMIARZE.

Nowele.

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Ciekawe... i niepowszednie są opowiadania Langego, zawarte w tomie, noszącym znamienity i zachęcający tytuł „*W czwartym wymiarze*"... W istny świat czarów i dziwów prowadzi nas z sobą autor... Wszystko... zdumiewa nas bogactwem życia i... fantazji, trzepocącej się jak motyl w blaskach światła, zapałonego przez rozum i wiedzę". („*Kurjer Warszawski*", Nr. 232, 1912 r.).

„Jak sam tytuł mówi, wszystko to są historie nadzwyczajne, niebywałe, trudne do pojęcia i niepodobne do prawdy, oparte na quasi-naukowych podstawach a czysto fantastyczne, coś w rodzaju słynnych opowieści Verne'go lub Wells'a... Opowiadania te... robią wrażenie, jakgdyby wytworny poeta lubił bawić się, w wolnych od tworzenia pięknych poematów i bajecznych tłumaczeń z sanskrytu chwilach, rzucaniem od niechcenia szklanych różnobarwnych kulek". („*Głos Narodu*", Nr. 160, 1912 r.).

„Antoni Lange liryk — parnasista, poeta o wyszukanej

formie, organizacja chłodna, wyrafinowania pełna, twórca, w którym intelekt zdławił instynkt — publikuje dwa tomy krótkich prozaicznych... utworów... Istotna cecha twórcy „Pogrzebu Shelley'a — intelektualizm — pozostała niezmienną. Zbiór „W czwartym wymiarze“ konstatuje w Langem olbrzymi rozwój fantazjowania, wielką umiejętność konstruowania fantastycznych faktów... Inne momenty, zaciekawiające w utworach a względnie w autorze nowe, to pewne tony humoru i lekkich, mądrych, satyrycznych uśmiechów“. („Prawda“, Nr. 31, 1912 r.).

(Vide także recenzję: „Gazeta Wieczorna“, Nr. 832, 1912 r.).

MARKOWSKA MARJA.

MELODJE ŚMIERCI.

Cena 1 rubel.

„Lubię poezję p. Markowskiej. Wykwint duszy i rzewliwość tonu każą wpatrzeć się w smętne ich wnętrza... Wiersz „wzdyć-em ci służył“ przypomina okres złoty naszego piśmiennictwa. Archaizm pieści ucho, olśniewa, bo kto ciągłość kultury naszej może sobie odtworzyć z wszystkimi jej zaletami i wadami, ten, jak słodkie chwile dzieciństwa, pamięta mocną gwarę Reya, podniosłość Kochanowskiego, namaszczenie Skargi“. („Prawda“, Nr. 3, 1910 r.).

„Skargę... nabrzmiała istotnym, nieklamany bólem, który z głębszych płynie źródeł, przyniosła z sobą świeżość p. Marja Markowska... Wczytując się w te wdzięczne, istotnie melodyjne, przepojone szczerym uczuciem strofy, w których spowiada się dusza poetki ze swojej niemocy, z tęsknot swoich, z goryczy, którą wypila, uczymy się ją rozumieć... Tak śpiewa pokolenie, które przeżyło rewolucję ostatnią, opaliło sobie skrzydła w jej ogniu...“ („Kurjer Warszawski“, Nr. 109, 1910 r.).

(Vide recenzję: „Myśl Niepodległa“, Nr. 127, 1910 r.).

MICIŃSKI TADEUSZ.

XIĄDZ FAUST.

Powieść.

Cena 7 koron 80 hal. (3 ruble).

„Stała, gorąca, wytężona troska o duszę polską... rzuca mosty pomiędzy rozbieżne dążenia twórcy, prowadzi do

jedności celów, układa w pewną harmonję wszystkie rozdzźwięki jego pieśni... w „Księdzu Fauście“ stanowi głównie źródło marzeń, obrazów, wizji, dialogów i dyskusji. Dziwna ta powieść poemat jest jakby eksplozją najprzeróżniejszych elementów: raz mamy realistyczną na wskroś narrację, jasną, wyraźną, silną w plastyce i pełną świetnych obrazów; to znów marzenie poety maści wizją ohydnej zbrodni... raz rozróżniona myśl poety buja w podniebnych sferach, szukając dla siebie najdelikatniejszego, rozwiewnego wyrazu; to znowu grzęźnie w rozprawie napół-naukowej i przetrwara forsownie rozważania metafizyczne na zawrotne, szalone w rozpędzie, pełne egzotyizmu metafory... Słowa wzbuchają i pędzą z niepowstrzymanym impetem... Gdy proza, niezwykle strojna i w drogocenne szaty odziana, nie wystarcza, Miciński całe rozdziały, „wierszami gada“, starając się dźwięcznością rytmu, dostojnością formy podnieść czytelnika ku wyżynom, na jakich pragnie toczyć z nim dysputy... „Książd Faust“ jest historią jednej nocy wigilijnej, spędzonej w oczekiwaniu śmierci. Chodziło poecie o gwałtowny eksperyment, przebudowania jednej duszy polskiej, przebudowania, dokonanego tak, aby wprowadzić w grę wszelkie czynniki ideowego istnienia w Polsce... Książd Faust jest postacią w rzeczywistości życiowej zdobyta, ale w szatach wyobraźni pchana ku ostatecznym możliwościom wyteżenia duchowego, przeprowadzoną przez wszystkie piekła najgwałtowniejszych przeżyć wewnętrznych, które ją wreszcie w tajemniczyły w istotę życia. Miciński przesuwając przed oczyma czytelnika obrazy tych przeżyć i oszałamia go prosto nadmiarem straszliwych wizji... Książd Faust zaliczony będzie do najoryginalniejszych postaci w naszej literaturze. Mniejsza o cały ezoteryzm jego natchnionej mowy; są w nim pierwiastki głębi, które przetrwają jego tajemnicze postawy. Ekstazyjne chwile auto-spowiedzi księdza Fausta na chórze kościelnym — to zgola wybitny wzór pięknej prozy poetyckiej. Po wszystkich zresztą stronicach rozsiał Miciński obficie ogromne bogactwa metafory niezwyklej, indywidualnej, ogromną energią przepojonej. Rozpalone do białości dusze jego bohaterów... daje świadectwo wielkiemu talentowi ich twórcy... Obrazy... walki w żadnym utworze Micińskiego nie wypadły tak wspaniale. Nigdy też poeta „W mroku gwiazd“ nie zdawał sobie jaśniej sprawy z istoty mistyki... Takie są fundamenty przebudowy duszy polskiej, nad której przepaścią zadumał się jeden z najrzetelniejszych poetów naszej bez-poetyckiej epoki“. („Nowa Gazeta“, Nr. 170, 1913 r.).

„Niepodobna ani w przybliżeniu stworzyć równoważnika krytycznego tym skarbowi poezji i myśli, jakie za-

warte są w owej „powieści“... Na świecie chyba niewielu jest ludzi tak szerokiego tchu ideowego, jak Miciński... jest (on) naturą nawskróś, namiętnie religijną. Twórczość jego to gwałtowne, żywiołowe szukanie Boga wewnętrznego w człowieku i w świecie... Tytuł powieści szczęśliwie kojarzy dwoistość pierwiastków ideowych, z których się składa. Bohaterem a zarazem ideałem jest Książd Faust. Książd a więc dusza kapłańska... poświęcony całkowicie Wierze i Bliźnim. Faust: szczyt myśli ludzkiej badawczej i krytycznej... Ci, którzy pierwiastki faustowsko-kapłańskie w sobie mają, uczują obecnie więcej, niż przy poprzednich Micińskiego dziełach, że jest on jednym z dalszych ogniw łańcucha poetów-twórców duchowej kultury polskiej. I każdy z nas, odchodząc od jego książki, owocu zbożnej pracy duchowej, winien wyrwać w sercu wzniosły testament ideowy, którym się kończy „Książd Faust“: „Budujmy siłą swęj jażni schody do Świątyni (słonecznego odrodzenia Polski)“ („Krytyka“, Nr. 5 i 6, 1913 r.).

„Dziwna, tajemnicą swoją ponętą jest ostatnia powieść Micińskiego. Mistycyzm unosi (Micińskiego) ponad ziemię; w nim szuka ratunku od ścigających go Eumenid rzeczywistości polskiej; on nasycza go krzepiącą wiarą w wolny, twórczy czyn i każe mu wielbić Wielką Tróję: Pracę, Sprawiedliwość, Miłość nadczłowieczeństwa. (Faust) jest symbolem... nieśmiertelnego dążenia naprzód, tego szukania opoki, na której może być zbudowane jutro. A Piotr (o poka), symbol tego jutra, które dziś jeszcze dzwoni kajdanami... czyż nie jest głosem najgłębszej naszej tęsknoty do... tych świątecznych wyzwoliń... na które oczekujemy?“ („Kurjer Warszawski“, z d. 11 IV 1913 r.).

„Na pięknych, podniosłych stronicach księgi... stoczą... dwa kierunki rozległą przepiękną walkę Dobra, które wie, z najwyższym Dobrem, które wiedziało, lecz już nie chce pamiętać — czuje jeno... Książka ta należy do tych niewielu dziś dzieł literatury naszej, podejmujących olbrzymie zagadnienia z wszechstronnym, wspaniałym przygotowaniem i szczerością. Styl tej pracy... nad wszelkie przypuszczenia pyszny, potężny i jasny. Z kart („Fausta“)... bije godność i siła, błyskają... wielkie, świetne, niebosiężne oddaia.“ („Naprzód“, Nr. 81, 1913 r.).

„Książd Faust“ jest powieścią bardzo prawdziwą i bardzo fantastyczną, taką, jaką może być tylko natura.“ („Kurjer Poranny“, z d. 21 V 1913 r.).

(Vide także recenzje: „Kurjer Litewski“, Nr. 85, 1913 r.; „Gazeta Pomorska“, Nr. 15, 1913 r.; „Gazeta Toruńska“, kwiecień, 1913 r.; „Goniec Poranny“, Nr. 318, 1913 r. itd.).

NALEPIŃSKI TADEUSZ.

CHRRZEST.

Fantazja polska. Cena 4 kor. (1 rb. 60 kop.).

„...Wiersz płynie śpiewnie, rymy dzwonią, jak perły, rytm lka, jak skarga jaskółki. Nigdzie zgrzytu, nigdzie dysproporcji lub załamania się linii...“ („Mysł niepodległa“, Nr. 135, 1910 r.).

„Jakie... widzeń tych bogactwo! Jakie rytmów tych tempol Jak każde z nich, wiotkie nieraz i bezcielesne, krwią tętni żywa!... Wysokich lotów potrzebują skrzydła (Nalepińskiego), a jeśli schylą się, to nigdy nad bagnem, lecz nad otchłanią, po której również można latać i podobnie jak w podniebiach dostrzegać tajemnice“... („Krytyka“, Nr. 6, 1910 r.).

„...Poemat...marzycielskiego nastroju...kunsztownie zbudowane...oktawy odznaczają się zwartą siłą słowa, wyrazistą rytmiką, bogatą harmonją i obfitują w szczęśliwe zwroty, mocne, dobitne tony“... („Książka“, Nr. 9, 1910 r.).

„Dopatruję się w tym poemacie młodzieńczym...bardzo ciekawej i poważnej zagadki wielkiego talentu poetyckiego. Tę przyszłość rozwiąże. Obyż jak najpomyślniej!“ („Kurjer Warszawski“, Nr. 286, 1910 r.).

„Całość poematu, przybranego w szatę dźwięcznych i mocnych oktaw, mimo pozornej rozbieżności poszczególnych części, sprawia głębokie i przejmujące wrażenie“... („Tygodnik ilustrowany“, Nr. 2, 1911 r.).

(Vide recenzję: „Naprzód“, Nr. 89, 1910 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

DRZEWIEJ.

Powieść. (Winiety i okładka rysunku Wojciecha Jastrzębowskiego. Ryciny K. Młodzianowskiego).

Cena 6 kor. 80 hal. (2 rb. 60 kop.).

„Literatura polska wzbogaciła się o utwór, mający mnóstwo cech arcydzieła...Utwór — logiczny wyraz dotychczasowego rozwoju poety...Posuwaniem się w kraj marzeń jest każdy dalszy utwór Orkana. Sercem zawsze zostaje „przy tej smutnej ziemi“, duszą twórczą ją przerasta...Historyczne przechodzi w wieczyste... Droga... wysiłków pełna zbożnych, ku coraz wyższemu dążąc szczytom, zaprowadziła do epepei. Działo się to ongi — „drzewiej“ w ojczyźnie

poety... Ukochane Orkana Roztoki lasem prawie nietkniętym były; wirchy i ubocza jak nieprzejrzane kołysały się morze wierzchołkami ciemnymi — w głębiny zaś tych borów wniła się dusza poety... w świat baśni... Cztery postacie, po homerowsku proste i surowe. Pierwsze osiedle ludzkie na skraju lasu, w nim biały, jak gołąb ojciec, dwaj synowie i córka. Syn jeden — Prokop — jakiś z prawnieku Wyrwidąb, mocarz groźny, który wziął się za bary z lasem i zwierzem, aby je poddać panowaniu człowieka; drugi Dąb, pasterz górski, w którego głowie świat się troi i stroi cudownymi snami fantazji pierwotnej; między nimi siostra — jedyna pokąd wzrok młodych sięgnie — Ewa... Tragiedja nieuchronna... Najpiękniejsze karty... jakie wogóle w języku polskim napisano o odbiciu się natury w umyśle pierwotnego słowianina". („Krytyka", Nr. 6, 1912 r.).

„Potężny to poemat prapierwotnej siły... Sen skomplikowanego i zagmatwanego człowieka współczesnego o cudownej prostocie bytu. Wzdychanie z głębi piersi schorzałej o moc olbrzymów, zmagających się z lasem, z dzikim zwierzem". („Świat", Nr. 22, 1912 r.).

„Orkana „Drzewiej" duszę utęsknioną niesie w legiendarny świat, gdy ta ziemia... pod gęstwiną głowic i koron drzewnych była jakoby dno morskie: życia i żywiny pełna... Kompozycja powieści jest zwarta, jednolita; psychologia konsekwentna; ludzie żywi — i co więcej — bliscy, mimo pozorną dal czasu... Język świeży, nowy... zawsze forma odpowiada treści...". („Wiśła", Nr. 11, 1912 r.).

„(W najnowszej powieści Orkana) jest... umiłowanie mocy i potęgi, a do tej idei, promieniającej wielkością, nagina się język autora dosadny, twardy w powiedzeniach — i postacie, zarysowane na miarę bohaterów klasycznych — i akcja powieści jednolita, zwarta, prosta w koncepcji... Są momenty, w których powieść rośnie na wysoką miarę poematu epickiego prozą". („Gazeta lwowska", Nr. 141, 1912 r.).

„Styl („Drzewiej") ma krzepkość kamienia... Akcja powieści zarysowana jakby rylcem, piszącym po granitach... Szpizowe dźwięki... opisują przedziwnie puszczę... zmieniają się niekiedy w grzmoty i pioruny... lub szemrzą w przycichnieniu, jak deszcz rześisty... Właściwie każda stronica jest po mistrzowsku napisana... „Drzewiej" należy czytać kilkakrotnie i wciąż od nowa". („Głos Narodu", Nr. 129, 1912 r.).

„Udało się autorowi odtworzyć w pełnej krasie tę odwieczną puszczę, te nieprzebyte pra-bory z ich nieokreślonym przez człowieka życiem, z ich czarami, tajemnicami dnia i nocy, z mnóstwem legiendarnych bóstw leśnych... („Drzewiej") stanowi... niecodzienne zjawisko w piśmiennictwie bieżącej doby". („Czas", Nr. z 28 czerwca 1912 r.).

„Dzieło, w którym (Orkan) dobiegając pełni męskiej twórczości, złożył... zapewne wszystko, co ma najlepszego... Potęgą i barwnością słowa... siłą wyobraźni... zdrowy i... jedyny temperament... prawdziwe z bożej łaski tchnienie poezji... oto znamiona najnowszej książki Orkana... Jeden z najwybitniejszych i najciekawszych utworów doby współczesnej". („Słowo Polskie", Nr. 321, 1912 r.).

„Książka ta porusza i upaja — nie można się od niej oderwać. Zachwyca nie tylko wspaniałością i siłą obrazów, ale i język... Język ten to jak pieśń ziemi, kiedy się do niej przyłgnie i do piersi pramacierzy przyłoży ucho". („Gazeta Wieczorna", Nr. 710, 1912 r.).

„Wspaniałe arcydzieło, które powinno być przełożone na wszystkie języki słowiańskie". („Slovanský Přehled", Nr. 6-7, 1913 r.).

(Vide także recenzje: „Kurjer Lwowski", Nr. 395, 1912 r.; „Gazeta Wieczorna", Nr. 857, 1912 r.; „Gazeta Toruńska", sty-czeń, 1913 r.; „Przegląd Polski", Nr. 567, 1913 r. itd., itd.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

HERKULES NOWOŻYTNY I INNE WESOŁE RZECZY.

(Treść: Nad moją duszą żałobnicą. — Herkules Nowożytny. — Opowieść o płanetniku. — O Wojtku, którego na Szczepeana przekreśli. — Lis. — Przykry moment. — Jędrzej Bąja i powieściopisarz. — Jak Jędrzej Sklarz po Włochach jeździł).

Cena 2 kor. (90 kop.).

„Herkules Nowożytny zawiera utwory humoru, przesianego przez ból serdeczny"... (Wilhelm Feldman „Współczesna literatura polska").

„Okazuje się..., że Orkan umie spoglądać na życie i świat z tego punktu widzenia, z którego one śmiesznymi wydać się mogą, dostrzega ich komiczną stronę, gdyż widzi częstą, a naiwną sprzeczność między istotną treścią czynów, a ich uświadamianiem sobie, ich oceną moralną, między zamia-rami a ich urzeczywistnieniem. Co więcej, autor umie się zdobyć nawet na swobodny i pogodny humor. („Jak Jędrzej Sklarz po Włochach jeździł"). Samo przez się jednak rozumie się, że podstawowym tonem jest nie pogoda, lecz ból serdeczny". (A. Drogoszewski, „Książka", Nr. 10, 1906 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

NAD URWISKIEM.

Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi“.

(ZBIÓR NOWEL. Treść: Chłop na łany wyszedł z kosą. — Nad Urwiskiem I. — Wilja. — Na Gódnie Święta. — Bazię. — Wesoły dzień. — Piekiełko. — Błażkowa Łysina. — Niedowiarek. — Nad Urwiskiem II. — Po ugorach. — Z krainy Górów. — Tę krainę kę. — Żyzna. — Miałem raz chwilę. — Przekleństwo. — O ziemi, o nędzy. — Po omacku. — Jasna polana. — Po ugorach i po szarych łanach zbóż. — Noc. — Listy ze wsi).

Cena 3 kor. (1 rubel 20 kop.).

„Władysław Orkan wyszedł z ludu i sercem wśród ludu żyje. Wychowanie nie przerwało nici uczucia, łączącej go ze środowiskiem ojczystym. Stał się śpiewakiem tego piekła nędzy chłopskiej, w którym przyszedł na świat... Beznadziejność spętała mu ducha i zaszklili źrenice, jak starym gazdom, których twarze tak pysznie maluje“. („Wiedza“, Nr. 21, 1910 r.).

„Życie wsi, dusza chłopca, jego troski codzienne, jego zwyczaj odwieczne, jego miłość ziemi i najgłębsze uczucia i myśli — oto treść tej ciekawej książki“. („Kultura Polska“, Nr. 7, 1910 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

OFIARA.

Fragment w 3 aktach z roku 1846. Cena 1 kor. 50 hal. (75 kop.).

„W trzyaktowym dramacie „Ofiara“ kreśli Orkan krwawy obraz z rzezi tarnowskiej r. 1846, kiedy to ciemne masy chłopstwa napadły na dwory i mordowały właścicieli, a ich posiadłości zniszczyli. Straszny obraz krwawej pożogi nasświetlił Orkan z tej strony, jako to dzięki ciemnocie i nieufności próby nawiązania stosunków przyjaznych a wzajemnych, spełzły na niczym“. („Głos Ludu Śląskiego“, Nr. 49, 1913 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

WINA I KARA.

Tragedja w 3 aktach. Cena 2 kor. (90 kop.).

„Zupełnie... świadomym, dojrzałym dziełem artystycznym jest „Wina i Kara“. Poeta odrazu stwarza tu swój świat... W „Winie i Karze“ fatalistyczny, wyroczny charakter tragedii starożytnej połączony jest przedziwnie z chrześcijańską ideą odkupienia oraz z nawskroś współczesną ironią moralną. Dawnej miękkości Orkana niema już w „Winie i Karze“ prawie ani śladu... Najgłębszą treścią twórczości

Orkana jest zagadnienie krzywdy i cierpienia... W „Winie i Karze“ spojrzal im w twarz zimnym, niezmiennym wzrokiem. Teraz dopiero rozpoczyna on więc może twórczości swojej wiek męski“. („Jan Śten, „Krytyka“, Nr. 10, 1905 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

Z MARTWEJ ROZTOKI.

Poezje. Z portretem autora.

Cena 5 kor. (2 ruble).

„Książka ta, to jak rozelkany wichurą wieczór jesienny. Smutek jest głęboki i szczerzy — i tym bardziej zaraża. I ta mowa — napoły staropolska, dawno zapomnianymi wyrażeniami dzwoniąca — napoły góralska. Przedziwna, osobna zupełnie — taka — Orkanowska“. („Gazeta Wieczorna“, Nr. 710, 1912 r.).

„Smutek... i beznadzieja — to wyraz smętu całego pokolenia, co w martwocie przeżywa sweniesławne „dziś“... Ogółem „Z martwej roztoki“ ujmuję swą niezmienną skromnością i szczerością“. („Głos Narodu“, Nr. 129, 1912 r.).

„Cechą twórczości Orkana jest dzika, chropawa, ponura kamienność w tatrzańskich zawodzących wirach i tym silna... Liryki te cechuje język mocny, zwarty, nawrotami głębokich refrenów obramiony, tajemniczy pomrokami elipsów, o rytmie nieprzewidzianie dygotliwej jak górski potok, o wabliwych echach baśniowych zwrotów, o relikwjach archaizmów. Duszą liryki Orkana... smutek skalistych, płonnych pustkowi“. („Nowa Gazeta“, Nr. 319, 1912 r.).

„Sto razy ważyła (się) myśl ze sumieniem, zanim (Orkan) pozwolił rymowi ułożyć w strofę samego siebie, żywego człowieka... Jeśli idzie... o moment prawdy wewnętrznej; o religijny stosunek pisarza do swego dzieła, to niewiele u nas poetów dorówna Martwej roztoce... W uczciwej surowości podaje dzieje swojego wzruszenia naprawdę nieskładane w niczym“. („Museion“, Nr. 10, 1912 r.).

„Potężna dusza i moc moralna przemawia tu z każdego wiersza“. („Slovanský Přehled“, Nr. 6-7, 1913 r.).

„Dziwna książka, bolesna, niemniej przecież czcigodna... jest (w niej) dość tklivości, żeby wiersz pociągnął, żeby zadrgał sam. Ale i dość spokoju, by nie rozmarzało się uczucie, nie stało sentymentalną piosenką... (Orkan tu) jest sobą, jest człowiekiem, który wszystkiego ludzkiego chce zażyć, iść przez życie, czy nawet przez śmierć, a nie być niesionym. I to jego książkę wynosi ponad inne“. („Gazeta Wieczorna“, Nr. 909, 1913 r.).

(Vide także recenzję: „Dziennik Poznański“, Nr. 45, 1913 r.).

ROGOSZÓWNA ZOFJA.

DZIECINNY DWÓR.

Cena 3 kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Wśród długiego szeregu autorek, piszących dla dzieci, p. Rogoszówna zwróciła na siebie uwagę, jako autorka, obdarzona w tym względzie niepowszednim powołaniem pisarskim. „Dziecinny dwór“ jest istotnie perełką w powodzi banalnej produkcji wydawnictw z tej dziedziny, gdyż, nie moralizując, daje zajmującą powieściową fabułę, żywy styl obrazowy i na każdym kroku wykazuje znajomość psychologii dzieci. Obok „Piskląt“ i popularnej bajki „O gdańsku i gdańsku“, „Dziecinny dwór“ daje całą pełnię rozkosznych wzruszeń młodym czytelnikom“. („*Nova Reforma*“, Nr. 585, 1911 r.).

„Dziecinny dwór“ daje szereg malowniczych, pełnych głębokiej treści obrazów z życia dziecięcego na tle stosunków dworu wiejskiego“. („*Naprzód*“, Nr. 283, 1911 r.).

ROGOSZÓWNA ZOFJA.

PISKŁĘTA.

(ZBIÓR NOWEL: Jureczek. — Jak sobie Jędrus „tiutkę“ znalazł. — Jaki „odpuszt“ zrobił Jędrus mamie, a jaki mama Jędrusiowi. — Jak się to Jędrus opiekował Marysią. — Jaką naukę dał tiutce Jędrus. — Haliśka).

Wydanie drugie. Cena 2 kor. 60 hal. (1 rubel).

„Piskłęta“ Rogoszówny wprowadzają nas w świat... odczuć i wrażeń dziecięcych, podpatrzonych żywcem, zrozumianych doskonale i przeniesionych od razu na papier rzutem śmiałym, lekkim, zdradzającym nieomyślne drgnienie talentu... wszystko to staje nam przed oczyma, naszkicowane za ledwo, ale silnymi, pewnymi, utrwalającymi się od razu w wyobraźni rysami. To jest talent“. („*Słowo Polskie*“, Nr. 562, 1910 r.).

„W Polsce nikt jeszcze z takim odczuciem nie mówił o duszy dziecięcej. I nikt nie mówił o niej z takim artystycznym umiarkowaniem... „Piskłęta“ zasługują na baczna uwagę. Jest to dzieło młodego, szczerzego i naprawdę dzielnego talentu“. („*Nova Reforma*“, Nr. 574, 1910 r.).

„W autorce „Piskląt“ witamy nowy talent. Tak wdzięcznych, tak pełnych powabu utworów, jak te nowele o niemożliwościach i dzieciach, „ledwie od ziemi dorosłych“ niewiele posiadamy w naszej literaturze nadobnej...“ („*Świat*“, Nr. 3, 1911 r.).

„Prawdziwe uczucie radości przejmujące krytyka, gdy, po raz pierwszy biorąc do ręki książkę wstępującego na wi-

downię autora — spotka się z poważną kulturą artystyczną i szczerym talentem. Niecodzienna to radość. Obie książki Rogoszówny są z tych, które się odczytuje zawsze z upodobaniem“. („*Gazeta Warszawska*“, Nr. 65, 1911 r.).

„Sądzę, że w „Piskłętach“ przybyło naszej literaturze dziecięcej niepospolite urokiem dziełko“. („*Prawda*“, Nr. 18, 1911 r.).

„Zdarzają się palce tak subtelne i zręczne, że z kłębka tych pajęczych zawikłań pomiędzy duszą dziecka a jego otoczeniem wyplatają tęczową nitkę porozumienia, a jeśli takie palce ujmą pióro, wtedy literaturze przybywa pisarz dziecięcy z Bożej łaski. Mniemam, iż nie omylę się witając go w osobie p. Zofji Rogoszówny, której niewielki zbiór nowel, zatytułowany „Piskłęta“, świeżo przeczytałem“. („*Słowo*“, Nr. 164, 1911 r.).

„Z miłością i pieśczołą pochyla się autorka nad młodą duszyczką i ukazuje nam dziwne, prawdziwe dziwne. Jakież? A weź, Czytelniku, książkę do ręki, a mogę Cię zapewnić, że połkniesz ją jednym tchem, i nieraz wracać do niej będziesz... Gdy szukam myśłą, kto potrafił w taki sposób, jak autorka, zbliżyć się do duszy dziecięcej, wydaje mi się, że poszukiwania takie mogą być próżne. „Piskłęta“ — to jedna z najpiękniejszych książek, jakie się ukazały w ostatnich kilku latach“. („*Książka*“, Nr. 5, 1912 r.).

(Vide recenzje: „*Naprzód*“, Nr. 283, 1911 r.; „*Kurjer Lwowski*“, Nr. 588, 1910 r.; „*Myśl niepodległa*“, Nr. 156, 1910 r.; „*Gazeta Wieczorna*“, Nr. 1201, 1913 r. i „*Wolne Słowo*“, Nr. 1, 1911 r.).

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFJA.

KOBIEITY.

Powieść. Wydanie drugie.

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Musimy pamiętać, że w tej szczególnej powieści rozsiadano sporo pierwszorzędnego piękna. Druga część Pieśni Miłości, zimna w treści, lśni bardzo ładną formą, czaruje samym pomysłem. A w Łódzkiej Polach, wszędzie, gdzie autorka nie boi się uczucia i gdzie nie przykłada swej bohaterce pochlebiającego lustra, imponuje sposobem ujęcia przedmiotu, czujnością poetycką i kunsztowną prozą“. („*Nova Gazeta*“, dnia 1 lipca 1906 r.).

„Powieść, mająca chwilami bezpośredniość pamiętnika, to z ogromną wnikliwością psychologiczną i artystyczną brawurą nakreślona autoanaliza kobiety, która dawno przeżyła dobieg, kiedy miłość była jedynym pragnieniem i zdarzeniem

jej życia, a przekroczyła też ową naiwną fazę społecznikostwa, gdy formułą ekonomiczną rozwiązywano wszystkie problemy, leczono cierpienia duszy i ciała... („Krytyka“, zeszyt VIII—IX, 1906 r.).

„Młodość, świeżość doświadczenia i pewnego rodzaju inteligentny entuzjazm — oto, co stanowi urok tej książki... pisana mocnym i zwięzłym językiem i zapowiadająca duży talent pisarski. Jedno z lepszych zwierciadeł współczesnego upadku i rozbicia jednostki. Rzeczą nową — przynajmniej w literaturze polskiej — jest traktowanie kobiety, jako istoty całkiem równej mężczyźnie“. („Przegląd Społeczny“, Nr. 31, 1906 r.).

„Zofia Rygier-Nałkowska jest obecnie bezsprzecznie najciekawszą konsystencją wśród naszych kobiet-pisarek... W ostatniej (jej) powieści p. t. „Kobiety“ wśród galerii typów kobiecych czołowe miejsce bohaterki zajmuje osoba, będąca wykładnikiem, reprezentantką niejako samej autorki... Z całości (utworu) tchnie chłódny, lecz rzeźki wiew szerszych widnokręgów myśli, widnieje świadoma swych celów i pewna środków praca pisarska“. („Prawda“, Nr. 32, 1912 r.).

(Vide także recenzje: „Przegląd bibliograficzny“, Nr. 6-7, 1906 r.; „Dział „Beletrystyki“ w kalendarzu Ungra, 1907 r.; „Świat“, Nr. 31, 1907 r.; „Głos Narodu“, Nr. 151, 1912 r.; „Spółczesność“, Nr. 49, 1909 r.).

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFJA.

KSIĄŻE.

Powieść. Wydanie drugie.

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Pani Rygier-Nałkowska posiada talent... Posiada w talencie swoim jeszcze zdrowie, coś silnego, żywotnego, indywidualnego, a zarazem normalnego, co widać, co tryska wprost z kart powieści... i nawet coś więcej, aniżeli zdrowie jest w jej talencie... jest w nim kultura... Jest dalej w „Księciu“ pełno dowodów obserwacji bardzo samodzielnej i zadziwiająco trafnej... Postać bohaterki... jest portretem pełnym siły i koloru... Cały stosunek jej z pierwszym kochankiem, literatem, przedstawiony jest poprostu z mistrzostwem. A co mnie specjalnie dziwi, że ta autorka czuje i rozumie, jako artystka, mężczyznę, co stanowi u piszących kobiet dar wyjątkowy“. („Słowo“, Nr. 331, 1906 r.).

„Z niczego już dziś nie ma potrzeby „wyrastać“ autorka „Księcia“. Bez prób i powolnego pokonywania trudności, tak zwykłego nawet u talentów pierwszorzędných, wyrosła niemal odrazu na powieściopisarkę oryginalną, na artystkę dużej miary, torując sobie drogę własną, po której kroczy,

śmiało — na wyżyny... (bohaterkę) przeprowadza autorka, odsłaniając stopniowo, z niezwykłą dyskrecją i miarą artystyczną coraz głębsze pokłady jej duszy, aż do potężnego obrazu cierpień nadludzkich z powodu okropnej śmierci ukochanego człowieka, w rozdziałach ostatnich, których niepodobna czytać bez głębokiego wzruszenia... Dzieje tej przemiany duchowej stanowią właśnie główną treść powieści, a umiejętność i subtelność, z jakimi odmalowała autorka poszczególne etapy na tej drodze, nadają jej utworowi wartość trwalszą, wyróżniając go bardzo wyraźnie na tle beletrystyki współczesnej“. („Prawda“, Nr. 27, 1907 r.).

„Raz (bohaterka) jest to młoda pantera, która wygrzewa się lubieżnie na słońcu i liże swą śliczną, lśniąca sierść — już to gwoli wyostrenia sobie pazurów, już to dla przypodobania się samcowi. To znów jest to w atmosferze lodowatego racjonalizmu wychowana młoda poetka, która „w nic nie wierzy“, ideału żadnego nie ma i dlatego z czarującym sceptycyzmem o ideałach rozprawia“. („Świat“, Nr. 31, 1907 r.).

„Styl dźwięczny i bogaty, daleko wykraczający poza średnią miarę, przypomina niekiedy d'Annunzia. Jak u włoskiego poety spotykamy też u Rygier-Nałkowskiej pewną sztuczność. Zimna logika twórczości intelektualnej panuje tu nade wszystkim. Jest to talent silny i śmiały, rozporządzający samodzielną inteligencją, podatny na każdy impuls zadań życiowych i artystycznych pomysłów... Niema w twórczości tej autorki nic nieświadomego i to nadaje jej książkom i bohaterkom piętno zimnej wyniosłości“. („Die Frau“, Heft 6, 1908 r.).

„Jest to ekstrakt psychologii kobiecej — to prawie cyniczna, a przecież pełna gracji i żywiołowości opowieść, połączenie ognia, namiętności, świegotu, obserwacji i śmiechu. Inteligencja, instynkt, uczucie i kokieterja... „Książkę“ jest książką niezwykłą... i wiele zapowiadającą“. („Frankfurter Zeitung“, November 1908 r.).

(Vide także recenzje: „Biesiada literacka“, Nr. 45, 1906 r.; „Kraj“, Nr. 47, 1906 r.; „Przegląd Społeczny“, Nr. 42, 1906 r.; „Świat“, Nr. 1, 1906 r.; „Przegląd Bibliograficzny“, Nr. 13, 1906 r.; „Krytyka“, 1907 r.; „Słowo“, Nr. 47, 1907 r.; „Bluszc“, Nr. 20, 1907 r.; „Ster“, Nr. 6-7, 1908 r.; „Spółczesność“, Nr. 49, 1909 r.).

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFJA.

NARCYZA.

Powieść.

Cena 5 koron (2 ruble).

„Narcyza“ p. Rygier-Nałkowskiej, to rzecz zakreślona na dużą miarę. Na trzystu kilkudziesięciu stronach autorka

przeprowadza nas przez tajniki duszy kobiecej, duszy niecodziennej wcale, obdarzonej ogromną skalą wrażliwości i wielką inteligencją, posiadającej przytym to, co się nazywa charakterem, i osadzonej w ciele pięknym, młodym, pełnym, którego powaby czujemy nieledwie z samych kart powieści, z zapachu słów jej własnych, z wdzięku mimowolnego, ożywającego każdą scenę, w której ona występuje... P. Nałkowska ma talent wybitny; jest to niewątpliwie wśród piszących współcześnie kobiet jedna z najzdolniejszych". (*„Słowo Polskie“*, Nr. 562, 1910 r.).

„Z zajęciem można śledzić rozwój talentu Z. Rygier-Nałkowskiej. Coraz to większe opanowanie środków artystycznych, coraz to większy zakres obserwacji życiowej. Od przeżyć czysto kobiecych przechodzi do coraz to ogólniejszych, coraz to głębszych. „Narcyza“ nie jest tylko reprezentantką pewnego typu kobiecego. Wciela ona zagadnienia dobrego i złego, czynu i ofiary, w stosunku do jednostki i subiektywnych jej przeżyć". (*„Świat“*, Nr. 9, 1911 r.).

„Twórczość Nałkowskiej należy do najbardziej fascynujących w naszej literaturze". (*„Slov. Przechled“*, Nr. 7-9, 1911 r.).

„Popularność Rygier-Nałkowskiej pośród młodzieży polskiej, zwłaszcza żeńskiej, szybko wzrasta. Utwory jej poświęcone są analizie duszy kobiecej. Zadanie to wypełnia ona świetnie... Język jej pod względem piękności nie ustępuje językowi Żeromskiego i Przybyszewskiego. Jest ona rzeczniczką wolnej miłości. W większości utworów zaciekawia ją problemat konfliktu między intelektem i instynktem. W najnowszej powieści „Narcyza“, Rygier-Nałkowska dochodzi do wniosku, że „szczerzy i prawdziwy“ jest tylko instynkt i nim tylko kierować się należy". (*„Sowremennij Mir“*, Nr. 4, 1912 r.).

(Vide także recenzje: *„Krytyka“*, Nr. 2, 1911 r.; *„Nowa Reforma“*, Nr. 262, 1911 r.; *„Wolne Słowo“*, Nr. 119, 1911 r.; *„Prawda“*, Nr. 10, 1911 r.; *„Tygodnik Ilustrowany“*, Nr. 22, 1911 r.; *„Przedświt“*, Nr. 7/8, 1911 r.; *„Książka“*, Nr. 9, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

BAJKA O ŻELAZNYM WILKU.

(Z 14 ilustracjami kolorowymi i rycinami J. Rembowskiego. W ozdobnej oprawie).

Cena 10 Koron (4 ruble).

„Bajka o żelaznym wilku“ jest jedną z tych książek, która pozostanie na długi okres trwałym i wartościowym nabytkiem literatury dla młodzieży...“ (*„Nowa Reforma“*, Nr. 579, 1911 r.).

„Zawsze ogromnie wytworna spółka wydawnicza „Książ-

ka“ z jedną tylko nowością gwiazdkową wystąpiła w tym roku. „Bajka o żelaznym wilku“ Wacława Sieroszewskiego, to stare podanie ludowe, krążące w opowiadaniach nianiek po wszystkich dziecięcych pokoikach, przeobraziło się pod piórem świetnego pisarza w alegorię społeczną bardzo przejrzystą dla umysłów dojrzałych... Typograficzna strona tej książki jest wprost przepyszna, a ilustracje Rembowskiego rwą oczy cudną grą barw i finezją rysunku. Tak wspaniale wydane dzieło nie posiadała dotychczas beletrystyka młodociana". (*„Słowo“*, Nr. 346, 1911 r.).

„Pisał ją mocarz słowa, a choć treść bajki znana, bo osnuta na ludowej starej bajce, lecz jak odmienna od innych, jaka potężna w słowach, cudna w obrazach, głęboka w poмысле. Talent Wacława Sieroszewskiego lśni się tu wszystkimi blaski i porywa czytelnika od pierwszego słowa. Opis polowania, lasu, przyrody, następnie walka króla z napastnikami, wszystko to mistrzowsko zrobione, a tchnące pełnią życia. Pozatym z książki tej wieje czar poezji, ukochanie wszystkich cierpiących. Książka ta bardzo zajmująca, wydana też prześlicznie z 14 rycinami p. Jana Rembowskiego...“ (*„Kurier Łucowski“*, Nr. 578, 1911 r.).

„I znowu zajaśniały w pełni blasku olśniewające skarby niewyczerpanej wyobraźni; i znowu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, otworzył się przed nami cudowny świat marzeń poetyckich, nierównie piękniejszy od rzeczywistości; i znowu przemówiło do nas miłujące serce poety, któremu żadne cierpienie ludzkie, żadna łza gorzka, w cichej samotności wylana, obcą nie jest. Piękny to dar wielkiego talentu dla tych najmłodszych czytelników, z których wyrosną kiedyś kraju obywatele". (*„Tygodnik Ilustrowany“*, Nr. 50, 1911 r.).

(Vide także recenzje: *„Prawda“*, Nr. 51, 1911 r.; *„Kurier wileński“*, Nr. 159, 1912 r.; *„Gazeta poniedziałkowa“*, Nr. 52, 1911 r.; *„Świat“*, Nr. 50, 1911 r.; *„Głos Narodu“*, Nr. 13, 1912 r.; *„Gazeta Wieczorna“*, Nr. 423, 1911 r.; *„Kurier Warszawski“*, Nr. 345, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

BAJKI.

(TREŚĆ: Przygoda tygrysa. — W ruinach. — Inwalidzi. — Dary wiatru północnego). W ozdobnej oprawie. Winieta okładowa rysunku Jana Rembowskiego, wykonana sposobem litografii. 49 rysunków w tekście Jana Małachowskiego.

Cena 6 Kor. (2 rb. 40 kop.).

„Znakomity pisarz, który już w poprzednich swoich książkach dla młodzieży złożył dowód niepospolitej umiejętności obcowania z młodem umysłami, i tym razem ofiarował dzieciom polskim garść opowiadań niepowszednich...“ (*„Kurier Warszawski“*, Nr. 346, 1910 r.).

„Nieziemna plastyka słowa i wdziek, talent opisowy, posiadający dużo cech stylu i obserwacji Lotiego lub Kiplinga, oraz ogromny podkład uczuć i swojskości sprawiają, że „Bajki“ Sieroszewskiego, będąc utworem literackim pierwszej marki, gotującym przednią rozkosz dojrzałemu czytelnikowi, równocześnie są zajmującą i pobudzającą szlachetne strony uczuć lekturą dla młodzieży“ („*Nowa Reforma*“, Nr. 580, 1910 r.).

„Bajki“, nawpół fantastyczne, w połowie pouczające, świetnym piórem, niecącym złote iskry humoru, pisane, a tak zajmujące, że oderwać się od nich trudno. A szata zewnętrzna wydawnictwa: piękna winieta okładowa w kolorach Jana Rembowskiego, pół setki rysunków w tekście Jana Małachowskiego, nie pozostawia nic do życzenia“ („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 51, 1910 r.).

„...Na choince dziecięcej zawiesił szereg precyzyjnych gwiazd swego talentu — Wacław Sieroszewski. Królewską prawdziwie powodowany szczodroblowością wlał on w swe „Bajki“ całe czarodziejstwo barw, światła i tonów, całe bogactwo wyobraźni, na której paletę zbierał farby i blaski z oceanów, łądów i mórz całego świata...“ („*Prawda*“, Nr. 53, 1910 r.).

(Vide także recenzje: „*Gazeta Warszawska*“, Nr. 345, 1910 r.; „*Życie*“, Nr. 1, 1911 r.; „*Gazeta Poniedziałkowa*“, Nr. 36, 1910 r.; „*Nowe Tory*“, Nr. 9, 1910 r.; „*Der Buchkritiker*“, Nr. 6, 7, 8, 1911 r.; „*Wolne Słowo*“, Nr. 1, 1911 r.; „*Mysł Niepodległa*“, Nr. 156, 1910 r.; „*Bulletin Polonais*“, Nr. 298, 1913 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

DNO NĘDZY.

(Brzask. — W puszczy białowieskiej. — Szczelina grecka).

Nowele. Wydanie 4-te. Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Wszystkie (nowele) odznaczają się zwykłą u Sirki barwnością kolorytu egzotycznego i przenikliwością w odtwarzaniu ludzi pierwotnych i ich dusz prostych, w których przejawia się ogólnoludzki smutek i cierpienie. Pod tym ostatnim względem Sieroszewski nie ma sobie równych w naszej beletrystyce dawnej i współczesnej“ („*Książka*“, Nr. 8, Sierpień, 1904 r.).

„Autor obok pysznych obrazów natury umiał wykazać tyle delikatności serca i przenikliwości, że czytelnik nader plastycznie widzi grę pierwotnej psychologii, pierwotnych, a przecież silnych i pięknych nieraz popędów i uczuć bohaterów“ („*Przewodnik Oświatowy*“, Nr. 719, 1909 r.).

„Dno nędzy“ — obozowisko trędowatych, na które autor

zstąpił wprost z zaparciem się siebie, — przypomina opowieść Hjoba“ („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 36, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

MAŁŻEŃSTWO.

(Być albo nie być. — Tułacz).

Wydanie 2-gie. Cena 4 kor. 60 hal. (1 rb. 80 kop.).

„W formie wysoce artystycznej, w sposób dyskretny i subtelny, poruszył Sieroszewski w „Małżeństwie“ odwieczne zagadnienie stosunku płci do siebie i społecznej jego formy — małżeństwa... Z całej nowej książki Sirki wieje prąd siły i świeżości, przemawia duch niezmożony, twórca prawdziwy“ („*Krytyka*“, Nr. 1, 1909 r.).

„Opowiadania te... oprócz wielkiej wartości artystycznej, mają również i wysoką wartość moralną, albowiem wzniecają w nas wiarę w szczytne przeznaczenia przyszłej ludzkości“ („*Rassegna Nazionale*“, 16 września 1909 r.).

„...Symfonia wielkiej mocy i piękności jest powieść, a raczej dłuższa nowela, p. t. „Małżeństwo“. Ciekawa z wielu względów. Przedewszystkiem krajobrazy należą do najpiękniejszych, jakie stworzył kiedykolwiek Sieroszewski; tyle w nich siły, bujnego życia, nieposkromionej żywiołowości, która nie zasnęła jeszcze wędziła. A potem — niezmiernie interesujący i doskonale postawiony jest tu problemat psychologiczny, ...ten utwór... zaliczyć możemy śmiało do najlepszych dzieł Sieroszewskiego“ („*Książka*“, Nr. 9, 1909 r.).

„Talent Sieroszewskiego wznosi się... do najwyższej swej miary w „Być albo nie być“. Karty tu stworzone nie przeminą wśród dokumentów ludzkich...“ („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 36, 1910 r.).

(Vide także recenzje: „*Mysł Niepodległa*“, Nr. 35, 1910 r.; „*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 36, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

NA DALEKI WSCHÓD.

Wydanie 2-gie, z dodatkiem dwóch rozdziałów.

Cena 4 Kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Obrazy autora odznaczają się talentem, a refleksje — współczuciem dla cierpień ludzkich... Książka Sieroszewskiego jest perłą w naszej literaturze podróżniczej...“ („*Książka*“, Nr. 5, 1904 r.).

„Kartki ze Wschodu. Notatki z podróży dalekiej, z włóczęgi po krajach nieznanach a tyle ciekawych, tyle pouczających! Nie jest to suchy elaborat uczonego podróżnika, to

raczej pamiętnik artysty o rzeczach zwykłych, czasem bardzo realnych, to znów o pięknych, o tych, które umierają i gasną, i tych, które się rodzą. Wrażliwy umysł Sieroszewskiego chłonie te wszystkie cuda, by je potem z plastyką artysty odtworzyć i naszej pamięci przekazać. Nie bada, nie analizuje, jeno patrzy, a że patrzeć umie i dostrzegać potrafi — tworzy ze swych kartek, z pośpiesznie szkicowanych notat, rzeczy więcej nieraz dające, niż drobiazgowie i sumienne opisy. Poznajemy więc ludzi i miasta, urządzenia i obyczaje, charakter i upodobania, życie wreszcie obecne i życie minione“ („Świat“, Nr. 3, 1912 r.).

„Jest to zbiór zajmująco i artystycznie skreślonych wstrząsów spostrzeżeń i wrażeń. Wprost, jak w kalejdoskopie, stenograficznie roztacza autor wobec czytelników mozaikowy obraz mało znanego dalekiego Wschodu... Wogóle książka pod każdym względem zajmująca i pouczająca“ („Rusky Obzor“, Nr. 2, 1912 r.).

„Obrazy z przyrody i życia egzotycznego, nacechowane głęboką spostrzegawczością i szczerym odczuciem natury i ludzi „Dalekiego Wschodu“ („Tygodnik Ilustrowany“, Nr. 27, 1912 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

RISZTAU.

(Risztau. — Pustelnia w górach. — Czukczę).

Wydanie drugie. Cena 3 kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Rzeczy to zwarte i piękne w odbiciu przyrody kaukaskiej, tak potężnej i złowrogiej, jako też i dalekich, niezmiernych pól śniegowych kraju północnego — Czukczów. Epika to żywa, gorąca, pulsująca krwią serdeczną. Książka to młoda, budząca“ („Przełom“, Nr. 10—11, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

ZACISZE.

Powieść.

Cena 5 koron (2 ruble).

„Powieść o wsi polskiej, tej z przed trzydziestu lat, która... (Sieroszewskiemu) pozostała we wspomnieniach młodości... Jest to sielanka, pełna powietrza, barwy, melancholji niedawnych wypadków powstaniowych, czystych dusz i czystych serc“ („Nowa Gazeta“, Nr. 147, 1913 r.).

„Po egzotycznych — syberyjskich, chińskich, japońskich — powieściach Sieroszewskiego... — „Zacisze“ obraz polskiej wsi i próba przedstawienia konfliktów zbiorowych i osobistych, które po roku 1863 targwały społeczeństwem...

Szeroki, wolny oddech w tych opisach — a ile ich i jak pięknych w ciągu utworu! — rozwarłe miłośnicie i dobrotliwie oko, nie zatracające żadnego znamionnego szczegółu, układające obrazy, pełne barw, perspektywy, szmerów, woni... Na tym tle ludzie.. to jedna z części składowych... świata... wyrastającego w pogodny, idylliczny obraz. Dobrze się czujemy, pełną piersią oddychamy w tej spokojnej atmosferze... Lecz autor nie daje nam rozkoszować się nią wyłącznie... Powieść rozgrywa się w czasie niezbyt długim po roku 1863. Stąd cały szereg ujęć rzeczywistości narodowej i społecznej. Obok nie rezygnujących dążeń wyzwoleńczych — wzrastający pozytywizm i praca organiczna, obok miłości dla ludu i pracy nad nim — ...nieufność względem chłopów... Na tym tle gniojących warunków wyrastają i osobiste konflikty“ („Krytyka“, Nr. 4, 1913 r.).

„Pod mało znaczącym tytułem kryje się gorzka, ciężka ironja... Talent Sieroszewskiego potrafił w te zacisne losy zamknąć cały splot naszych nieszczęść, cały łańcuch przyczyn, jakie się na te nieszczęścia złożyły. Autor... nie przejawia faktów. Samym zestawieniem ich podsuwa czytelnikowi pożądaną konkluzję... Sieroszewski nie rozpacza nad losami tego szlacheckiego bezrządnego zacisza, którego tak wiele w życiu polskim... Wie on, że przyszłość należy do tych, którzy, jak młody Kazio... idą między lud“ („Naprzód“, Nr. 81, 1913 r.).

„Tak odbywała się wielka, nieukończona jeszcze przemiana w społeczeństwie. Tak z konieczności dziejowej rozwijał się, postępował i szedł naprzód proces demokratyzacji kraju, odwracała się karta dziejów, świeciła niepewno „ołowianami chmurami przestronięta przyszłość“. Dokumentem do historii tych czasów jest powieść Sieroszewskiego... Tak, jak opowiada Sieroszewski, było istotnie... w ogromnej większości dworów wiejskich w Królestwie, mniej więcej pomiędzy rokiem 1870 a 1885“ („Kurjer Warszawski“, Nr. 163, 1913 r.).

(Vide także recenzje: „Gazeta Wieczorna“, Nr. 1270, 1913 r.; „Kurjer Litewski“, Nr. 85, 1913 r.; „Dziennik Poznański“, Nr. 159, 1913 r.; „Czas“, Nr. 89, 1913 r.; „Gazeta Toruńska“, kwiecień, 1913 r.; „Dziennik Cieszyński“, Nr. 90, 1913 r. i t. d. i t. d.)

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

ZAMORSKI DJABEL.

Powieść, z 54 rysunkami Henryka Minkiewicza. W ozdobnej oprawie. Wydanie 2-gie. Cena 5 kor. 20 hal. (2 rb.).

„Na czele wydawnictw gwiazdkowych postawićby należało „Jan-Guj-Tzy“ („Zamorski Djabeł“), książkę, w której

znakomity pisarz dał niejako wzór powieści dla młodzieży“... („*Kurjer Warszawski*“, Nr. 352, 1908 r.).

„Siła tej powieści leży w niezwykle barwnym i zaciękającym opisie tego mało znanego świata i jego zwyczajów i w wiernej charakterystyce osób i stosunków... Egzotyczne ilustracje dodają powieści różnorodności“. („*Przegląd Powszechny*“, sierpień, 1909 r.).

„Dla starszej młodzieży wyszło parę książek bardzo pięknych. Pierwsze wśród nich miejsce należy się dwóm książkom W. Sieroszewskiego: „Zamorski Djabeł“, malującej przygody Polaka w Chinach, i „Ze świata“, zbiór opisów i przygód, przeżytych i głęboko odczuty, o wielkiej wartości naukowej i etycznej“. („*Krytyka*“, Nr. 1, 1910 r.).

„Sieroszewski, łączący w sobie etnografa, artystę i głębokiego znawcę duszy ludzkiej, wielkim okazuje się także i w dwóch świeżych swych dziełach: „Zamorski Djabeł“ i „Ze świata“. Zbytecznym byłoby mówić, iż, czytając te dwie książki Sieroszewskiego, poznajemy życie zewnętrzne owych dalekich ludów, które jednak czują pragnienie wolności, miłość i ból tak samo, jak my, „cywilizowani“; co więcej, uczymy się odczuwać ich cierpienia. Na kartach tych książek odbija się tragedia narodu“... („*Rassegna Nazionale*“, Nr. 5, 1910 r.).

„Najświetniejszym... nabytkiem naszej niebogatej literatury dla młodzieży jest piękna powieść „Zamorski Djabeł“... Obok Coopera i Beecher-Stowe stanie „Zamorski Djabeł“ Sieroszewskiego jako nasz osobisty wkład w światowej pedagogice białych“... („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 38, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

ZE ŚWIATA.

(Wśród lodów. — Polowanie na reny. — Polowanie na wieloryby. — Bokser. — Kulisi. — Latorośle).

Opowiadania, z 53 rycinami. W ozdobnej oprawie. Cena 5 kor. (2 rb.).

„Treść tych opowiadań, osnutych na obserwacjach z czasów przymusowego pobytu na Syberji i wśród Jakutów, tchnie urokiem szczerości, jaki wywołać może tylko wielka zdolność odczuwania dusz ludzkich... Książka ta maluje z niepospolitą zdolnością narracyjną nie tylko obcych nam ludzi; ostatnia bowiem jej część pt. „Latorośle“ wprowadza czytelnika w grono dzieci polskich“. („*Kurjer Poranny*“, Nr. 84 (355), 1909 r.).

„Oto pisarz dużego talentu, poeta nawskroś, przychodzi do młodzieży polskiej w tym roku z książką p. t. „Ze Świata“,

z książką piękną, bogatą w treść, ale obcą tłem. Jego opowiadania... mają niepospolity urok rzeczy przeżytych, widzianych. Jedynie w „Latoroślach“ jesteśmy wśród dzieci polskich i poznajemy, że Sieroszewski jest nie tylko znakomitym opowiadaczem swoich wrażeń egzotycznych, „ze świata“, ale jednocześnie nowelistą „małego światka“, umiającym wybornie orjentować się wśród zjawisk, uderzających w duszę dziecka“. („*Kurjer Warszawski*“, Nr. 347, 1909 r.).

„Książkę „Ze świata“, pomimo rozdzierających jej bólów, zaliczymy do najpiękniejszych darów dla młodzieży od lat przynajmniej 12“. („*Książka*“, Nr. 3, 1910 r.).

„Znakomite podróźnicze opowieści... Sieroszewski wzbogacił niezmiernie polską literaturę dla młodzieży; wzbogacił zaś ją nie tylko... rozszerzeniem zakresu na kolorowe ludy i lądy, ale także i znacznym podniesieniem poziomu“. („*Tygodnik Ilustrowany*“, Nr. 36—37, 1910 r.).

„Autor, znany podróżnik, żywo i wyraziście maluje przygody na morzu i na lądzie, przykuwa uwagę i ani na chwilę jej nie rozluźnia... niemałego trzeba talentu, aby tematem od nas tak odległym nie na chwilę tylko, lecz na dłużej zająć; autor trudności wszystkie szczęśliwie ominął“. („*Przegląd Powszechny*“, Nr. 10, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

Z FALI NA FAŁĘ.

(Japonja w zarysie. — Harakiri księcia Asano Naganori. — O-Sioł. — Pojednienie. — Widmo sakurskie. — Ingwa. — Jak liść jesienny...).

Cena 5 kor. (2 ruble). Wydanie trzecie.

„Sieroszewski ukazuje nam dusze japońskie w szczególny, indywidualny sposób... Cały tom wnosi do literatury żywioł nowy, odświeżający“. („*Krytyka*“, Nr. 6, 1910 r.).

„W literaturze polskiej nie mieliśmy dotychczas oryginalnego obrazu Japonji. Kreslił go dopiero po raz pierwszy, na podstawie wrażeń bezpośrednich, Wacław Sieroszewski. Nie suchym wykładem poprzedza autor szereg utworów nowelistycznych, osnutych na motywach japońskich, ale wspaniałym, poetycznie pisanym zarysem kraju... idziemy krok za krokiem za dobrym przewodnikiem, który nie szczędzi trudu artystycznego, aby... dać nam możliwie dokładne pojęcie o kraju i o zamieszkującym go narodzie... Autor przerzuca nas „z fali na fałę“, dodaje bowiem do swojej książki japońskiej europejskie już opowiadanie p. t. „Jak liść jesienny“... Kłębi się przed naszymi oczami, stłoczony w pudle jednego okrętu, cały nasz świat współczesny...“ („*Kurjer Warszawski*“, Nr. 151, 1910 r.).

„Sieroszewski jest — nietylko w literaturze naszej, ale wogóle w literaturze europejskiej — najwybitniejszym, największym „poetą Azji“, jej północnych i wschodnich krain... Ten cały świat egzotyczny nie ma dla Sieroszewskiego żadnych tajemnic... Z sielanki dwójga globetrotterów-Polaków — Sieroszewski zdołał uczynić arcydzieło nieporównane... I jak każde wielkie dzieło sztuki, tak i ta prosta opowieść wzrasta do wyżyn symbolu“. („Świat“, Nr. 36, 1910 r.).

(Vide recenzje: „Naprzód“, Nr. 115, 1910 r.; „Przedświt“, Nr. 7, 8, 1910 r.; „Społeczeństwo“, Nr. 40, 1910 r.; „Kronika Powszechna“, Nr. 2, 1911 r.; „Widnokreśli“, Nr. 14, 1910 r.; „Nowa Reforma“, Nr. 518, 1910 r.; „Kurjer Poranny“ z 14 maja 1911 r.; „Nowa Gazeta“, 1911 r.; „Książka“, Nr. 4, 1911 r.)

STRUG ANDRZEJ.

PORTRET.

Powieść. Cena 4 kor. 60 hal. (1 rubel 60 kop.).

„Jeszcze jedna krwawa, z wnętrza serca ludzkiego wyrwana książka!... Strug podjął znów pracę nad budowaniem hartu dla dusz, by przetrwały te lata okropnej męczarni, bo może nigdy jeszcze nie staliśmy tak nad brzegiem kontradykcji w życiu zbiorowym jak obecnie... Nowa powieść Struga dorzuca znów gromadę pereł szacownych do skarbcza naszej literatury... Powinna być czytana... jak bolesny skurcz jasnowidzenia o życiu naszym społecznym. Kto ją inaczej chce czytać — niewiele odczyta. Ale przeczytać powinien każdy...“ („Przegląd Wileński“, Nr. 5—6, 1913 r.).

„Dzieje duszy malarza Siewierskiego, dzieje bólu po stracie ukochanej rewolucjonistki, Kory... Prawdziwe — jak zawsze — wirtuozostwo w kreślonych z całą precyzją, umiarem, przezroczywością stanach psychicznych. Ginie cały świat z przed oczu; czas zdaje się tracić panowanie nad człowiekiem żyjącym beczasowo: jedną myślą, jednym uczuciem“. („Krytyka“, Nr. 5, 1913 r.).

„W „Portrecie“ spotykają się i walczą ze sobą o szczęście dwa światy: świat świadomego użycia... w osobie malarza Siewierskiego i rewolucyjny świat pracy nad poprawą duszy społecznej w osobie pięknej, czystej Kory... W „Portrecie“ pierwszy raz występuje Strug, nowelista, w charakterze powieściopisarza. Formą tą włada autor zupełnie swobodnie... Ani jeden szczegół nie mija głucho, a wszystkie kwitną życiem gorącym twórczej miłości autora. Poza innymi zaletami ma „Portret“ jedną, największą, jaką może mieć książka: czyta się z ogromnym, ani na chwilę nie słabnącym zajęciem“. („Naprzód“, Nr. 101, 1913 r.).

„Jest to historia, którą da się czytać podwójnie: to, co napisano, co wyłoczono czarno na białym, i tamto, czego nie napisano, ale co jest pomiędzy liniami. Rzeczywiście orzec trudno, co silniej woła do serca, co mocniej targa myślą: realny, istotny wicher miłości do kobiety, miłości bardzo wysokiej, bardzo czystej, trwającej życie, — czy ów symboliczny wykładnik tego uczucia i tej kobiety: idea społeczna, jej ruina, przemiana, odrodzenie?“ („Kronika Powszechna“, z d. 17/V, 1913 r.).

„Nie wiadomo, co podziwiać więcej: czy niezwykłą trafność i siłę w odtwarzaniu poszczególnych momentów psychologicznych, czy też nieubłaganą logikę, z jaką momenty te wiążą się w jednolitą całość i z żelazną koniecznością do rozwiązania dążą“. („Gazeta Wieczorna“, Nr. 1201, 1913 r.).

„Rzeczą mocną w tej powieści jest oglądanie Kory przez Siewierskiego jakby z dwu stron i stanowisk. Dopóki Kora żyje — Siewierski widzi w niej przedewszystkiem istotę opętaną, poddaną cudzej woli, niemal nieprzytomną i niewpół-świadomą. Dopiero po jej śmierci, to wszystko, widziane tak wyraźnie, dopóki żyła, zapada się i odsłania przed Siewierskim głęb — treść istotną tej duszy — świętość. To narastanie świętości, której zaprzeczać już nie mogą codzienne małe obserwacje i kontrola rozsądku, jest tym, co w „Portrecie“ Struga jest może najprawdziwsze“. („Tydzień“, Nr. 7, 1913 r.).

(Vide także recenzje: „Nowa Reforma“, Nr. 169, 1913 r.; „Wiek Nowy“, Nr. 3493, 1913 r.; „Kuznia“, Nr. 4, 1913 r.; „Kurjer Litewski“, Nr. 85, 1913 r.; „Dziennik Poznański“, Nr. 39, 1913 r.; „Czas“, Nr. 53, 1913 r.; „Dziennik Cieszyński“, Nr. 90, 1913 r. i t. d., i t. d.).

STRUG ANDRZEJ.

W TWARDEJ SŁUŻBIE.

(„Ludzi podziemnych“ serja III. Treść: Prolog. — Cienie. — Sielanka. — Ostatnie listy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Każda nowa książka Struga przynosi nowe barwy i aromaty, nowych ludzi, nową duszę polską. Takich ludzi literatura jeszcze nie miała...“ („Prawda“, Nr. 6, 1910 r.).

„Na czoło produkcji nowelistycznej ostatniej doby wysuwają się utwory Andrzeja Struga. Jest on nowelistą z urodzenia i temperamentu obfitującym w bogactwo pomysłów, nie pozwalające mu skupić się dłużej nad jednym z nich.

Spieszno mu do nowej sytuacji, do nowej odmiany typu „człowieka podziemnego“. Nie wychodząc poza zakres tego typu, Strug nie powtarza się jednak nigdy“. („Krytyka“, Nr. 1, 1910 r.).

„Obrazy chwil bolesnych i wstrząsających, niekiedy obłąanych oślepiającymi blaskami szczęścia, nieuchwytnego dla dusz, wytraconych z normalnych kolei życia“. („Kultura Polska“, Nr. 7, 1910 r.).

„Typy różnych działaczy, przeprowadzone przez czyściciele i uśmiechów poety“. („Slovansky Przechled“, Nr. 10, 1910 r.).

„Strug... jest przede wszystkim psychologiem o dużych zdolnościach analitycznych. Dusze przez niego preparowane, mają jednak nie tylko wartość dokładnych preparatów naukowych. Ożywia je także technienie prawdziwego artyzmu, opromienia blask szczerzej poezji, skąpanej w szemrzającej cicho fali jakiegoś wielkiego morza melancholji, bijącego o brzeg tego ładu, który się życiem nazywa...“ („Kurjer Warszawski“, Nr. 171, 1910 r.).

(Vide recenzje: „Náprzód“, Nr. 339, 1909 r.; Kurjer Litowski, Nr. 7, 1910 r.; Mysl Niepodległa, Nr. 25, 1910 r.).



68457

ZWIĄZOK...
PAŃSTWOWY...
BIBLIOTEKI...
W KRAKOWIE